

Max Korż, raper poradziecki • Premiera Nawrockiego • Co z Trzaskowskim
Złodzieje z sieci • Awantury o lektury • Wywiad z Kevinem Costnerem • Cisi Czesi

POLITYKA.PL

POLITYKA

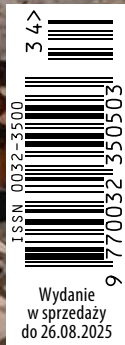
LIDER
SPRZEDAŻY

TYGODNIK, nr 34 (3528), 20.08–26.08.2025

Cena 13,90 zł (w tym 8% VAT) nr indeksu 369195

CZY TO JEST DROGA DO POKOJU?

Jak Putin przy pomocy Trumpa
chce okroić Ukrainę



Wydanie
w sprzedaży
do 26.08.2025

epiśa.pl t597d8986c

USA 4,60 USD; KANADA 4,69 CAD; WIELKA BRYTANIA 2,50 GBP; SZWECJA 30 SEK; CZECHY 75 CZK; KRAJE STREFY EURO 4,95 EURO

© SHUTTERSTOCK, ANDREW CABALLERO-REYNOLDS/APPE/EA/ST NEWS

POLITYKA



Subskrybuj za 4 zł / tydzień przez rok

lub zapłać z góry 199 zł za rok



polityka.pl/powitalna



© SHUTTERSTOCK

Temat tygodnia

- 12** **Piotr Łukasiewicz**, chargé d'affaires polskiej ambasady w Kijowie, o spotkaniu Trumpa i Putina na Alasce oraz o nastrojach wśród Ukraińców

Polityka

- 16** Wojciech Szacki
Kto jest kim u Nawrockiego
19 Rafał Kalukin
Trzaskowskiego życie po życiu

Spółeczeństwo

- 22** Paweł Reszka, Zoriana Varenia
Max Korż i zadyma na narodową nutę

- 26** Rozmowa z prof. **Agnieszka Gryszczyńską** o złodziejach w sieci
30 Marcin Żyła **Migawki z zakopianki**
32 Joanna Cieśla **Polaków kłótnie o listy lektur**
36 Zbigniew Borek **Kasa na tacy – czyli Kościół pod lupą NIK**
39 Filip Zagończyk **Dlaczego wciąż nie ma ustawy o asystencji**

Rynek

- 42** Adam Grzeszak
Miłosz Motyka: minister z energią
45 Marcin Piątek **„Wielka piękna ustawa” o CPK**

Świat

- 48** Jakub Medek
Czesi nad Bałtykiem
51 Mateusz Mazzini WŁOCHY
Prawdziwy Neapol
54 Mariusz Zawadzki USA
Ameryka bez „Late Show”
56 Marek Orzechowski NIEMCY
Bogaty jak młody Niemiec

Nauka/projektpulsar.pl

- 58** Agnieszka Krzemińska
Ewolucja z kieszonkami w tle
61 Kamil Nadolski
Czy testy DNA są nieomyłne?
66 Piotr Panek
Aleksandr Boszniak: agent botanik

Historia

- 68** Marcin Zaremba
Gomułka i Gierek okiem ochrony
71 Rozmowa z **Magdaleną Kopeć** o tym, jak zmuszano dzieci do pracy

Kultura

- 78** Mariusz Herma
AI robi Hollywood
82 Rozmowa z **Kevinem Costnerem** o jego nowym serialu i prawdziwym życiu na Dzikim Zachodzie
85 **Antonina Tosiek** o pomnikach wiejskich kobiet

Ludzie i style

- 94–97** • **Zabójcy z Australii**
• **Książka w okularach**
• **Co jest na lajnapie**
• **Wychowanie FAFO**
• **Wino z Bhutanu**

Stałe rubryki

- **4** Przypisy • **6** Ludzie i wydarzenia
• **74** Afisz • **88** Chutnik i Plebanek
• **90** Agata Passent • **91** Orliński
• **92** Mizerski • **93** Do i od redakcji
• **98** To jeszcze nie koniec

DRODZY CZYTELNICY!

Nasz tygodnik możecie teraz też nabyć w sklepach sieci Biedronka. Polecamy się Państwu uwadze przy codziennych zakupach i zapraszamy do lektury.



Ze szczytu na ziemię

Jerzy Baczyński

Dobre, że ze szczytu na Alasce nie spadliśmy w przepaść, a tak by było, gdyby Trump dogadał się z Putinem, przyjmując – jak się obawiano – rosyjskie warunki kapitulacji Ukrainy. W Anchorage nie było więc drugiej Jalty i raczej niczego nowego, zaskakującego, zwłaszcza żadnych ustępstw ze strony Rosji, która „zgadza się” na zamrożenie linii frontu, jeśli formalnie uzyska cały region Donbasu. Nie uzgodniono nawet przerwania ognia, Trump nie ponowił groźby sankcji. Stąd wrażenie, że ten szczyt był korzystny wyłącznie dla Putina, wydobył go z izolacji, dowartościował, zrównał „dyktatora i zbrodniarza wojennego” z „przywódcą wolnego świata”, jakim wciąż symbolicznie pozostaje prezydent USA. Kurtuazyjne, kordialne gesty Trumpa wobec „Władimira” – zwłaszcza ten czerwony dywan i wspólny przejazd prezydencką limuzyną – wywołały powszechne oburzenie i obrzydzenie. Donald Trump wpisał się w – miłą Rosji – formułę sowiecko-amerykańskich szczytów z czasów zimnej wojny, dwubiegunowego podziału świata, duetu wielkich mocarstw. Historia wróciła jako żenada. (Nasza analiza i rozmowa z ambasadorem RP w Ukrainie s. 10 i 12).

Europa robi teraz wszystko, aby Trumpa sprowadzić ze szczytu na ziemię; odbywają się intensywne konsultacje proukraińskiej „koalicji chętnych”, przywódcy unijni zdecydowali się towarzyszyć prezydentowi Zełenskiemu w wizycie w Białym Domu, aktywnie uczestniczyć w przygotowaniach do ewentualnych (w tym tygodniu?) trójstronnych negocjacji pokojowych Ukraina–USA–Rosja. Europa próbuje obronić to, co jeszcze zostało z idei Zachodu, przypomnieć administracji Trumpa o geopolitycznej sile i wartości NATO, o zagrożeniu, jakim dla pokoju światowego, a więc i dla interesów Ameryki, jest imperialna, sowietyzująca się Rosja Putina. Przekonać, że w globalnej konfrontacji z Chinami – co Trump uważa za główne wyzwanie amerykańskiej polityki – lepiej szukać sojusznika w potężnej gospodarce i ludnościowo Unii niż w wyczerpanej, udającej mocarstwo Rosji. Czy to zadziała?

Europejscy przywódcy już się nauczyli, że z Trumpem trzeba postępować trochę jak z kapryśnym dzieckiem, pochlebiać, wciągać do grupy, bardziej dbać o emocje niż argumenty i analizy, a przede wszystkim nie dać się znudzić. To jest dziś największe niebezpieczeństwo, że prezydent USA, już wyraźnie zmęczony

trzygodzinnymi rozmowami na Alasce, wycofa się z nużących rozmów pokojowych, obwiniając za niepowodzenie (dokładnie jak Putin) Zełenskiego i „podtrzymujących wojnę” Europejczyków. Można i trzeba oburzać się na infantylizm, próżność, ignorancję Trumpa, ale dzisiejszy świat został tak skonstruowany, że bez amerykańskich gwarancji bezpieczeństwa i pomocy militarnej ani Ukraina, ani Unia nie zaznają trwałego (w miarę) pokoju. Europa – a przynajmniej największe kraje tworzące „koalicję chętnych” – też już jest świadoma, że za swoje bezpieczeństwo musi płacić: zakupami broni z Ameryki, inwestycjami w europejski przemysł obronny, utrzymywaniem zdolności oporu Ukrainy. Trzeba więc zrobić deal z Trumpem, żeby nie zrobił go z Putinem.

Agdzie my tutaj? Akurat w tym czasie, kiedy odbywał się szczyt na Alasce, mieliśmy w Polsce nasze spotkanie na szczycie: pierwszą bezpośrednią rozmowę nowego prezydenta z premierem. Też nie znamy ustaleń tego szczytu (jeśli były), też mamy wątpliwości co do formy. Zagrywka Karola Nawrockiego, aby kazać czekać gościowi i w ten sposób okazać swoją „wyższość”, to była straszna tandeta. Za żenujące trzeba również uznać zabiegi kancelarii Nawrockiego, aby w ostatniej chwili wyciąć Tuska z „poszczytowej” telekonferencji z Trumpem, a także późniejsze triumfalne komentarze, że oto Nawrocki jedzie w pierwszej klasie europejskich liderów (a Tusk, domyślnie, w drugiej). Dobrze było przynajmniej to, że prezydent Nawrocki, nowicjusz w polityce i po konferacku „ukrainosceptyczny”, wchodząc między uninijnych liderów, musiał „krakać” jak oni, czyli popierać stanowisko „nic o Ukrainie bez niej”.

Nawrocki szybko odbiera lekcję realizmu politycznego. Na waszyngtoński poniedziałkowy „szczyt po szczycie”, z udziałem prezydenta Zełenskiego i europejskich liderów, już zaproszony nie został. Po konfuzji, jaką musiała wywołać nieoczekiwana podmiana Tuska na Nawrockiego, do Waszyngtonu nie poleciał też premier. Tak oto sami przesiedliśmy się do wagonu drugiej klasy. I od razu ruszyła propagandowa wojna, kto kogo bardziej nie zaprosił. Nasza nieobecność w tych rozmowach to poważne ostrzeżenie. Donald Tusk po spotkaniu z Nawrockim deklarował, że wierzy w wolę nowego prezydenta unikania konfliktów w kwestiach bezpieczeństwa narodowego. Zaproponował, aby podtrzymać tradycyjny już w Polsce podział pracy: prezydent RP kontaktuje się z prezydentem USA i uczestniczy w szczytach NATO, premier reprezentuje kraj w UE. Oczywiście taka dwugłowa polityka zagraniczna, choć dziwaczna, może być wykonalna i skuteczna, jeśli jest dobra wola i wspólne rozumienie racji stanu. No właśnie: jeśli?

Może do Karola Nawrockiego, jego zaplecza i całego obozu prawicy powoli dotrze, że Trump reprezentuje jednak interesy USA i własne, a niekoniecznie Polski? Że naszą naturalną strefą bezpieczeństwa jest Europa; że lepiej, aby Ukraina była suwerenna i na drodze do członkostwa w Unii niż – jak Białoruś – kontrolowana przez Rosję. Że rywalizacja polityczna ma, powinna mieć, granice. Także retoryczne. A ze szczytu euforii po wyborczym zwycięstwie trzeba już schodzić na ziemię.

Gruzja - klejnot w koronie Kaukazu

Odkryj to, co najlepsze na Kaukazie: zachwycającą przyrodę, wspaniałe zabytki kulturalne i fantastyczną gruzińską kuchnię oraz wina.

Program wycieczki: Dz. 1 Warszawa – Tbilisi. Dz. 2 Tbilisi. Przyjazd i zwiedzanie miasta, w tym Stare Miasto, Kościół Metekhi, Twierdza Narikhala i Plac Wolności. Dz. 3 Tbilisi – Signaghi – Sagarejo – Tbilisi. Górskie wioski, degustacja wina i gruziński obiad. Dz. 4 Tbilisi – Mccheta – Gudauri. Lokalny targ, Katedra Świętej Cchoweli i Góry Kaukaskie. Dz. 5 Gudauri – Kazbegi – Gudauri. Imponująca natura, Kościół Świętej Trójcy i łatwe wędrowki. Dz. 6 Gudauri – Gori – Uplisciche – Kutaisi. Muzeum Stalina i starożytne miasto Uplisciche. Dz. 7 Kutaisi – Tskaltubo – Prometheus – Batumi. Sanatoria w Tskaltubo i imponujące Jaskinie Prometeusza. Dz. 8 Batumi. Zwiedzanie miasta, czas wolny i kolacja pożegnalna. Dz. 9 Batumi – Warszawa. Podróż powrotna.

2 posiłki dziennie

NOWOŚĆ

9 dni
Wyloty z Warszawy
11/05, 21/09 2026

6.998,-



Słoneczny stan Floryda

Program wycieczki: Dz. 1 Przelot Warszawa – Miami, USA. Zakwaterowanie w hotelu. Dz. 2 Całodniowa wycieczka na południowy kraniec Florida Keys i zwiedzanie Key West, nocleg w Marathon. Dz. 3 Marathon, azyl dla żółwi, Park Narodowy Everglades, rejs łodzią airboat i Fort Myers. Dz. 4 Fort Myers, zimowa rezydencja Edisona, St. Petersburg/Clearwater, Tarpon Springs i Crystal River. Dz. 5 Crystal River. Możliwość snurkowania z krowami morskimi w ich naturalnym środowisku. Wizyta w Homosassa State Park i Orlando. Dz. 6 Orlando. Wycieczka do St. Augustine i Daytona Beach, w tym wejście do zamku Castillo de San Marcos National Monument (dodatkowo płatne). Dz. 7 Orlando. Wycieczka do Kennedy Space Center, Cape Canaveral i Cocoa Beach (dodatkowo płatne). Dz. 8 Orlando. Czas wolny lub wspólny przejazd do parków rozrywki i na zakupy do Premium Outlets. Dz. 9 Miami. Coral Gables, Coconut Grove Park i Little Havana. Spacer po dzielnicy South Beach śladem architektury art déco. Dz. 10 Miami i powrót do domu. Dz. 11 Przyłot do Warszawy.

11 dni | Wylot z Warszawy 16/11 2025 | 12.998,-



KPO: trafiony niezatopiony

Ta afera będzie dla rządu dotkliwa. „W ciągu 48 godzin od pierwszych publikacji o liście beneficjentów z branży hotelarsko-gastronomicznej temat KPO osiągnął zasięg przekraczający 400 milionów wyświetleń i odsłon we wszystkich kanałach online” – raportowali przedstawiciele kolektywu analitycznego Res Futura, podkreślając, że to właśnie tyle, ile generują w polskim internecie największe kryzysy polityczne ostatnich lat.

Wszystko zaczęło się w pierwszych dniach sierpnia, gdy w mediach społecznościowych pojawiły się wpisy internautów – na podstawie informacji udostępnionych wcześniej przez Ministerstwo Funduszy – o tym, czego dotyczy część wniosków o dofinansowanie z KPO w części zwanej HoReCa (skrót od: Hotel, Restaurant, Catering). Znalazły się tam m.in. jachty, ekspresy do kawy, solarium czy platforma e-learningowa do nauki gry w brydża.

Krajowy Plan Odbudowy i Zwiększania Odporności po pandemii koronawirusa został przyjęty przez Radę Unii Europejskiej w czerwcu 2022 r., za rządów PiS. Zakłada, że Polska otrzyma prawie 60 mld euro (ok. 255,8 mld zł), w tym 25,27 mld euro w postaci dotacji i 34,54 mld euro w formie preferencyjnych pożyczek, do wykorzystania do końca 2026 r. Pieniądze mają być wydane na reformy i inwestycje w sześciu obszarach: odporność i konkurencyjność gospodarki; zielona energia; transformacja cyfrowa; efektywność, dostępność i jakość systemu ochrony zdrowia; zielona, inteligentna mobilność; oraz bezpieczeństwo energetyczne.

Spór rządu PiS z Brukselą o praworządność spowodował zablokowanie pieniędzy, a pierwszy wniosek Polski o wypłatę środków z KPO został złożony już po zmianie władzy, 15 grudnia 2023 r. Pierwsze fundusze (ok. 27 mld zł) wpłynęły niespełna pół roku później. Do tej pory Polska otrzymała z KPO 67 mld zł. W tym roku Warszawa chce jeszcze złożyć szósty i siódmy wniosek o płatność, a w przyszłym roku – dwa kolejne.

Nabory w ramach wsparcia dla branży HoReCa ruszyły w maju 2024 r. Wysokość dofinansowania wynosiła od 50 tys. do 540 tys. zł. Według danych PARP w ramach wsparcia branży hotelarsko-gastronomicznej ze środków KPO podpisano 3005 umów

z przedsiębiorcami, a według stanu na koniec lipca 2025 r. przedsiębiorcom wypłacono 110 mln zł z całkowitej kwoty wsparcia wynoszącej 1,24 mld zł. Dla porównania: w ramach całego KPO zawartych zostało jak dotąd 847,9 tys. umów na kwotę niemal 141 mld zł, co stanowi ok. 54 proc. całości alokacji KPO.

„Sprawa jest skandaliczna” – skomentował aferę zaraz po jej ujawnieniu odpowiedzialny za kwestię KPO wiceminister funduszy Jan Szyszko. Początkowo to on, ze względu na urlop **Katarzyny Pełczyńskiej-Nałęcz**, wziął na siebie tłumaczenie mediom i wyborcom, co było powodem nieprawidłowości. Ministra po kilku dniach przerwała wyjazd wypoczynkowy i stawiała się na posiedzeniu rządu, gdzie długo tłumaczyła się premierowi. Następnie wielokrotnie wypowiadała się na ten temat w mediach i na konferencjach.

Jak oświadczyła: „Żadne środki z KPO dla branży HoReCa nie zostaną wypłacone, dopóki poszczególne umowy nie zostaną skontrolowane i uznane za zgodne z zasadami programu wsparcia dywersyfikacji tego sektora”. Kontrole potrwają do końca września, jednocześnie prokuratura podjęła czynności sprawdzające. Komisja Europejska, która ma własne narzędzia kontroli nieprawidłowości (m.in. za pośrednictwem instytucji takich jak Europejski Urząd ds. Zwalczania Nadużyć Finansowych), uznała, że na tym etapie nie będzie się angażować, a sprawę mają wyjaśnić polskie władze.

Czy tłumaczenia ministrowie usatysfakcjonowały premiera? „Średnio” – ocenił **Donald Tusk** na konferencji 13 sierpnia. Dodał jednak, że ma jeszcze trochę cierpliwości do ministrowi, z którą zresztą na co dzień niełatwo mu się współpracuje. Pełczyńska-Nałęcz pozostała w rządzie (jako najważniejsza polityczka Polski 2050, po Szymonie Hołowni, jest właściwie nietykalna), co więcej, oświadczyła, że żaden wiceminister z jej resortu nie zostanie zdymisjonowany.

Tydzień po rozpoczęciu afery kolektyw Res Futura zbadał, kto według internautów odpowiada za nieprawidłowości w wydatkowaniu KPO. Wyniki były zaskakujące, bo użytkownicy mediów społecznościowych podzielili się na dwie główne, podobnie liczące grupy. Według pierwszych wina spoczywa na PiS (który negocjował cały Plan i to on ustalił luźne kryteria pozwalające uzyskać dofinansowanie), według drugich – na KO (która Plan realizuje).

Sprawa będzie jednak sporym kłopotem dla rządzących. Po przegranej w wyborach prezydenckich i z perspektywą trudności we wdrażaniu ambitnych zmian (które może blokować prezydent), inwestycje z pieniędzy europejskich miały być flagowym sukcesem rządzących – bo korzyści z nich mieli poczuć wyborcy pod koniec kadencji, czyli przed kolejnymi wyborami. W trudnej sytuacji politycznej to właśnie inwestycje i rozwój miały pomóc rządowi wyjść na prostą i udowodnić obywatelom, że ich rządy też mogą przynieść konkretną i odczuwalną zmianę w ich życiu. I wciąż może tak być, jednak KPO jeszcze przez długi czas będzie kojarzyć się wyborcom z bezsensownym wydawaniem pieniędzy na jachty.

Po blisko dwóch tygodniach temat niby powoli wygasa, ale polityczni przeciwnicy starają się zadbać o to, żeby trochę jeszcze pożył. PiS organizuje objazdową wystawę „Kasa Platformy Obywatelskiej” ws. dotacji z KPO. Politycy tej partii jeżdżą po kraju i rozmawiają z mieszkańcami o aferze. Ministerstwo stara się natomiast kontynuować działania naprawcze. Kilka dni temu ruszyła kampania we wszystkich powiatach – dla każdego inna – o tym, jakie są najważniejsze dla mieszkańców inwestycje lokalne finansowane z KPO. Ma to pokazać, że korzyści z KPO wielokrotnie przewyższają straty wynikające z nieprawidłowości.

JOANNA SAWICKA



Dodatek za mundur

Od 900 zł do 1,8 tys. zł dodatku mieszkaniowego miesięcznie dostaną policjanci i inni funkcjonariusze. Przyjęty przez rząd projekt ustawy zakłada również nowe formy zwrotu kosztów dojazdu do pracy albo domu. Niektórzy będą mogli skorzystać z obu świadczeń. – *To miłowy krok w wyrównywaniu świadczeń socjalnych między policją i wojskiem, a w wymiarze indywidualnym poważny zastrzyk gotówki* – komentuje mł. insp. Sławomir Koniuszy, wiceszef NSZZ Policjantów. Organizacja, do której należy co drugi funkcjonariusz, domagała się w tym roku podwyżki dla mundurowych o 15 proc., ale rząd się nie ugiął i pozostał przy podwyżce 5-proc. Tym bardziej jednak związkowcy dociskali na zmiany w dodatkach mieszkaniowych.

Zgodnie z projektem, który rząd Donalda Tuska przyjął 12 sierpnia, dotychczasowe uprawnienia mieszkaniowe (prawo do lokalu

albo równoważnik za brak lokalu, czyli najwyżej kilkaset złotych miesięcznie) zastąpi rozwiązanie obowiązujące w wojsku. Policjantowi będzie przysługiwać przydział lokalu mieszkalnego, kwatery tymczasowej, miejsca w internacie albo świadczenie mieszkaniowe, np. na spłatę kredytu hipotecznego.

Jak mówił rzecznik rządu Adam Szałpka, ustawa będzie elastyczna. To funkcjonariusze mają mieć możliwość wybrania odpowiadającej im formy (o ile oni sami lub ich małżonkowie nie są już właścicielami lub współwłaścicielami mieszkania). Dodatek nie będzie opodatkowany, jego wysokość uwzględni tzw. mnożnik terytorialny (lokalne ceny kupna i wynajmu mieszkań), a policjant pracujący poza miejscem zamieszkania będzie mógł wybrać także to, czy chce przelicznika z miejsca pracy, czy też z miejsca zamieszkania. Jeśli wybierze drugie rozwiązanie, będzie mu się należała również tzw. dojazdówka (140–220 zł miesięcznie w zależności od odległości), której zasady rząd przy tej okazji uprościł.

Ustawa ma wejść w życie jesienią z mocą obowiązującą od 1 lipca br. To oznacza, że jeszcze w tym roku funkcjonariusze dostaną świadczenia z wyrównaniem. Zmiany mają zatrzymać policjantów w służbie i zwiększyć nabór, a w rezultacie ograniczyć liczbę wakatów. Trend jest korzystny: odziedziczony po rządach PiS odsetek wakatów spadł z ponad 14 do 12 proc., a przez pierwsze półrocze 2025 r. przyjęto do pracy w policji dwa razy więcej osób niż przed rokiem. Rozwiązania zawarte w projekcie obejmą również strażaków, funkcjonariuszy Straży Granicznej, ABW, Agencji Wywiadu, SKW, Służby Wywiadu Wojskowego i SOP. (ZBOR)

Zrzutka na rolnika

Fetor z chlewni kosztował **Szymona Klukę**, rolnika z Grodziska pod Łodzią, 120 tys. zł. O sprawie pisaliśmy rok temu, kiedy w precedensowym wyroku za uciążliwość zapachową sąd ukarał hodowcę świń. Rolnik złożył skargę kasacyjną, ale Sąd Najwyższy właśnie utrzymał wyrok w mocy. Kluka zapłacił już całą sumę i nie ukrywa rozgoryczenia. W rozmowie z branżowym „Tygodnikiem Poradnikiem Rolniczym” mówił, że politycy obiecywali mu wsparcie, ale na obietnicach się skończyło – podobnie zresztą jak w przypadku ustawy zwiększającej ochronę rolników.

Tymczasem Ministerstwo Rolnictwa zapewnia, że projekt ustawy o produkcyjnej funkcji wsi jest już w procesie legislacyjnym. A minister Stefan Krajewski zapowiada, że rolnikowi pomoże: obiecuje pomoc prawną z resortu oraz finansową od PSL. „*Mam zgodę władz naczelnych, by z funduszy partyjnych uzupełnić brakującą kwotę do trwającej zbiórki na rzecz rolnika spod Łodzi*” – zapewnia minister. Na portalu zrzutka.pl zebrano już ponad 80 tys. zł. – *Celem moich działań jest też stworzenie ustawodawstwa, które będzie chroniło rolników w podobnych przypadkach* – mówi minister. – *Za mną bardzo dobra rozmowa z ministrem sprawiedliwości Waldemarem Żurkiem, który podpowiedział pewne rozwiązania.*



Kolejne spotkanie szef resortu rolnictwa miał z RPO: – *Nakłaniam Rzecznika, żeby złożył skargę nadzwyczajną. Obawiam się, że ten wyrok i ta sprawa mogą być zachętą dla innych, by występowali o odszkodowania.*

Stefan Krajewski dodaje, że celem resortu jest ochrona interesów rolników: – *Dlatego będę teraz rozmawiał również z Arkadiuszem Myrchem, sekretarzem stanu w MS, w sprawie nowych przepisów, które mają ułatwić podział wsi pod względem funkcjonalności na takie, które spełniają funkcję mieszkalną i produkcyjną.*

To właśnie był problem w przypadku Szymona Kluki, którego działka jest w środku wsi i ma zaledwie dwadzieścia kilka metrów szerokości. 14 lat temu, gdy rolnik dostał pozwolenie na budowę nowej tuczarni na 360 świń, zaczęła protestować sąsiadka z prawej strony, której dom jest 8 m od chlewni. Wojewoda jej skargę odrzucił. Kluka chlewnię postawił i w 2014 r. zasiedlił pierwszą partią prosiąt. Do protestującej sąsiadki z prawej dołączyli sąsiedzi z lewej (30 m od chlewni) i zaskarżyli decyzję wojewody do sądu. Trzy lata później Urząd Wojewódzki w Łodzi unieważnił pozwolenie na budowę. „*Hałas czy zapachy są nierozdzielnie związane ze wsią i z działalnością rolniczą*” – mówił niedawno na konferencji minister Krajewski. To jednak nie powinno oznaczać, że można tuczarnię na skalę przemysłową budować kilka metrów od okien sąsiadów. (AS)

Kto ma więcej armat

Tomasz Nałęcz

Historyk, profesor UW, polityk;
doradca prezydenta RP w latach 2010–15



Konstytucja wymaga od prezydenta, by kierował się interesami państwa i reprezentował wszystkich obywateli. Zakłada też jego współdziałanie z rządem, bo bez tego państwo działa coraz gorzej, ze szkodą dla nas wszystkich. Obejmując stanowisko, politycy wcześniej nominat powinien więc przeobrazić się w męża stanu stojącego ponad rywalizacją stronnictw.

Karol Nawrocki zna ten konstytucyjny imperatyw. W mowie inauguracyjnej zapalił mu ogarek. Świecę umieścił jednak w innym ołtarzu, wygłaszając najbardziej konfrontacyjne wystąpienie w ponadstuletniej historii Zgromadzenia Narodowego. Także pierwsze urzędowe ruchy zdradzają, że będzie ostro walczył z rządem, pod stawiając mu nogę na każdym kroku.

Nawrocki postępuje tak, jakby nie był głową państwa, tylko szefem kampanii PiS przed wyborami 2027 r. Stroi się przy tym w ornat i ogonem na mszę dzwoni. Jako własne projekty ustaw zgłasza obietnice demokratycznej koalicji. Rząd nie zrealizował ich do tej pory, bo zrujnowałyby i tak ledwie zipiące finanse publiczne. Prezydent się nimi nie przejmując i wspina na himalaje populizmu, choć jako strażnik konstytucji winien strzec budżetu przed katastrofą, którą nieuchronnie ściągnęłoby rozdawnictwo, które forsuje. Tak postępując, Nawrocki gra rolę wyznaczoną mu przez Kaczyńskiego. Jest taranem niszczącym mury rządowej twierdzy. Pisowska

propaganda nawet tego nie ukrywa, zapewniając, że dni Tuska są policzone.

Chłodny osąd nakazuje opatrzyć to znakiem zapytania. W polityce, jak na wojnie, większe szanse ma ten, kto posiada więcej armat. W boju prezydenta z rządem orężem są konstytucyjne kompetencje obydwu organów. Premier i rząd mają tu ogromną przewagę, w większości spraw prezydent może bowiem tylko demonstrować albo wetem wcisnąć hamulec, ale realnej mocy nie posiada.

Jego siłę rażenia mogłoby znacząco zwiększyć wsparcie obywateli. Przekonał się o tym przed laty gabinet Jerzego Buzka, przegrywając wojnę o liczbę województw z Aleksandrem Kwaśniewskim, uskrzydłonym mocą społecznych protestów. Aby jednak takie sytuacje były możliwe, prezydent musi mieć autorytet większy niż jego dawne partyjne zaplecze. Tymczasem Nawrocki robi wiele, by nie zdobyć tego atutu. Nie zabiega choćby o Konfederację i jej wyborców, którym zawdzięcza sukces w drugiej turze. Patrzy beczynnie, jak Kaczyński zwalcza to środowisko, zwłaszcza niedającego sobie dmuchać w kaszę Sławomira Mentzena.

Jeśli prezydent nadal będzie podążał pisowskim kursem, popadnie w tarapaty. Dopiero uczy się politycznej gry na najwyższym poziomie, podczas gdy jego główny przeciwnik premier Tusk jest w tej konkurencji prawdziwym mistrzem. Widać to w batalii toczącej się o Ukrainę. Premier twardo jej broni. Wie, jak bardzo groźne dla Polski i niepopularne wśród rodaków byłoby oddanie tego kraju w sferę wpływów Rosji. To zaś dopuszcza Trump, a Nawrocki ślepo żyruje jego politykę. Zupełnie nie liczy się z tym, że w przypadku nowej Jałty bardzo narazi się Polakom, dobrze pamiętającym sprzedanie ich Stalinowi przez innego amerykańskiego prezydenta w 1945 r.

Stan przed dzwonkiem

Zacisnąć zęby i przeczekać – taki mają plan nauczyciele na najbliższy rok szkolny. Uczniowie nie mają jeszcze żadnego. Bo plany lekcji właśnie zaczęły się pisać – odpowiedzialni za to pedagodzy najwcześniej kończą urlopy. Są wakaty, więc trzeba dogodzić najbardziej rozchwytywanym przedmiotowcom. Informatycy, fizycy, matematycy i nauczyciele przedmiotów zawodowych już ostrzegali, że się zwolnią, jeśli plan nie będzie im pasował. Pensje nie pasują nikomu i nie zachęcają do pracy w zawodzie, ale nie drgną przed 1 stycznia 2026 r. ZNP na wrzesień zapowiedział akcję protestacyjną.

Szkolne plany komplikuje też sprawa katechezy – zgodnie z rozporządzeniem MEN lekcja religii ma być odtąd jedna w tygodniu (zamiast dwóch), umieszczona w dodatku na pierwszej lub ostatniej godzinie zajęć. Wyjątek: jeśli cała klasa się zapisze, katecheza może się odbyć między lekcjami. Zasady różnią się w zależności od etapu edukacji. Trybunał Bogdana Świączkowskiego w lipcu rozporządził, że MEN „uchylił”, MEN radzi ten wyrok zignorować, a szkoły mają dylemat, kogo słuchać. Podobny rozdzźwięk dotyczy liczenia ocen z religii do średniej. Jedno jest pewne: „Katecheta już wie, że będzie miał najgorszy układ zajęć”, pisze na polityka.pl polonista Dariusz



Chętkowski. Ministra Nowacka radzi się przekwalifikować.

A są do obsadzenia nowe przedmioty: od września wchodzi do szkół edukacja zdrowotna i edukacja obywatelska (ta w miejsce HiT). Na edukację zdrowotną są zapisani automatycznie wszyscy uczniowie, ale rodzice mogą ich bez konsekwencji wypisać. W podstawach programowych lekcji WF też nowina: testy sprawnościowe i lekcje samoobrony. „Czyżby uczniowie mieli poczuć przedsmak służby wojskowej, która w niedalekiej przyszłości może być obowiązkowa?”, pyta nieśmiało Chętkowski.

Nie jest pewny los prac domowych (zakazać też w szkołach średnich czy przywrócić). Nowością są za to oceny funkcjonalne dla uczniów ze specjalnymi potrzebami (od przyszłej wiosny). Czy czegoś ubędzie? Znikną tzw. godziny czarnkowe: nauczyciele musieli być do dyspozycji dla uczniów i rodziców. Trochę odetchną, ale cały najbliższy rok będzie czasem wdrożeń i szkoleń przed Reformą26, jak MEN określa wielką reformę oświaty, która ma się dokonać w 2026 r. „Początek roku szkolnego tak daje w kość dyrektorom, że prawie każdy bierze w październiku kilka dni urlopu”, zwraca uwagę Chętkowski. Dla reszty są ferie, ale to dopiero w grudniu. (AŻ)

Więcej o tym, co czeka szkoły od września, w tekście Dariusza Chętkowskiego na polityka.pl



**Święto
Solidarności
i Wolności**

Fot. Edward Roedin / Zbiory ECS

45 ROCZNICA PODPISANIA POROZUMIEŃ SIERPNIOWYCH

program obchodów
jubileuszowych
ecs.gda.pl

45 lat temu zrobiliśmy pierwszy krok ku wolności i demokracji
Bez rozlewu krwi naród zmusił władzę do ustępstw
Rewolucja Solidarności była wielkim, wspólnym sukcesem

Żywimy wdzięczność wobec tych, którym zawdzięczamy wolność
Wierzymy, że międzyludzka solidarność
i dziś czyni życie lepszym

Zapraszamy do Europejskiego Centrum Solidarności
Gdańsk, plac Solidarności 1

ORGANIZATORZY ECS

ECS europejskie
centrum
solidarności

 Ministerstwo Kultury
i Dziedzictwa Narodowego

 GDĄSK

 SAMORZĄD
WOJEWÓDZTWA POMORSKIEGO

Okrajanie Ukrainy

Powitany na czerwonym dywanie, oklaskiwany przez prezydenta Donalda Trumpa, zaproszony do pancernej „bestii”, zza której szyb uśmiechał się do fotoreporterów. Władimir Putin przyleciał na Alaskę jak w odwiedziny do dawno niewidzianego starego przyjaciela, z którym może miał jakieś zaszłości, ale zawsze się dogada. Jak sam powiedział, była to wizyta sąsiedzka. Co prawda w powietrzu pojawił się bombowiec, a na płycie lotniska stały cztery myśliwce, ale przecież Trump nie ma zamiaru z Putinem walczyć, chciałby się z nim układować. Samoloty nie miały więc Putina straszyć, tylko dodać splendoru miejscu, gdzie trudno o złote litery na wieżowcach. „Dążenie do pokoju” – taki napis w centrum konferencyjnym witał człowieka oskarżonego o zbrodnie wojenne, sprawcę największej od kilku dekad wojny w Europie.

To miał być szczyt przełomu – Trump dał sobie aż 75 proc. szans na porozumienie. Jednak żadnego „układu alaskańskiego” nie podpisano i do pokoju wciąż trzeba dążyć. Trzy godziny rozmów nie przyniosły żadnych konkretów, poza tym, że warto rozmawiać dalej. Putin wystąpił z kolejną polityczno-historyczną tyradą, tym razem o rosyjsko-amerykańskim braterstwie broni i wspólnocie interesów. Ukrainę potraktował jak zawsze marginalnie, znów odwołując się do „fundamentów konfliktu”, które stoją na drodze do pokoju.

T Trump, wyraźnie znudzony, mówił krótko i ogólnikowo – o produktywnych rozmowach i chęci na dalsze – ale zrezygnował z ulubionej części, czyli odpowiedzi na pytania dziennikarzy. Zdawało się, że z braku dealu Alaski nie przyniosła niczego poza wizerunkową porażką Trumpa i łatwym zwycięstwem Putina na gesty, miny i obrazki. Gdy jednak zza kulis zaczęły się wyłaniać szczegóły rozmów, powiało grozą. Prezydent Stanów Zjednoczonych miał przyjąć rosyjski punkt widzenia na zakończenie wojny bez wcześniejszego rozejmu i zaakceptować bezprawne roszczenia terytorialne Rosji do obwodu donieckiego i ługańskiego, których mimo wojny trwającej ponad trzy lata nie udało się Ukrainie w pełni odebrać. W zamian Rosja miałaby wycofać się z ukraińskich obwodów sumskiego i charkowskiego oraz zamrozić front na południu. Krym, rzecz jasna, miałby być poza zasięgiem Ukrainy, podobnie jak członkostwo w NATO.



- 1 Terytorium Ukrainy okupowane przez Rosję
 - 2 Część Donbasu, wciąż pod kontrolą Ukrainy, którą Rosja chce przejąć
 - 3 Tereny, z których mieliby wycofać się Rosjanie
- Linia frontu (stan z 18.08.2025)

Oddanie przez Kijów „ziemi za pokój” od początku było planem Trumpa, ale w ostatnich tygodniach zdawał się podkreślać potrzebę zawieszenia broni, zanim dojdzie do terytorialnych cesji. Po spotkaniu na Alasce wcisnął gaz do deski. Na poniedziałek zaprosił do Waszyngtonu Wołodymyra Zełenskigo, który wziął ze sobą kilku przywódców europejskich. Ci ostatni przez cały weekend, w różnych formatach, ustalali wspólną reakcję na wydarzenia, które zaczęły bieć niebezpiecznie szybko. Nie żęby nie chcieli zakończenia wojny i ustanowienia trwałego pokoju – lecz z poszanowaniem interesów Ukrainy i nie ponad głową Europy.

Nikt nie ma wątpliwości, że Putinowi chodzi o coś więcej niż zdegradowanie statusu Ukrainy. Chce dyktować warunki wojny i pokoju na całym kontynencie, a amerykański przywódca może mu to ułatwić, nawet jeśli ma dobre intencje. Trump, co jest pewną zmianą na lepsze, tym razem nie odmawiał Europejczykom konsultacji ani przed, ani po spotkaniu z Putinem. Ale przed poniedziałkowym szczytem napisał, że to Zełenski może w każdej chwili zakończyć wojnę, jeśli przyjmie, że Ukraina nie odzyska Krymu i nie wejdzie do NATO (o Donbasie nie wspominał).

Te negocjacje, których rezultat powinien być już znany, kiedy ukaże się ten numer POLITYKI, to jeden z najważniejszych testów dla prezydenta Zełenskigo i wspierającej go europejskiej ekipy. Na szali jest jego miejsce w historii – i przyszłość europejskich

przywódców jako geopolitycznych graczy. Najważniejsze zadanie to ustalić zachodnie gwarancje bezpieczeństwa dla Ukrainy, na które – jak zapewnił Steven Witkoff, negocjator Trumpa – miał przystać Putin i w których jakoś mają uczestniczyć Amerykanie. Zełenskigo wesprą ci, którzy udowodnili, że z Trumpem umieją rozmawiać grzecznie, ale stanowczo. Emmanuel Macron, Keir Starmer, Friedrich Merz czy Mark Rutte – wszyscy wychodzili z Gabinetu Ovalnego z godnością i w dobrej komitywie z gospodarzem. Ale co zrobią, jeśli uznają, że najważniejszemu sojusznikowi zaczyna być bliżej do głównego wroga? Czy Zełenski będzie polemizować z Trumpem, pamiętając skutki poprzedniej próby? Jak odniesie się do planu faktycznego rozbioru Ukrainy?

Szczyt Europa–Ukraina–USA może w jakimś stopniu zdefiniować porozumienie USA–Rosja–Ukraina, spodziewane nawet w najbliższy piątek, bo to Europa będzie ponosić finansowy ciężar odbudowy Ukrainy i dostarczać wojska mające utrzymywać i stabilizować pokój. „Koalicja chętnych” odżyła po kilku miesiącach uspiania i znowu deklaruje gotowość do takiej misji. Jednak żaden szanujący się europejski przywódca nie wyśle żołnierzy bez wpływu na warunki rozejmu i status misji. Tylko że po Alasce Trump na nowo nabrał przekonania o zdolności narzucania światu najlepszych, bo własnych, pomysłów i tych – równie dobrych – Putina.

MAREK ŚWIERCZYŃSKI

Rozmowa o Ukrainie s. 12

28 razy Wałęsa

Lech Wałęsa przybywa pod koniec sierpnia do USA, by wygłosić tam serię przemówień. Po odejściu na polityczną emeryturę odbył wiele takich amerykańskich podróży, ale tak długiej, jak ta najnowsza, jeszcze nie było. W ciągu dwóch miesięcy, we wrześniu i październiku, 81-letni Wałęsa odwiedzi 25 wielkich miast amerykańskich, m.in. Nowy Jork, Chicago, San Francisco, Houston, St. Louis, Miami i Baltimore, oraz trzy w Kanadzie: Montreal, Toronto i Vancouver. Będzie przemawiał, odpowiadał na pytania słuchaczy i podpisywał swoje książki. Objazd rozpocznie się w Los Angeles 31 sierpnia, w 45. rocznicę podpisania w Gdańsku porozumień sierpniowych. O tournée od miesiąca informuje ogłoszenie emitowane codziennie w telewizji CNN i eksponowane w innych

Xiongan przyszłości

Rozpoczęła się wielka przeprowadzka z Pekinu do **Xionganu**, o 100 km na południe od stolicy. Od 2017 r. to futurystyczne miasto, które ma odciążyć stolicę, powstaje pośrodku niczego. Liczy już ponad 1 mln mieszkańców, przez jakiś czas stało niepokojąco puste, ale właśnie zaczął się ruch. Ostatnio przeniosły się tu dwa państwowe giganty: satelitarny CSNG i energetyczny Huaneng, tym tropem szybko pójdą inne, także instytuty badawcze w branży nowych technologii, filie największych pekińskich szpitali i wyższych uczelni, z Uniwersytetem Pekijskim na czele (w kampusie mieszka już ponad 100 tys. studentów). Docelowo, czyli w okolicach 2035 r., ma mieć 5 mln mieszkańców, czyli skromnie jak na chińskie warunki. 70 proc. powierzchni, odpowiadającej trzem Nowym Jorkom, zajmie zieleni, budynki przeważnie do pięciu pięter i bardzo mało samochodów. Xiongan będzie miastem piętnastominutowym (wszystko, czego potrzeba – o kwadrans spacerem) i bezgotówkowym; Bank Chin prowadzi tu eksperyment z cyfrowym juanem – na podstawie systemu rozpoznawania twarzy. W miejskim centralnym systemie informacyjnym przydadzą się też wszechobecne kamery i czujniki.

Równolegle prowadzi się dwa inne ważne eksperymenty społeczne: pierwszy dotyczy *hukou*, obowiązkowego meldunku. Wprowadzono go w latach 50., aby uniemożliwić ucieczkę ze wsi do miast, i obowiązuje do dziś. Żeby otrzymać tu meldunek, trzeba być fachowcem, specjalistą z wykształceniem, osobą rozwojową i płacić wysokie podatki. Chętnych do funkcji usługowo-obslugowych wylania się w losowaniu, niczym w amerykańskiej loterii wizowej, meldunek upoważnia do bezpłatnego transportu, ochrony zdrowia i oświaty, ale jest ważny tylko pięć lat. Wymagany jest też w celu nabycia mieszkania, przy czym nie wolno mieć żadnych innych, a handlować można tylko lokalami wybudowanymi – to wniosek z ogromnej bańki spekulacyjnej na rynku nieruchomości. Inny eksperyment to obowiązkowe odprowadzanie przez każdego pracodawcę składek emerytalnych, w Chinach nowość.



Z miastami przyszłości w różnych częściach globu bywało rozmaicie, powodzenie tej akurat inicjatywy gwarantuje osobisty patronat przewodniczącego Xi Jinpinga; to jego oczko w głowie, lubi tu bywać i podkreślać tempo. Ma to być jego pomnik. Z Deng Xiaopingiem kojarzy się, dziś 20-milionowa, specjalna strefa ekonomiczna w Shenzhen oraz Pudong, wielkie centrum biznesowe w Szanghaju. Xi pozostawi po sobie Xiongan. Bezpieczne jest finansowanie projektu – głównie ze środków państwowych; nie widać tu żadnych zagranicznych inwestycji. Dotychczas pochłonął – według „Economista” – 840 mld juanów (ok. 400 mld zł), ale do końca daleko.



amerykańskich mediach, przypominające jego walkę z komunizmem i pamiętne wystąpienie w Kongresie w 1989 r.

Celem podróży, jak powiedział rzecznik byłego prezydenta Adam Domiński, jest promocja Polski i relacji polsko-amerykańskich. Nikt inny nie nadaje się do tego zadania lepiej. W Ameryce Wałęsa – obok Tadeusza Kościuszki, Kazimierza Pułaskiego, Jana Pawła II i Ignacego Jana Paderewskiego – jest najbardziej znanym Polakiem o wciąż niekwestionowanym moralnym i politycznym autorytecie. Tematyka jego przemówień, zapowiadają organizatorzy, obejmie takie kwestie jak „wyzwania dla demokracji” i wojna Rosji z Ukrainą. A więc nie tylko historia, również sprawy bardzo aktualne.

To dobrze, że wtedy, gdy urodzony trzy lata po porozumieniach gdańskich nowy

prezydent RP będzie gościł na sesji ZG ONZ w Nowym Jorku, główny ich sygnatariusz przypomni Amerykanom, że Polska to także dziedzictwo Solidarności. Po niedawnych wyborach prezydenckich Wałęsa bardzo krytycznie wypowiadał się o ich zwyczaju i oświadczał nawet, że „zostały sfalszowane”. Sugerował też, że udaje się na emigrację wewnętrzną. Podróż do USA świadczy o tym, że – na szczęście – nie dotrzymuje słowa.

Tę wyczerpującą peregrynację organizują History Explorer i AP Event Services. Liczą, że sprzedaż biletów na spotkania z jego udziałem – najtańsze za 100 dol. – pokryje koszty, a samo ogłoszenie w CNN nie jest tanią pozycją w budżecie. Rzecznik History Explorer poinformował, że sprzedano już ok. 10 tys. biletów, ale przyznał, że szuka się dodatkowych prywatnych sponsorów.

TOMASZ ZALEWSKI Z WASZINGTONU

Donald Trump i Władimir Putin w bazie lotniczej Elmendorf-Richardson w Anchorage na Alasce

Jaki pokój

Rozmowa z Piotrem Łukasiewiczem, szefem polskiej ambasady w Kijowie w randze chargé d'affaires ad interim.

AGNIESZKA LICHNEROWICZ: – **Rosja powoli wygrywa?**

PIOTR ŁUKASIEWICZ: – Rosja mozolnie podbija ukraińskie terytorium, powoli i kosztem ogromnych strat – ponuro dla mnie satysfakcjonujących. Nie ma jednak mowy o przełomie frontowym. Realizuje się trójetapowa strategia ukraińska, widoczna od początku pełnoskalowej wojny: bronić się zaciekle, mobilizować zachodnich sojuszników i czekać, aż na Kremlu nastąpi załamanie. Problem polega na tym, że pierwsze dwa czynniki tej strategii są mimo przeszkód osiągalne, ale trzeci jest niepewny.

Na poziomie operacyjnym Rosjanom też nie idzie najlepiej. To jest zdumiewające, jak słabych mają sztabowców. Wygrywają taktycznie. Ale wojen tak się nie wygra.

Czy po spotkaniu Trump–Putin na Alasce odpowiedź na pytanie o koniec wojny jest choć trochę bliższa?

15 sierpnia to był dobry dzień. Świętując 105. rocznicę Bitwy Warszawskiej, przypomnieliśmy, że Rosję można pokonać militarnie. Przypomnieliśmy też, że w tamtym zwycięstwie wsparli nas Ukraińcy. Po drugie, to był dobry dzień, ponieważ Ukraińcy z obecnego pola walki wyeliminowali kolejny tysiąc Rosjan. I zamknęli pod Pokrowskiem i Dobropilją coś, co wyglądało

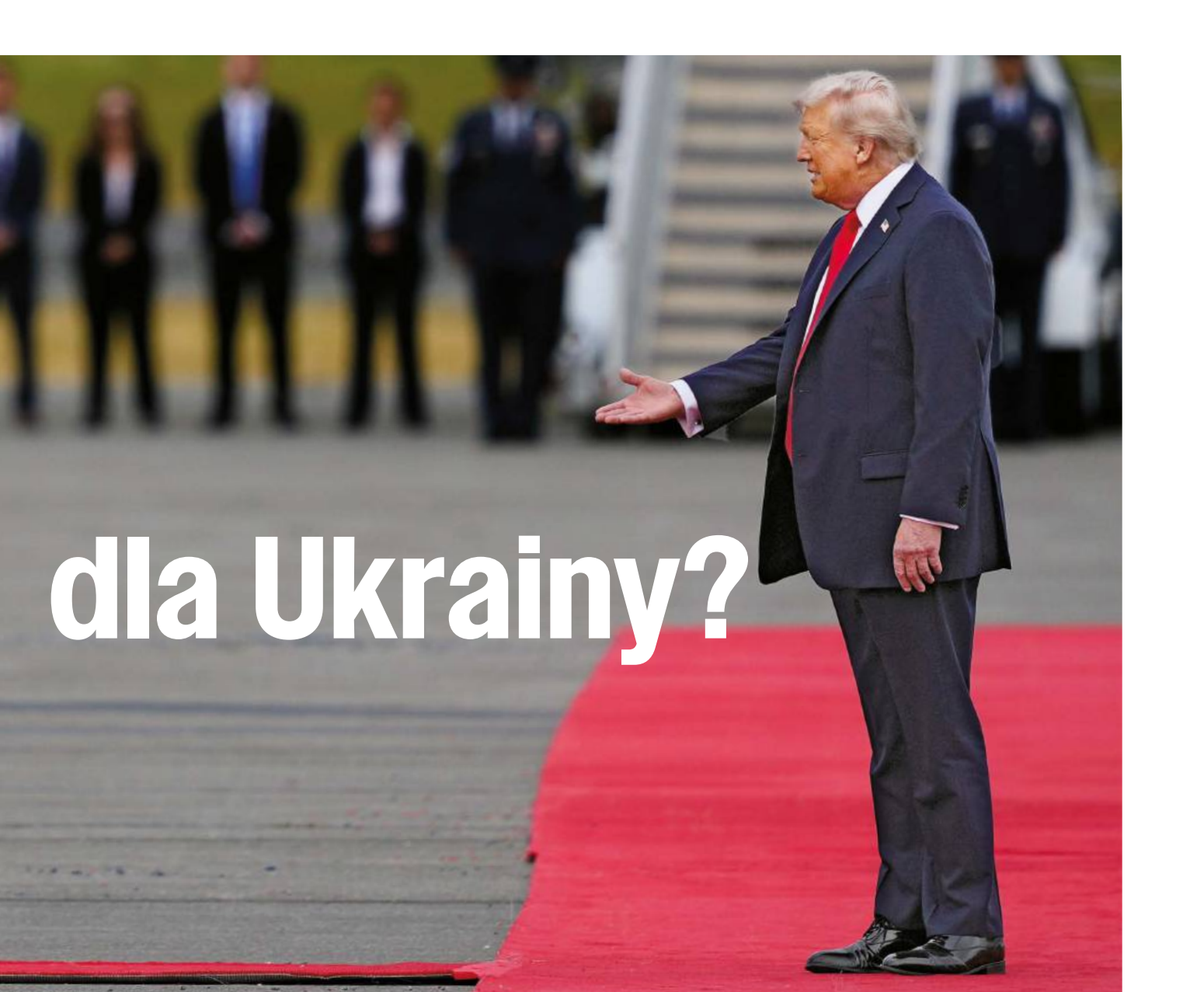
na poważny włam rosyjski w ich linię obrony, który Putin najwyraźniej chciał wykorzystać do pokazania, że ostatecznie przeważa ukraińską obronę.

A spotkanie na Alasce, czerwony dywan dla Putina?

Dobrze, że mają miejsce starania o zakończenie wojny. Nie należy jednak wyrywać tego spotkania z kontekstu; szczyt Trump–Putin to część szerszego procesu, w którym bronimy zasady, że nie można decydować o Ukrainie ponad Ukrainą i Europą, zwłaszcza Europą Środkową. Naszym zadaniem jest też wyjaśnianie, że nie ma czegoś takiego jak „głębokie przyczyny wojny”, o których Putin opowiada od czterech lat. Jediną przyczyną wojny jest imperialna inwazja rosyjska pod fałszywymi powodami.

Gdy Putin mówi o „głębokich przyczynach”, to kłamie, że to Zachód i Ukraina sprowokowały wojnę, a Moskwa tylko się broni. Na Alasce prezydent Rosji powtórzył tę narrację.

Nie możemy się zgodzić na otwarcie rozmów z Rosją o „głębokich przyczynach wojny” i ich „wyeliminowaniu”, a co za tym idzie – o nowej, wymyślonej na Kremlu, architekturze bezpieczeństwa w Europie. To zatruta koszula dla Europy.

A photograph of Donald Trump standing on a red carpet, gesturing with his right hand. He is wearing a dark suit, a white shirt, and a red tie. In the background, several people in dark suits are standing in a line, and a set of stairs is visible. The image is slightly blurred in the background.

dla Ukrainy?

Jego żądania zakładają nie tylko zakaz członkostwa Ukrainy w NATO, ale również wycofanie wojsk Sojuszu Północno-atlantycznego, a więc głównie amerykańskich, z Polski.

Putin nie będzie dyktować NATO, jakimi siłami dysponuje w Polsce czy innym kraju. Nie będzie też dyktować Unii Europejskiej i NATO polityki rozszerzenia.

Co jeszcze jest kluczowe dla Polski?

Żeby rosyjskie aneksje terytorialne i próba zmiany granic nie zostały uznane. Ważne jest też, żeby Ukraina dostała gwarancję bezpieczeństwa i zbudowała takie siły bezpieczeństwa, żeby nie była w przyszłości wobec Rosji bezbronna. Zresztą prezydent Trump wspominał ostatnio, że takie gwarancje powinny zostać Ukrainie przyznane. Dalej, dopóki Rosja kontynuuje napastniczą wojnę, nałożone na nią sankcje nie mogą zostać zniesione. Dla Polski kluczowe jest też oczywiście utrzymanie europejskiej jedności i utrzymanie zaangażowania Stanów Zjednoczonych w Europie. Zachód ma moc zakończenia tej wojny, ważne, by stało się to na warunkach dogodnych dla Ukrainy i Europy, a nie Kremla.

Europa została w tych rozmowach zmarginalizowana przez Trumpa i Putina?

Nie, Europa jest cały czas włączona w rozmowy, Donald Trump relacjonował europejskim sojusznikom spotkanie z Putinem, doszło też do rozmów przed tym szczytem i po – już w Białym Domu. Europa ma duży udział w presji ekonomicznej na kremowski reżim. Właśnie w Europie jest większość zamrożonych aktywów rosyjskiego banku centralnego.

Czy po spotkaniu Putin-Trump można powiedzieć, że teraz to już nie żołnierze, a przede wszystkim dyplomaci zdecydują o losach tej wojny?

Jestem mimo wszystko zwolennikiem tezy, że wciąż kluczowe dla wyniku tej wojny są warunki na polu bitwy. Nadal decydująca jest też więc skala wsparcia dla Ukrainy, czyli to, ile sprzętu pomożemy jej zbudować, żeby się mogła bronić. Ukraina w moim przekonaniu broni się udanie. Putin próbuje wykorzystać dyplomację do przegrupowania na froncie. Jego odporność też nie jest nieskończona.

A jak długo Ukraina może tak trwać?

Za najcięższy, taki najbardziej depresyjny, uważam czas od lutego do maja. Czasowe wstrzymanie wsparcia militarne go wywołało niepokój i poruszenie, ostatecznie jednak nie ►

► doszło do strategicznego zatrzymania amerykańskich dostaw. Wbrew panice medialnej te perturbacje nie były aż tak groźne dla Ukrainy, bo przygotowali się i mieli znaczne zapasy sprzętu i amunicji jeszcze z ubiegłego roku. Strategia rozmawiania i tłumaczenia okazała się skuteczna, do tego Kijów oferował porozumienie surowcowe, prowadził kampanię lobbingsową w Waszyngtonie i udało mu się utrzymać zainteresowanie Trumpa. Nie widzę też upadku ducha ani w Kijowie, ani wśród żołnierzy frontowych, z którymi rozmawiam.

Co z Kijowa widać lepiej?

Czasem z okien naszej ambasady widać przelatujące rosyjskie drony. Ale ja widzę też możliwości. Powtarzam już jak mantrę: Ukraina nie jest tylko biorcą polskiej pomocy czy w ogóle zachodniej, lecz jest też dawcą – inspiracji moralnej, ale też technologii i doświadczenia – tego, jak funkcjonują państwo i społeczeństwo pod tak potężną presją.

Z Kijowa widać też lepiej scenariusze przyszłości dla Polski i Europy. Jeśli wojna w Ukrainie zakończy się niesprawiedliwie, to my staniemy przed groźbą kremłowskiej rekonkwisty za udzieloną Kijowowi pomoc i za próbę powstrzymania Moskwy. Aby przyszłość naszego regionu była możliwa bez tego zagrożenia, imperialny Kreml musi wojnę przegrać, choćby symbolicznie. Nic się nie zmieniło – „wolna Ukraina to wolna Polska”.

I co jeszcze widać?

To, czego nam brakuje. Zwiedzałem podziemną manufakturę dronów, po pomieszczeniach wypełnionych drukarkami 3D oprowadzał mnie właściciel. Zapytałem, czy nie chciałby produkować dronów w Polsce, myślałem, że może otworzę mu szansę. On z uśmiechem jednak odpowiedział, że jak otworzyć firmę w Polsce, to on wie, ale „wam przede wszystkim potrzebna jest strategia dronowa podobna do naszej, chyba wciąż jej nie macie”. I ten potężny, niedźwiedziowaty facet w dresie dał mi po tym fascynujący wykład o globalnych łańcuchach dostaw, o geopolityce optoelektroniki i o adaptacyjnych systemach kierowania oraz łączności. Oraz kolejnej nadchodzącej rewolucji dronowej, tym razem z udziałem AI. Takie rzeczy to tylko w podziemnym Kijowie.

Jakie stąd wnioski dla nas?

Między innymi taki, że tanie i skuteczne w obronie drony wydłużyły wojnę i ta może potrwać jeszcze kilka lat. Że trzeba mieć pokorę i przygotować się do wojny, która zaskoczy nas nie tylko intensywnością, ale i umęczy długością trwania. Że trudno jest myśleć o wojnie manewrowej, kiedy obie strony przede wszystkim myślą o okopaniu się.

Oraz to, że kluczowa jest nie tylko zdolność do przygotowania zapasów na wojnę, ale i do ominięcia kryzysu, jakim będzie niechybne ich wyczerpanie w pierwszym roku konfliktu. Wniosek jest więc taki, że trzeba mieć system społeczny, polityczny i wojskowy przygotowany na długie trwanie konfliktu.

Jakie – odporne na czas i zmieniające się okoliczności – modele wsparcia Ukrainy wypracowali przez te kilka lat Europejczycy?

Od roku mojego pobytu w Kijowie obserwuję zmianę roli sojuszników. Wcześniej zewnętrzna pomoc, która uratowała Ukrainę, polegała na „wysyłaniu kontenerów ze sprzętem i amunicją”. Później można było dane na jej temat ubrać w tabelki i pokazać na forach międzynarodowych. Teraz raczej myśli się o tym, jak związać ukraiński przemysł zbrojeniowy

z europejskim – poprzez inwestycje, joint venture i koprodukcję. Bo na wojnie kluczowe jest nie tylko to, co masz w magazynach, ale też co jesteś w stanie wymyślić i wyprodukować już w kryzysie wojennym.

Od kilku miesięcy gorącym tematem w Kijowie jest tzw. model duński. Rząd w Kopenhadze zainwestował w ukraińskich fabrykach w linie produkcyjne nowoczesnych haubic o armat kalibru 155 mm typu Bogdana. Technologia i pracownicy są ukraińskie, natomiast inwestycja jest duńska. Teraz dokładają się też inni partnerzy, więc z 200 mln euro inwestycja urosła już do 350 mln. Tego rodzaju współpraca pozwala też na sięganie do funduszy europejskich. Dania zyskuje natomiast dostęp do technologii. A już czekają modele czeski, niemiecki i inne. Państwa inwestują, bo mają z tego technologię oraz doświadczenie, a w przyszłości pewnie i eksport.

A Polska?

Wspomniane Bogdany są bardzo nowoczesne, powstaje już siódma generacja. Powiedziano mi, że Polacy uczestniczyli w projektowaniu tego uzbrojenia od pierwszego do trzeciego etapu. W poprzednim modelu, tym „tabelkowym”, z pewnością byliśmy liderem. Polskie czołgi, transportery i amunicja uratowały Ukrainę, za co zysaliśmy jej dożgonną wdzięczność. Ale – jak mówiłem – nowe modele współpracy opierają się na myśleniu o tym, jak obecną wojnę wykorzystać dla przyszłości i dla własnej obronności. No i, niestety, jak na niej zarobić.

Rumuni rozbudowali porty, by pomóc eksportować ukraińskie produkty rolne w świat. Polakom interes przeszedł koło nosa na własne życzenie.

Musimy nadrobić inaczej. Mamy doświadczenie integracyjne z UE, najbardziej ze wszystkich państw zbliżone do ukraińskiego. Ukraińcy widzą w nas przykład udanej transformacji i chcą się od nas uczyć. Tyle że to nie może polegać tylko na zapraszaniu urzędników do Warszawy na kolejne szkolenie, ale też na przyjęciu Polaków do Ukrainy. Jak pamiętamy, taka wspierająca rola może być całkiem opłacalna, jeśli tylko wspomnieć rolę Niemiec czy Francji wobec Polski w naszej transformacji. Tyle weźmiesz udziału w odbudowie, ile zainwestujesz.

Bardzo panu utrudnia życie brak tytułu ambasadora? Nie ma go pan z powodu politycznego sporu w Polsce, prezydenci Duda, a teraz Nawrocki, blokują nominacje. Nie narzekam.

A jak by pan opisał dynamikę relacji polsko-ukraińskich?

Z pamięci zacytuję wpis z ukraińskiego Facebooka: „Litwa to miłość na odległość, Niemcy to biznes, Rosja to nienawiść, Ameryka... no, wiadomo. A z Polską to my jesteśmy jak dwie siostry”. Pamiętam o polskiej pomocy dla Ukrainy w 2022 r., ale sam obserwuję – i mam nadzieję, że również trochę współkształtuję – relacje po wrześniu 2024 r., więc o tym mogę powiedzieć więcej.

Ukraińcy dostrzegli wzrost roli Polski w Europie na przełomie tego roku, co zbiegło się z ich niepewnością co do postawy Ameryki. Stąd dobre spotkania i częste rozmowy telefoniczne prezydenta Zełenskigo z premierem Tuskiem, wicepremiera Sikorskiego z ministrem spraw zagranicznych Ukrainy Sybiwą. Jesteśmy częścią wspierającej Ukrainę „wielkiej piątki” państw europejskich: Niemiec, Włoch, Francji, Wielkiej Brytanii i Polski właśnie, ze znaczącą rolą Brukseli. Dobre relacje strategiczne otwierają drogę do załatwiania spraw bilateralnych, czasami niełatwych – jak integracja europejska Ukrainy i kwestie

ekonomiczne, polityka historyczna czy edukacyjna. Zajmujemy się nimi codziennie, przyznając, że ze zmiennym powodzeniem.

To relacje „pełne” – to moje ulubione określenie. Bo lista tematów, którymi się zajmujemy, jest całkiem długa: drony nad głowami, weterani, rolnictwo, szkolnictwo, podręczniki, przejścia graniczne, wojsko, policja i straż graniczna, pomoc humanitarna, Polacy na wojnie, Polacy w Ukrainie, współpraca kulturalna, kościoły, transport, ekshumacje, związki zawodowe, negocjacje unijne, przemysł zbrojeniowy, NATO i Unia, współpraca gospodarcza, że nie wspomnę o bezpieczeństwie placówki i personelu.

W pierwszych miesiącach wojny Polacy byli narodem najbardziej darzonym w Ukrainie sympatią, nie udało nam się utrzymać tego kapitału.

Ale codziennie doświadczam ukraińskiej sympatii i wdzięczności oraz takiego swoistego zapatrzania się w Polskę, sam rewanżuję się uznaniem dla Ukraińców. Dowodem na to jest wielki wysiłek, jaki Ukraińcy wkładają w te relacje w czasie wojny – gdy mierzą się z mnóstwem problemów, potrafią jeszcze zająć się polityką historyczną.

Sprawą zbrodni wołyńskiej.

To jest ważna kwestia z wielu powodów. Zaskakujące dla mnie było to, jak często europejscy dyplomaci pytali mnie rok temu o ekshumacje i ile czasu spędziłem na opowieściach o historii. Później zrozumiałem, że obawiano się, że Polska może użyć „trudnej pamięci” do bieżącej polityki, zwłaszcza jako blokady integracji europejskiej Ukrainy. Udało się uniknąć tej pułapki: rząd polski w 2024 r. zaproponował uznanie, że prawo do pochówków to kwestia zobowiązania cywilizacyjnego. Rząd ukraiński powstrzymał się przed zrównywaniem masowej zbrodni na Polakach z cierpieniami Ukraińców z rąk Polski i Polaków. I się udało, ekshumacje ruszyły mimo wojny.

Zgadzam się z perspektywą prof. Timothy’ego Snydera, który podkreśla, że do zrozumienia przeszłości trzeba znać skalę totalitarnych okrucieństw i zbrodni na naszych polsko-ukraińsko-białoruskich skrwawionych ziemiach. W polityce historycznej zgadzam się też jednak z prof. Carlo Ginzburgiem, włoskim historykiem, autorem eseju o zbawiennej roli wstydu w historii. Zaczyna się od pięknego i głęboko mądrego zdania: „wbrew obiegowej opinii, nie należy się prawdziwie do kraju, który się kocha, ale do kraju, za który się wstydzi”. Wstyd za zbrodnie każe zastanawiać się, jak uniknąć błędów i zła w przyszłości. To ważny postulat dla wszystkich.

Ale czy nasze relacje są wystarczająco dobre, żeby władze obu krajów umiały zarządzać kryzysami i pracować nad rozwiązaniem?

Relacje, niestety, są wciąż mocno wrażliwe na zakłócenia, nie przepracowaliśmy jeszcze spornych kwestii głęboko. Nie mieliśmy dużo czasu pokoju, tak jak miały Francja z Niemcami po drugiej wojnie światowej. W obu naszych krajach są też silnie nacjonalistyczne grupy, a z rywalizacji nacjonalizmów nic dobrego nie wynika. Myślenie o wybraństwie własnego narodu antagonizuje narody ościennie. Odróżniam nacjonalizm od patriotyzmu.



Piotr Łukasiewicz

– chargé d'affaires ad interim ambasady w Kijowie, wcześniej analityk Polityki Insight, były ambasador w Afganistanie, pułkownik rezerwy, doktor nauk humanistycznych.

Jak pan reaguje na fakt, że Stepan Bandera staje się inspiracją dla walczących o przeżycie Ukraińców?

Nigdy żaden polski dyplomata nie weźmie udziału w ukraińskiej uroczystości ku czci Bandery, Szuchewycza czy UPA. Po prostu. Widzę jednak, że – choć tak nie musiało być, ale się stało – podczas wojny właśnie te postaci i ta organizacja stają się symbolami ukraińskiego oporu antyrosyjskiego. Współczesna pamięć o UPA i OUN to pamięć głęboko antyrosyjska, w minimalnym stopniu antypolska.

Sam w rozmowach z ukraińskimi partnerami zawsze podkreślam, że Ukraina ma na tej wojnie heroiczną nadpodaż nowych bohaterów. Są znani z imienia i nazwiska, są braćmi, siostrami, ojcami i żonami, dziećmi – zresztą w naszej ambasadzie otworzyliśmy wystawę „Jestem Polakiem, obywatelem Ukrainy”, żołnierzy polskiego pochodzenia, którzy zginęli za swoją ukraińską ojczyznę. Codziennie widzę ich

piękne twarze i życzę, by z nich czerpać wzór. Mam nadzieję, że dojdzie do zmiany symboli oporu. Ale mam też świadomość, że nie da się wymusić zmiany z zewnątrz. Mówię też im to, co już w naszej rozmowie przywołałem, że warto się czasem powstydzić, bo to czyni nas rozumniejszymi obywatelami.

Jakie wspomnienia z ostatniego roku zostaną z panem na długo?

Mam w głowie obraz z niedawnej uroczystości na pl. Michajłowskim w Kijowie, gdzie kobieta odbierała od prezydenta Zełenskigo order za życie poległego. Wysła przed szereg wojska z chłopcem na rękach, szła z pewnym wysiłkiem, bo chłopiec był już całkiem duży. Wtulił twarz w jej szyję i odciął się od wszystkiego, od Zełenskigo, od generałów, ambasadorów i od armii, od tego wielkiego placu. To było przejmujące.

Będę też pamiętać przedstawienie „Dziadów” Mickiewicza po ukraińsku w reżyserii Mai Kleczewskiej. To polska historia sprzed 200 lat, ale w tej interpretacji zamiast polskich studentów w piwnicy siedzą żołnierze Azowstalu. A na bal u senatora – w sztuce to bal u groteskowego Putina – wbiegają zakrwawione ukraińskie matki, niczym Erynie szukające zemsty za porwanie i śmierć ukraińskich dzieci. Podczas takich wydarzeń czuć wspólnotę losu Polaków i Ukraińców.

Czego się pan obawia?

Nie jesteśmy Francją czy Niemcami, którzy tę wojnę mogą traktować jako zadanie geopolityczne, wyzwanie dla „architektury bezpieczeństwa” czy nawet starcie o wartości. Nie umniejszam znaczenia tych perspektyw, ale ta wojna jest blisko nas i naprawdę, my, Polacy, Litwini, Finowie, możemy być następni.

Obawiam się przyzwyczajania do tej wojny. Tymczasem musimy nieustannie pamiętać i rozumieć, jakie będą dla nas konsekwencje upadku Ukrainy. I nie „męczyć się” albo „nużyć” tą wojną, bo Ukraińcy, chwała im, pozostają „niezmęczeni” i „nieutrudzeni”.

Dla nas wojna skończy się więc, kiedy Rosja albo porzuci swoje imperialne plany, albo szczerze jako imperium, a Ukraina pozostanie demokratyczna, suwerenna i na ścieżce do struktur euroatlantyckich.

ROZMAWIAŁA AGNIESZKA LICHNEROWICZ



Miesiąc miodowy z narodem

Prezydent ze swoją ekipą. Od lewej: Rafał Leśkiewicz, Mateusz Kotecki, Sławomir Cenckiewicz, Agnieszka Jędrzak, Adam Andruszkiewicz, Zbigniew Bogucki, Karol Nawrocki, Paweł Szefernaker, Jarosław Dębowski, Marcin Przydacz, Wojciech Kolarski, Karol Rabenda.

Wniosek z pierwszych dni prezydentury Karola Nawrockiego jest jasny

– koalicja rządząca nie powinna go lekceważyć, bo będzie w nim miała groźnego przeciwnika.

WOJCIECH SZACKI

N

awrocki nie bawi się w mrzonki o porozumieniu ponad podziałami, mało jest gestów pod adresem wyborców przeciwnego obozu; wręcz demonstracyjnie nie chce być prezydentem wszystkich Polaków. Ma za to klarowny przekaz dla elektoratu

prawicy: jestem wasz, swojski, walczę z najgorszym premierem po 1989 r., nie oglądam się na tę lewacką Unię, za to Donald Trump jest świetny, nie pozwolę, by w Polsce panoszyli się imigranci, chcę nowej konstytucji itd.

Nawrocki przyjął wprawdzie Donalda Tuska w Pałacu Prezydenckim, a rozmowa – według naszego rozmówcy z otoczenia

premiera – potoczyła się lepiej, niż można było oczekiwać, i daje nadzieję na to, że uda się wypracować cywilizowaną współpracę w polityce zagranicznej i obronnej. Ale nawet w tej sprawie ludzie prezydenta wykorzystali okazję do złośliwości pod adresem szefa rządu. Były drwiny z „chłopców w krótkich spodenkach” (to o kancelarii Tuska, która nie wiedziała, że to prezydent został zaproszony na rozmowę europejskich liderów z Trumpem przed spotkaniem prezydenta USA z Władimirem Putinem w Anchorage), była relacja, że to Nawrocki wyjaśnił Tuskowi, jaki będzie podział kompetencji między nimi. Prezydenci ministrowie z lubością podkreślali, że spotkanie odbyło się „na prośbę” Tuska, by zrobić z premiera petenta. Który w dodatku musiał na gospodarza kilka minut poczekać, przechadzając się pod portretem Lecha Kaczyńskiego i zerkając na zegarek.

– *Kto sieje wiatr, ten zbiera burzę. Tusk nie pogratulował zwycięstwa Nawrockiemu, pozwolił Romanowi Giertychowi podważać wynik wyborów, a podczas kampanii zachowywał się skandalicznie, powołując się na patoinflucencera, by uderzyć w naszego kandydata. To naturalne, że teraz się odgrywamy* – mówi prezydencki minister.

Naśladowca Trumpa

Zwycięstwo Nawrockiego pomieszało szyki koalicji oraz zdezorientowało jej wyborców. Powstało wrażenie, że kolejna kampania – do parlamentu – jest już rozstrzygnięta, a powrót Jarosława Kaczyńskiego stał się oczywistością. Tak być nie musi, oba wielkie obozy – Centrolew i Prawica – mają porównywalne poparcie oraz swoje atuty i słabości. Ale teraz to Nawrocki ma miesiąc miodowy z suwerenem.

Początek prezydentury wygląda jak przedłużenie kampanii. Nawrocki jeździ po Polsce – był już w Kaliszu, Kolbuszowej, Krąpieci, Godziszowie Trzecim, Janowie Lubelskim. Na spotkaniach z mieszkańcami prezentuje projekty obiecane przed wyborami. Zaczął od inicjatywy w sprawie budowy CPK w wersji zbliżonej do planów PiS, a więc z większymi inwestycjami kolejowymi. O tym projekcie opowiadał na kaliskim rynku, co miało pokazać, że pamięta o mieszkańcach średnich miast, podczas gdy rządzący dbają jedynie o metropolie.

W Kolbuszowej Nawrocki podpisał projekt ustawy, która wprowadza zerowy PIT dla rodzin z co najmniej dwójką dzieci; prezydent chce też podniesienia drugiego progu podatkowego ze 120 do 140 tys. zł. W Krąpieci ogłosił inicjatywę m.in. w sprawie przedłużenia zakazu sprzedaży ziemi cudzoziemcom do 2036 r.

Były też nominacje generalskie, uzgodnione, o dziwo ekspresowo, z MON, defilada z okazji Święta Wojska Polskiego; jest zapowiedź Rady Gabinetowej (spotkanie członków rządu prowadzone przez prezydenta) i wizyty w USA 3 września. Była też wizyta na meczu Lechii Gdańsk, i to w sektorze dla najbardziej zagorzałych kibiców.

Prezydenci ministrowie robią tour po mediach – od TVP Info, poprzez Radio TOK FM, aż po TV Republikę. Sam Nawrocki jako prezydent był w Polsat News.

Jego przemówienie przed Zgromadzeniem Narodowym 6 sierpnia dowiodło, że wyrobił się jako mówca. Nie wszystkim pewnie przypada do gustu krzykliwy i pełen patosu styl, ale przemówienie inauguracyjne – wygłoszone bez kartki – było zręcznie skonstruowane i jak na taką okazję całkiem konkretne.

Ta hiperaktywność przypomina początki drugiej prezydentury Trumpa, z tą różnicą, że prezydent USA ma realną władzę, a Nawrocki jest jedynie jego naśladowcą w zupełnie innych ramach ustrojowych. Gra – o zainteresowanie mediów i opinii publicznej, o wrażenie sprawczości, o zdominowanie przeciwników – jest jednak ta sama.

Nowy prezydent wyciągnął lekcję z prezydentury Andrzeja Dudy. Tempo jego działań jest zupełnie inne, wszystko jest też dokładnie zaplanowane. Duda w 2015 r. złożył projekt o obniżeniu wieku emerytalnego półtora miesiąca od zaprzysiężenia. Z kampanijnej obietnicy dotyczącej programu 500 plus po wygranych wyborach po prostu się wycofał – projekt powstał w rządzie Beaty Szydło. Nawrocki pierwszy projekt złożył dwa dni po zaprzysiężeniu.

Różnic jest więcej. W uproszczeniu, Duda w pierwszych miesiącach zachowywał się jak trochę zakamuflowany pisowiec, posłuszny wobec Kaczyńskiego, ale ukrywający swoje poglądy. Nawrocki to jego odwrotność – poglądy wyraża jasno, ale zarazem akcentuje autonomiczną wobec PiS pozycję.

– *Nawrocki wydaje się mieć grubszą skórę niż Duda, co było widać w kampanii, gdzie liberalne media go nie oszczędzały. Początek jego prezydentury może być także zaskakujący dla jego przeciwników. Na razie ani jemu, ani jego współpracownikom nie zdarzyły się poważniejsze wpadki: polityczne, wizerunkowe czy werbalne* – mówi były współpracownik Dudy.

Bardzo męska Kancelaria

Marcin Kędryna, który też pracował w Kancelarii Prezydenta na początku prezydentury Dudy, zwraca uwagę na profesjonalizację zaplecza Nawrockiego. W portalu wszystkoconajwazniejsze.pl napisał: „Gabinet Andrzeja Dudy, startując, składał się z polityków trzeciorzędnych”. Nawrocki przy budowie kancelarii miał jednak łatwiej – latem 2015 r., gdy PiS miał władzę na wyciągnięcie ręki, co ważniejsi politycy tej partii nie byli skłonni zatrudniać się u prezydenta; większą pokusą był mandat posła na cztery lata i widoki na posadę w rządzie. Dziś, ponad dwa lata przed wyborami do Sejmu, lepiej być prezydenckim ministrem niż szeregowym posłem opozycji.

Kluczową postacią w otoczeniu Nawrockiego na starcie kadencji wydaje się Paweł Szefernaker (rocznik 1987), choć formalnie podlega szefowi Kancelarii Zbigniewowi Boguckiemu. Szefernaker ma jednak mocniejszą pozycję w PiS – to jeden z najbardziej zaufanych ludzi Kaczyńskiego (a także Joachima Brudzińskiego), wieloletni wiceminister spraw wewnętrznych i doświadczony sztabowiec. Przez ostatnie miesiące – jako szef kampanii prezydenckiej – zbudował też dobrą relację z Nawrockim. W PiS słynne z pracowitości, sprawności organizacyjnej i unikania wojen frakcyjnych, co w 2018 r. pozwoliło mu bezproblemowo przejść z rządu Szydło (gdzie był sekretarzem stanu w kancelarii premiera) do ekipy Mateusza Morawieckiego. Teraz jako szef gabinetu prezydenta będzie doradzał w sprawach strategii, ale jego podstawowe zadanie to zapewnienie, żeby luźne pomysły przekuć w dokładne plany i żeby wszystko działało. Należy do niego także umawianie spotkań prezydenta. A mniej oficjalnie – dbanie o przepływ informacji między Pałacem a gabinetem Kaczyńskiego.

Szefernaker jako wiceminister w MSWiA nadzorował pracę Boguckiego (rocznik 1980), wojewody zachodniopomorskiego w latach 2020–23. To kolejny polityk PiS bliski Brudzińskiemu, ►

► który wszedł do administracji Nawrockiego. Jeszcze jako wojewoda odpierał ataki opozycji, która przypominała, że jego żona Julita Dziedzic-Bogucka zrobiła błyskawiczną karierę w prokuraturze za PiS (w 2017 r. była w prokuraturze rejonowej, dwa lata później została delegowana do Prokuratury Krajowej). A gdy radio RMF FM odkryło, że na wyremontowanym godle nad wejściem do urzędu wojewódzkiego polecił umieścić swoje inicjały, tłumaczył, że „napis jest mały”.

Jego kariera przyspieszyła w 2023 r., gdy zadebiutował w Sejmie. Szybko wydreptał sobie ścieżki do mediów – od prawicowych po liberalne – i zaczął zdobywać rozpoznawalność. W 2024 r. startował bez sukcesu na prezydenta Szczecina. Potem pojawił się na giełdzie kandydatów na prezydenta, a gdy nominację dostał Nawrocki, zaczął go wspierać w kampanii. Wraz z Przemysławem Czarneckim bronił kandydata, gdy wybuchła afera z mieszkaniem pana Jerzego. W Kancelarii – poza organizacją pracy urzędu – zajmie się także kwestiami prawnymi: od projektów prezydenckich, poprzez ocenę ustaw koalicji, aż po spory konstytucyjne z rządem.

Wiceszefem Kancelarii został kolejny polityk PiS Adam Andruszkiewicz (rocznik 1990). W młodości narodowiec, był prezesem Młodzieży Wszechpolskiej, co zresztą z uznaniem wspominał Nawrocki. „Sodomici, precz z ulicy!” – pokrzykiwał do osób LGBT pod Sejmem w 2009 r. Do parlamentu wszedł z listy Kukiz’15 w 2015 r. i zasłynął w nim dążeniami do ocieplenia relacji z Białorusią. W 2018 r. przysparzał go PiS, dając mu funkcję wiceministra cyfryzacji. Andruszkiewicz prowadził internetową kampanię Nawrockiego.

Czwartym politykiem PiS, który w kampanii pomagał Nawrockiemu, a teraz porzucił mandat posła, jest Marcin Przydacz (rocznik 1985), szef Biura Polityki Międzynarodowej (BPM). Dla niego to powrót – zajmował już ten fotel przed wyborami w 2023 r. Wcześniej był wiceministrem spraw zagranicznych, ale pracował także w konserwatywnych think tankach. Z jego nominacją pewne nadzieje wiąże MSZ, widząc w nim partnera do normalnej – przynajmniej na poziomie roboczym – współpracy, która byłaby trudniejsza, gdyby BPM wziął któryś z pisowskich radykałów.

Bardzo istotna funkcja szefa Biura Bezpieczeństwa Narodowego przypadła zaś historykowi Sławomirowi Cenckiewiczowi (rocznik 1971). To współpracownik Antoniego Macierewicza w dziele likwidacji WSI, lecz i patron kariery Nawrockiego; to Cenckiewicz wspierał jego kandydaturę na szefa IPN. Cenckiewicz w ostatnich latach był m.in. szefem komisji, która miała tropić rosyjskie wpływy w Polsce za rządów Tuska. Jego nominacja ucieszyła niektórych polityków PiS (i środowisko „Gazety Polskiej”), ale część partii uważa ją za ryzykowną, bo nowy szef BBN uchodzi w ich oczach za osobę nieprzewidywalną, niekontrolowaną i radykalną.

Nawrocki ściągnął do Kancelarii także współpracowników z IPN. Minister ds. społecznych Mateusz Kotecki (rocznik 1983) to przyjaciel prezydenta z czasów licealnych, który pracował z nim w Muzeum II Wojny Światowej, a potem w IPN. Z IPN do Kancelarii przeszli także Jarosław Dębowski (zastępca szefa gabinetu prezydenta), Rafał Leśkiewicz (rzecznik prasowy) oraz Agnieszka Jędrzak (odpowiedzialna za kontakty z Polonią, jedyna kobieta na stanowisku ministerialnym).

Grono ministrów uzupełniają Karol Rabenda i Wojciech Kolarski. Ten pierwszy to człowiek Adama Bielana w Pałacu, gdański radny PiS i były działacz Porozumienia Jarosława Gowina; został

ministrem ds. gospodarczych. To Rabenda poznał Bielana z Nawrockim, co z czasem zaowocowało prezydencką nominacją. Z kolei Kolarski to jedyny z ministrów Dudy, który przetrwał zmianę prezydenta; został w Kancelarii na prośbę eksprezidenta i nie należy się spodziewać, by teraz odegrał istotną rolę.

Z naszych informacji wynika, że dojdzie do licznych zmian na stanowiskach dyrektorskich; w Kancelarii spodziewany jest liczny zaciąg ludzi z IPN. Nie ma natomiast w otoczeniu prezydenta nikogo z ziobrystów. 18 sierpnia Nawrocki powołał doradców, w tym konstytucjonalistę Dariusza Dudka, b. szefa ABW Krzysztofa Waclawka i b. wiceministra finansów Pawła Gruzę.

Partner, a nie podkomendny

Bez ryzyka można obstawiać, że relacje Nawrockiego z rządem będą napięte. Prezydent chce „zagonić rząd do roboty”, a jednocześnie wiadomo, że nie ma co liczyć na jego podpis pod wieloma ważnymi ustawami. Konfrontacyjne wobec premiera było już pierwsze orędzie. Widać też, że Nawrocki postara się wygrywać podziały w obozie władzy – a to pochwali Szymona Hołownię, a to Władysława Kosiniaka-Kamysza, a to mrugnie do Lewicy. Można przypuszczać, że prezydent będzie dążył do uchwalenia jakichś ustaw przez niestandardową większość, co pogorszyłoby relacje w koalicji.

W pewnym sensie ciekawsze wydaje się jednak inne zagadnienie: kim będzie Nawrocki w obozie Kaczyńskiego czy – szerzej – prawicy? Duda był zrazu po prostu podwładnym prezesa, by potem stać się niespecjalnie kontrolowanym (i niespecjalnie istotnym) wolnym elektronem. PiS go lekceważył, ale i był nim coraz bardziej zirytowany. Nawrocki zdaje się podążać inną drogą. Prezydent w inauguracyjnym przemówieniu budował wizerunek przywódcy narodu, który będzie się kierował własnym programem, „na który zagłosowało 10,5 mln Polaków”. Nawrocki dodał, że „podziały polityczne nie będą go interesować jako prezydenta w jego decyzjach”, a on będzie „głosem narodu”. Z PiS łączy go wiele poglądów, otaczają go politycy tej partii, ma z Kaczyńskim (z którym przeszedł zresztą na ty) wspólnego wroga – ale prezydent nie chce popełnić błędów Dudy; brzmi i zachowuje się jak partner, a nie podkomendny PiS. Tę różnicę wyczuwają politycy tej partii, którzy zaczynają patrzeć na Nawrockiego jak na przyszłego lidera obozu prawicy – obozu, w którym znalazłoby się miejsce także dla Konfederacji, z którą prezydent utrzymuje dobre relacje.

– *To on będzie główną twarzą konfrontacji z Tuskiem, powoli zastępując w tej roli Kaczyńskiego i spychając na margines choćby Morawieckiego* – mówi były współpracownik Dudy.

Ewolucja Nawrockiego jako polityka – którym wciąż się podobno nie czuje – będzie ciekawa. Jeśli koalicja rządowa przetrwa ten trudny moment, jeśli zacznie spełniać ważne dla jej elektoratu postulaty, to prezydent znajdzie się w innej niż dziś sytuacji.

Projekty będą przepadały w Sejmie, rząd będzie je punktował za słabą jakość (czego trudno uniknąć, bo Kancelaria Prezydenta nie jest urzędem zaprojektowanym, by konkurować z rządem na tworzenie przepisów). Pojawia się pytanie o brak sprawczości; Nawrocki obiecywał chociażby, że wypowie pakt migracyjny, co jest prawnie niemożliwe. Euforia po triumfie przemianie, a zaczyna się codzienne kłopoty, które zresztą ucieszą część polityków PiS.

WOJCIECH SZACKI



Obolały po dotkliwej klęsce, obciążony wizerunkowo, zmarginalizowany we własnej partii. **Rafał Trzaskowski** daje jednak do zrozumienia, że wciąż nie powiedział ostatniego słowa. Czy niedoszłego prezydenta może jeszcze czekać kolejne polityczne życie po życiu?

Trzecie życie prezydenta

RAFAŁ KALUKIN

W poprzednich latach życie polityczne w drugiej połowie sierpnia powoli zaczynało się już przenosić do Olsztyna, gdzie środowisko Rafała Trzaskowskiego organizowało Campus Polska Przyszłości. W tym roku powszechnie chwalonego festiwalu w tradycyjnej formule nie będzie, o czym główny gospodarz osobiście poinformował dopiero pod koniec lipca, kiedy pojawiły się publiczne pytania o termin rekrutacji uczestników. Zasłaniając się „oczywistymi przyczynami”, które wcale takie nie były. Dociskany później przez dziennikarzy Trzaskowski wyjaśnił, że nie było

komu zająć się organizacją, gdyż jego ekipa zaangażowała się w wielomiesięczną kampanię wyborczą.

Być może więc ową „oczywistą przyczyną” była niechęć Trzaskowskiego do występowania przed wymagającą publicznością po przegraniu najważniejszej w karierze batalii. Zawiódł ją zresztą na kilka sposobów; nie tylko wynikiem, ale też kunktatorskim stylem kampanii, zwłaszcza umizgami wobec wyborców Konfederacji. Taka mimikra nijak się miała do założycielskiej idei Campusu, żeby otwarcie głosić progresywne wartości w konfrontacji z prawnym populizmem.

Ostatecznie stanęło na tym, że Campus jednak się w tym roku odbędzie. Tyle że w innym czasie, miejscu i formule, czyli pod koniec września w Międzyzdrojach, z mocno okrojoną liczbą uczestników i bez widowiskowych debat, za to z licznymi warsztatami. I nie wiadomo, czy to – jak sugerują organizatorzy – początek ewolucji znakomitego projektu, czy też jego łabędzi śpiew.

Ale sam Trzaskowski wbrew pozorom nie uciekł po wyborach z widoku, chociaż ogranicza się już tylko do roli prezydenta Warszawy. Stał się wręcz zadziwiająco aktywny jak na mało sprzyjający klimat. Na miejskich kanałach społecznościowych co kilka dni pojawia się kolejny filmik z włodarzem stolicy w roli głównej. A to zaprasza do odwiedzenia Muzeum Sztuki Nowoczesnej, a to prezentuje sadzonki drzew na pl. Bankowym albo w robociarskim kasku składa gospodarską wizytę na budowie trzeciej linii metra. Za każdym razem wyluzowany i tryskający optymizmem jak za dawnych dobrych czasów, a przynajmniej chce na takiego wyglądać. Chyba że mamy akurat ►

► rocznicę powstania warszawskiego, wtedy prezydenckie oblicze staje się poważne i refleksyjne: oprowadza po miejscach pamięci, opowiadając o tradycjach powstańczych w swojej rodzinie.

Tylko po co to wszystko, skoro popyt na Trzaskowskiego jest obecnie mizerny, a środek lata nie sprzyja politycznym promocjom? Nie brakowało spekulacji, że Trzaskowski zabezpiecza się przed ewentualną akcją referendalną w sprawie jego odwołania, którą ponoć rozważa rozochoceny ostatnimi sukcesami PiS. Jednak na korytarzach ratusza takich obaw nie widać. Panuje przekonanie, że warszawiacy nie dadzą się zmanipulować propagandzie prawicy i w razie czego obronią swojego prezydenta.

Zarazem ludzie Trzaskowskiego potwierdzają, że otrzymali od prezydenta polecenie zbudowania nowej strategii komunikacyjnej, szczególnie adresowanej do młodego odbiorcy. Mówi się nawet o angażowaniu popularnych influencerów z internetu, których zadaniem byłoby odczarowanie koślawego wizerunku miasta z kampanii prezydenckiej, kojarzonego najczęściej z pozornie absurdalnymi przedsięwzięciami w rodzaju osławionej publicznej toalety za pół miliona złotych. Skądinąd faktycznie otwiera się przestrzeń do odnowienia pozytywnej opinii o Warszawie, gdyż powoli dobiegają końca dokuczliwe remonty.

Aktywnie o taką opowieść zabiegając, Trzaskowski w jakiejś części zaspokaja pewnie osobistą potrzebę zrzucenia z siebie łatki „przegrywa” i symbolicznej choćby rehabilitacji. Podobno zresztą z całej kampanijnej ekipy on jeden nie wpadł po wyborach w czarną depresję i jakkolwiek klęska musiała boleć jak nigdy, stosunkowo szybko się z niej otrząsnął. Dochodząc do wniosku, że w polityce wciąż jest dla niego miejsce, nawet jeśli trzeciej prezydenckiej szansy raczej na pewno nie dostanie. Niemniej kapitał ponad 10 mln głosów z ostatnich wyborów, chociaż dzisiaj wydaje się w najlepszym razie dwuznaczny, w przyszłości może zaprocentować.

Nie jest to w końcu przypadek Bronisława Komorowskiego, który po prezydenckiej kadencji znalazł się praktycznie poza polityką i tym łatwiej jego dawnej formacji było zrzucić na niego pełną odpowiedzialność za porażkę z Andrzejem Dudą. Pozycja Trzaskowskiego w Platformie Obywatelskiej oczywiście mocno osłabła,

niemniej wciąż dysponuje gronem oddanych stronników, a wianuszek partyjnych liderów nie jest znowu aż tak szeroki. Poza będącym teraz na fali Radosławem Sikorskim nie ma właściwie nikogo, kto byłby w stanie w przyszłości zastąpić słabnącego Donalda Tuska.

Skupiając się na Warszawie, Trzaskowski na razie jednak skrócił pole gry. Nie reagował, kiedy jego nazwisko wywoływał Szymon Hołownia w taktycznej rozgrywce z Tuskiem, zaraz po wyborach proponując Trzaskowskiego jako nowego premiera. Podobnie nie zabierał głosu w sporach o prawidłowość procesu liczenia głosów i prawomocność wyborczego wyniku, o co miały do niego żal społecznościowe bańki w rodzaju Silnych Razem. Nie komentował inauguracji Karola Nawrockiego, co akurat z jego strony byłoby dosyć niezręczne. Szczęśliwie nie musiał chyłkiem przemykać przez sejmowe korytarze, kryjąc się przed pytaniami wścibskich reporterów. Pod tym względem warszawski matecznik okazał się zbawienny, gdyż prezydent miasta ma przywilej kształtowania własnej agendy.

Frakcja Trzaskowskiego znalazła się jednak w głębokiej defensywie. Z osłabionym już na wstępie morale, bo przecież wszystkie wysiłki w ostatniej pięciolatce podporządkowano projektowi prezydenturze, który miał być początkiem jeszcze dalej idącej politycznej emancypacji w pałacu na Krakowskim Przedmieściu. Nieprzypadkowo kampanię Trzaskowskiego poprowadził hermetyczny krąg najbliższych jego współpracowników ze Sławomirem Nitrasem na czele, zazwyczaj opędzający się od ofert zewnętrznego wsparcia.

Szczególnie tych pochodzących od premiera Tuska, bo chodziło o to, żeby nie ciągać zbędnych zobowiązań i nie wiązać sobie rąk na przyszłość. Była to deklaracja suwerenności Trzaskowskiego i jego ekipy, wstęp do w miarę niezależnej prezydentury. O tyle bezpieczny, że przez pierwszą część kampanii wydawało się, iż zwycięstwo Trzaskowskiego pozostaje niezagrożone. Po Końskich wszystko się jednak rozsypało, chociaż interwencje Tuska w kampanię na samym finiszu też nie przyniosły niczego dobrego.

Po wyborach obaj mieli więc wspólny interes, żeby zminimalizować falę rozliczeń. Chociaż nie wiadomo, który z nich bardziej zawinił. W pierwszej kolejności

Trzaskowski, który wziął pełną odpowiedzialność za chybioną strategię? Czy może Tusk, którego coraz mniej popularne rządy stworzyły fatalny dla kandydata KO kontekst społeczny? Raczej to drugie, bo przy lepszych notowaniach rządu Trzaskowski nie musiałby aż tyle kombinować, żeby się z Tuskiem za bardzo nie kojarzyć. Niemniej po wyborach to premier rozdawał karty i miał możliwość odwrócenia uwagi od własnej odpowiedzialności. Co i tak wyszło mu połowicznie.

Tasując koalicyjne karty przy okazji rekonstrukcji rządu, wyraźnie zaczął osłabiać wpływy Trzaskowskiego w partii. Wyleciał z rządu Nitras, główny strateg kiepskiej kampanii, który nigdy nie cieszył się zaufaniem Tuska. Mówiło się również przez chwilę, że stanowisko może stracić Barbara Nowacka, równie blisko z Trzaskowskim związana. Miał ją jednak uratować ostry publiczny spór z o. Tadeuszem Rydzykiem o religię w szkołach, a jeszcze bardziej – dopinane właśnie wejście jej Inicjatywy Polskiej do struktur PO. Ma to nastąpić na jesiennym kongresie, kiedy stary sztyld Platformy przejdzie do historii i pozostanie już tylko Koalicja Obywatelska. Drugą z kooptowanych partijek będzie Nowoczesna.

Otoczenie Trzaskowskiego z warszawskiego ratusza przygląda się rozszatom Tuska nie bez satysfakcji.

Bo napięcia między grupą ratuszową i platformerską ostatnio narastały. Były to wyraźnie odmienne kręgi, które nie darzyły się nigdy szczególnym zaufaniem ani tym bardziej sympatią. Wkrótce być może całkiem zostaną rozdzielone, gdyż Trzaskowski podobno zamierza zdymisjonować szefową swojego gabinetu Violetę Paprocką-Ślusarską, która jako łączniczka Tuska formalnie kierowała też ostatnią kampanią.

„Ratuszowi” też się nieraz frustrowali, kiedy chcieli coś wnieść do kampanii, ale nikt w sztabie nie był zainteresowany. Od dawna narzekali, że ich Rafał jest zbyt uległy wobec macierzystej partii, pozwalając jej meblować miasto. Czego skutkiem są przerosty zatrudnienia w magistracie oraz upolitycznienie spółek komunalnych. Obecne deklaracje niezależności szefa są więc mile widziane. Tym bardziej że zawsze miał problem z systematycznością, a w ostatnich latach zbytnio się rozpraszał, co musiało się odbić na polityce miejskiej. W Warszawie jest sporo

do poprawienia, a przecież to wciąż dopiero początek kadencji.

W przypadku Trzaskowskiego drugiej i zapewne ostatniej, chyba że parlament zniesie wprowadzoną przez PiS dwukadencyjność w samorządzie. O co zabiegają sami samorządowcy, jak również lokalnie najmocniej zakorzenione PSL, które dopiero co złożyło stosowny projekt ustawy. Wcześniej podobną propozycję przedstawiła grupa senatorów z rozmaitych ugrupowań, których zorganizował były prezydent Nowej Soli Władimir Tyszkiewicz. Na razie niewiele jednak wskazuje, żeby wokół nich ukształtowała się większość. Premier Tusk co prawda nie zajął stanowiska, ale podobno nie zamierzał znosić obecnej reguły, gdyż nie podobają mu się zabetonowane ośrodki władzy samorządowej, w dodatku z silną skłonnością do autonomizowania się względem popierających ich partii. A praktycznie nieobecne w samorządach Polska 2050 i Lewica otwarcie ogłosiły, że popierają obecny limit.

Pytanie, czy obecne kalkulacje okażą się trwałe. Jest to bowiem kwestia newralgiczna dla systemu partyjnego i całej klasy politycznej. Dla większości lokalnych włodarzy to już ostatnia kadencja i wkrótce zaczną spełniać swoje ambicje w polityce krajowej, do której można wejść wyłącznie przez bramki partyjne. Tymczasem popularni prezydenci przeważnie starali się trzymać partię na dystans, budując własne zaplecze, co skutkowało antagonyzmami. Wątpliwe więc, żeby owe partie były teraz skłonne szeroko otwierać swoje listy na samorządowców.

Zresztą nawet ograniczona kooptacja nie byłaby satysfakcjonującym rozwiązaniem dla żadnej ze stron. Szczególnie odstrasza ją przypadek wspomnianego już Tyszkiewicza – kiedyś samorządowej gwiazdy, a dzisiaj szeregowego senatora, który nawet nie ukrywa, jak bardzo go frustruje jałowe gadulstwo w „izbie refleksji”. Samorządowcy zasmakowali w realnej władzy i politycznej sprawczości, a to może im zapewnić jedynie własny polityczny ruch.

I o takim ruchu na najbliższe wybory parlamentarne – możliwie szerokim, o jednoznacznie prodemokratycznej orientacji, ale zarazem niepartyjnym (w odróżnieniu od kadłubowych i zorientowanych na PiS Bezpartyjnych Samorządowców) – zaczyna się już dyskretnie rozmawiać w kulisach. Te spekulacje będą zapewne narastać w miarę zużywania się



W roli prezydenta Warszawy stał się wręcz zadziwiająco aktywny w realu i wirtualu
(na fot. nowa kładka w Porcie Czerniakowskim)

koalicji 15 października, a zwłaszcza dalszego zanikania partnerów wciąż jeszcze utrzymującej bazowe poparcie KO. Tyle że formacja Tuska też już nie rośnie, co oznacza, że po stronie demokratycznej powiększa się polityczna próżnia, w którą próbuje wejść Konfederacja. Ujawnili się również pierwsi zewnętrzni pretendenci, jak biznesmen Arkadiusz Muś. To jednak inicjatywa dosyć kanapowa, czego nie można powiedzieć o ewentualnym ruchu autentycznych gwiazd samorządu z realnym społecznym zapleczem.

Taki scenariusz ma jednak kilka słabych punktów. Przede wszystkim nie jest priorytetowy dla samych samorządowców, którzy w większości woleliby przedłużyć swoje kadencje. Zazdrosne o wpływy partie mogą więc jeszcze poprzeć zniesienie limitu. Najwięcej będzie zależało od Tuska, któremu pojawienie się nowego politycznego podmiotu z potencjalną zdolnością mobilizowania dodatkowych wyborców będzie się opłacać, jeżeli poważnie myśli o utrzymaniu władzy. Ale jest też problem kalendarzowy, gdyż wybory do parlamentu najpewniej wyprzedzą o ponad rok elekcję samorządową. Kandydujący włodarze byłby więc zmuszeni przekonująco uzasadnić ryzyko oddania rządzonych przez siebie miast

w ręce rządowych komisarzy. A mogą to być komisarze oddelegowani przez nową prawicową większość.

Czy to szansa na nowe polityczne życie Rafała Trzaskowskiego? Każdy nowy ruch potrzebuje wyrazistego lidera, który pozbiera rozproszone elementy i ułoży je we w miarę spójny wzór. Któż mógłby się tego podjąć, jeśli nie prezydent największego polskiego miasta i jedyny w samorządowym gronie polityk z bogatym doświadczeniem w polityce krajowej oraz z kontaktami międzynarodowymi? W takim kontekście jego 10 mln głosów z ostatnich wyborów prezentowałoby się jako potężny atut.

Takie przymiarki zaczynają już w terenie kiełkować, chociaż nie wiadomo, czy sam Trzaskowski w tym bierze udział. Być może nie zaczął jeszcze na poważnie pisać politycznych planów i za jego zagadkową aktywnością w Warszawie stoi tylko chęć poprawienia sobie nastroju. Po drodze wiele może się zmienić, również na innych frontach. Niewykluczony jest schyłek kariery Tuska, co oznaczałoby otwarcie przetargu o schedę w jego obozie. Tylko że Trzaskowskiego trzymała w partii głównie środowiskowa lojalność, a już niekoniecznie ambicja prowadzenia partyjnych gier, od czego miał Nitrasa. A Platforma zdaje się wręcz trochę żałować, że tak gremialnie uległa mirażowi jego nieuchronnej rzekomo prezydentury i nie postawiła na Sikorskiego. Trendy w polityce oczywiście są zmienne, chociaż partyjnym pupilem Trzaskowski pewnie już nie będzie. Za to w środowisku samorządowym jego autorytet wydaje się nadal spory.

Wyszedł zresztą samorządowcom na przeciw, publicznie popierając projekty zniesienia dwukadencyjności. Chociaż nie wydaje się, żeby sam miał zamiar ubiegać się o kolejne pięć lat w ratuszu. To zresztą łakomy kąsek dla partyjnych działaczy, szczególnie dla odbudowującego swoją pozycję Marcina Kierwińskiego. Łatwiej już sobie wyobrazić, że Trzaskowski dociągnie do końca kadencji i wróci tam, gdzie przed laty rozpoczynał swoją polityczną drogę, czyli do Parlamentu Europejskiego. Ale już nie jako młody i dobrze zapowiadający się, tylko emeryt po przejściach, który nie spełnił ogromnych oczekiwań. To scenariusz w sumie najbardziej realny, ale czy satysfakcjonujący dla polityka, który już niemal sięgał gwiazd?

RAFAŁ KALUKIN



Max Korż na Stadionie Narodowym w Warszawie. Białoruskiego rapera przyszło posłuchać 70 tys. osób.

Zadyma na Maxa

W centrum Warszawy Polska nagle zobaczyła postradziecki, nieznany świat. Okazało się, że młodzi ludzie, rozkrzyczani, zbuntowani, mają własnych idoli. A także marzenia, które nie ograniczają się do sprzątnięcia i siedzenia na kasie. Żyją tu i nie pytają nas o zdanie.

PAWEŁ RESZKA, ZORIANA VARENIA

Polska jest w szoku. Do tego stopnia, że sprawca całego zamieszania białoruski raper Max Korż jest określany przeróżnie. Raz jest artystą „znienawidzonym przez reżim Łukaszenki”, raz banderowcem, raz piewcą „ruskiego miru”.

Największe wrażenie zrobiło chyba to, że na jego koncert na Stadionie Narodowym przyszło 70 tys. osób. Tak wielki stadion zapełniają zazwyczaj zachodnie gwiazdy, udało się to też kilku polskim. Ale Max Korż, który śpiewa po rosyjsku? Kto to jest? I dlaczego w Warszawie?

Sam Korż jeszcze dzień przed koncertem nie wierzyłby pewnie, że na jego temat wypowiedzą się: prezydent RP, premier, ambasador Ukrainy, dziesiątki polityków i setki publicystów, którzy na co dzień nie interesują się rapem.

Rozgrzewka na Woli

Oczywiście przyczyniły się do tego awantury, które towarzyszyły artystycznemu wydarzeniu. Najpierw należy

powiedzieć, że Max Korż jest megagwiazdą w wielu krajach, które kiedyś były częścią Związku Radzieckiego. W Warszawie pojawiły się więc grupy młodych ludzi z przeróżnych zakątków upadłego imperium, a także ci, którzy żyją na emigracji, rozrzućeni po całej Europie. Białorusini, Ukraińcy, Rosjanie, Kazachowie i wszyscy inni, których łączy wspólnota przeżyć i to, że potrafią się dogadać po rosyjsku.

Do incydentów doszło już dzień przed wydarzeniem – w mediach społecznościowych rozeszła się wiadomość, że gwiazdor pojawi się na warszawskiej Woli i zagra coś na rozgrzewkę. Krzysztof Strzałkowski, wolski burmistrz, relacjonował w rozmowie z POLITYKĄ, że nagle pojawiły się tam dziesiątki, potem setki osób. Wkrótce ich liczba według niektórych szacunków przekroczyła tysiąc. Wszystko działo się na terenach dzierżawionych od kolei, wokół których wyrosły niedawno nowoczesne apartamentowce. Głośna muzyka, race, alkohol spowodowały lawinę skarg mieszkańców.

Policja zareagowała sprawnie. Na początku porządku pilnowało kilka patroli, błyskawicznie ich liczbę zwiększono



do kilkuset funkcjonariuszy z oddziałów prewencji. Dzięki ich interwencji przed godz. 22 impreza została rozwiązana. Policja zatrzymała sześć osób, a 25 ukarała mandatami.

Ciąg dalszy zadymy nastąpił w dniu koncertu na Stadionie Narodowym. W czasie imprezy odpalano race, były bójki, agresywne pogo, przepychanki z ochroną, wdzieranie się na płytę stadionu.

O skali problemu mówi komunikat policji: „W związku z koncertem na PGE Narodowym policjanci zatrzymali 109 osób za liczne wykroczenia oraz przestępstwa, takie jak: posiadanie narkotyków, naruszenie nietykalności cielesnej pracowników ochrony, posiadanie i wnoszenie środków pirotechnicznych, a także wdarcie się na teren imprezy masowej. Policjanci ukarali 50 osób mandatami na łączną kwotę 11 450 złotych. Do sądu skierowano 38 wniosków o ukaranie”.

Czy 109 zatrzymań to dużo? Dla porównania niedawno w maju na Narodowym odbył się finał piłkarskiego Pucharu Polski. Emocjonujący mecz Legii z Pogonią ściągnął 48 tys. kibiców. Policja zatrzymała wówczas 100 osób. A więc w świetle suchych liczb zadyma podczas występu rapera nie wyróżnia się jakoś szczególnie.

Wydarzenie było jednak krytycznie odbierane przez Białorusinów mieszkających w Polsce. – *To ogromny wstyd! Przyjechało bydło! Ich zachowanie jest po prostu nie do zaakceptowania. Oni sobie wyjadą, a my zostaniemy z zepsutą reputacją* – mówi Żenia.

To, co się działo wśród Ukraińców, można nazwać małą burzą. W ukraińskiej przestrzeni publicznej i mediach obowiązuje przecież zakaz emitowania współczesnej muzyki rosyjskiej. Gwiazdy, które kiedyś nagrały przeboje po rosyjsku, po rozpoczęciu inwazji naprędce tłumaczyły je na język ojczysty. Oczywiście, że tacy artyści jak Korża są popularni i trafiają na listy najchętniej odtwarzanych utworów na Spotify czy YouTube

Music. Tyle że słucha się ich raczej po cichu, bez afiszowania się. Tymczasem w Polsce młodzi Ukraińcy tłumnie idą na koncert i jeszcze chuliganią. O co tu chodzi?

Dwiż, czyli impreza

Koncert był kwalifikowany przez służby ochrony porządku jako wydarzenie podwyższonego ryzyka. Dlaczego? Zadyma jest elementem spektaklu i przekazu artystycznego Korża. Chodzi tam o łamanie zasad, rzucanie się w wir zabawy na całego.

– *Każdy, kto widział te koncerty wcześniej, nie powinien być zaskoczony* – mówi POLITYCE Tomasz Piechal, autor poczytnego bloga „Szkie wschodnie”. Piechal dodaje, że fani Korża „wyznają swego rodzaju ideologię, którą wyraża słowo »dwiż«, czyli »ruch«. W slangowym znaczeniu oznacza to aktywność, działanie, wyrwanie się ze sztywnych ram, imprezę”. – *Dwiż na koncertach trochę przypomina atmosferę wśród kibiców, dla których ważniejsze jest kibicowanie niż sam mecz* – dodaje Tomasz Sulima, etnograf, działacz białoruskiej mniejszości.

Skojarzenia z kibicami może też wywoływać stylizacja fanów Korża – odzież sportowa, zwłaszcza bluzy dresowe i kultowa marka Adidas z charakterystycznymi trzema paskami, stały się ich znakiem rozpoznawczym. To trochę jak sposób na znalezienie tożsamości i wspólnoty w depresyjnym i szarym świecie. – *Na koncertach żywiołowość i gwałtowność zabawy są posunięte do takiego stopnia, że nas to szokuje. I trochę uzmysławia, że w Polsce jesteśmy bardziej Zachodem, niż nam się wydawało* – dodaje Sulima.

Jednak w krytyce koncertu raczej nie chodziło o żaden „dwiż” – zdaje się, że niewielu z recenzentów Korża wiedziało o jego istnieniu. Chodziło o ogólną atmosferę w Polsce, a ta wobec uchodźców, migrantów i obcych robi się nad Wisłą coraz bardziej gęsta. Trudno się dziwić, że internet zalały filmy z tego, jak zachowuje się „bydło na koncercie”. Wszystko to zostało ►

► podlane nienawistnymi komentarzami. Największe wrażenie zrobiła czerwono-czarna flaga, z którą biegał po płycie jeden z uczestników koncertu.

W przekazach polityków np. Konfederacji ów człowiek zmienił się w „tłum Ukraińców w wieku poborowym, którzy dumnie machają flagą OUN-UPA i nazistowskimi symbolami »Wilczych Haków« kojarzonymi z oddziałami SS. Złapać, osadzić, deportować z dożywotnim zakazem wjazdu do Polski!”.

Rozgrzany do czerwoności internet zmusił do reakcji premiera: „Otrzymałem właśnie informację, że wobec 63 osób jest wszczęte postępowanie o opuszczeniu kraju. Będą musiały opuścić kraj dobrowolnie lub pod przymusem. W grupie jest 57 Ukraińców i sześciu Białorusinów”. Donald Tusk zazwyczaj nie informuje o deportacjach, teraz zrobił wyjątek, co spodobało się Karolowi Nawrockiemu. Prezydent dodał, że będzie zabiegał, by zakazać czerwono-czarnej flagi: „Symbole banderowskie w polskiej przestrzeni publicznej są nie do zaakceptowania”.

Sprawie z flagą warto się przyjrzeć bliżej. Czerwono-czarna to historyczny symbol Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów B (frakcji Stepana Bandery), w Polsce kojarzonej z UPA i rzezią wołyńską. W Ukrainie jest dziś jednym z symboli patriotyzmu i walki Rosją. Spotyka się ją na froncie, na cmentarzach, gdzie chowani są polegli. Jest powszechna i nie budzi kontrowersji. Jej pojawienie się na koncercie Korża było swoistym zapalnikiem. – *Iskrą, która trafiła na beczkę prochu coraz bardziej niechętnych Ukrainie nastrojów w Polsce* – uważa Piechal. Beczka prochu powstała nie bez udziału polityków, dla których antyukraińskie nastroje to doskonała możliwość zwiększenia własnej popularności.

W 2022 r. i później antyukraińskość była potępiana, spychana na margines. Każdy, kto krytykował Kijów, musiał się liczyć z tym, że zostanie nazwany „ruską onucą”. Teraz jest inaczej – wypada wytykać Ukrainie brak wdzięczności i stawiać pod znakiem zapytania obecność uchodźców w naszym kraju. To wszystko jest w dobrym patriotycznym tonie, niemal w każdej partii.

W tak uprawianej polityce chodzi wyłącznie o emocje. Idąc tym tropem, można nazywać koncert białoruskiego rapera wydarzeniem ukraińskim i „banderowskim”, choć to przeczy logice.

Jednak tak się działo. Wywołany do tablicy poczuł się Wasyl Bodnar, ambasador Ukrainy w Polsce. W rozmowie z PAP powiedział: „Nie rozumiem, po co w ogóle Ukraińcy na ten stadion poszli. Koncert był w języku rosyjskim, a ci, którzy posługują się tym językiem, zabijają teraz Ukraińców, prowadzą wojnę i niszczą Ukrainę. Jestem przekonany, że polskie organy ścigania wykonają czynności niezbędne do ukarania winnych. Ukraińcy, którzy tak jak ja są gośćmi w tym kraju, muszą przestrzegać prawa obowiązującego w Polsce.

Takie jest życie

Koncert Korża odbywał się 9 sierpnia, w piątą rocznicę sfałszowanych wyborów prezydenckich na Białorusi, po których nastąpiły wielkie demonstracje. A potem pobicia, masowe aresztowania i emigracja. Być może z tego powodu w Polsce zaczęto nazywać rapera artystą znienawidzonym przez reżim Łukaszenki.

To też jest dalekie od prawdy. – *Nie jest to wojownik o wolność. Nie krzyczy ze sceny: „Żywe Białoruś!”* – mówi Tomasz Piechal.



Pojawienie się czerwono-czarnej flagi ukraińskich nacjonalistów na koncercie Korża wywołało oburzenie

W 2020 r. w czasie masowych demonstracji Korż zamieścił wpis wzywający do ich zaprzestania. Argumentował, że Białorusini już zwrócili uwagę świata, a dalsze starcia niczego nie zmieniają. Najbardziej kontrowersyjne okazało się jego zdanie: „Filmików [do internetu] wystarczy na miesiąc do przodu”. Zabrzmiało to tak, jakby protestujący wyszli na ulice dla efektownych ujęć, a nie z powodu walki o wolność. Korż mieszkał zresztą na Białorusi niemal do końca 2024 r.

Jego stosunek do inwazji Rosji na Ukrainę też nie jest jednoznaczny. W 2015 r. koncertował w anektowanym Krymie, za co objęto go zakazem wjazdu do Ukrainy. Jednak w czerwcu 2022 r. nagrał utwór „Swoj dom”, w którym mówi, że rację ma ten, kto broni się przed agresją. Max Korż, zamiast wskazywać winnych agresji, woli mówić, że jest przeciwny wojnie. Bo biorą w niej udział „miliony ludzi, którzy wychowali się na tych samych podwórkach, na tych samych wartościach, którzy rozumieją się nawzajem i są w 100 procentach gotowi żyć obok siebie w pokoju”. W optyce Korża winna jest więc „wojna”, a nie Putin czy Łukaszenka.

Dlaczego? Być może dlatego, żeby nie zrażać do siebie fanów. By na jego koncercie mógł biegać chłopak z Ukrainy z czerwono-czarną flagą, a obok ktoś, kto rozwinął flagę Rosji. Oczywiście wcześniej zapłaciwszy za bilet.

Potwierdza to opinia Denisa, 18-latka z Kijowa, który od 2022 r. mieszka w Polsce: – *Max rapuje w języku rosyjskim,*

co bardzo pomaga mu w dotarciu do szerszej grupy odbiorców. Ukraińcy, Białorusini i Rosjanie mogą się utożsamiać z jego twórczością. W swoich tekstach porusza codzienne problemy, z jakimi borykają się młodzi ludzie z Białorusi czy Ukrainy. Wielu młodych wychowało się na jego muzyce.

Denis trafia w sedno. Teledysk utworu „Góry po kolano” (93 mln wyświetleń na YouTube) przedstawia bardzo młodego chłopaka i dziewczynę. Mają po jakieś 20 lat. W scenerii staro-sowieckiego korytarza dziewczyna wręcza chłopakowi test ciążowy. Chłopak ma zszokowaną twarz i świadomość, jak bardzo od tej chwili zmieni się jego życie. Wyrusza w góry z kumplami. Chce uciec, ale Korż próbuje go przekonać, by wrócił do dziewczyny i dziecka, bo „takie jest życie”.

O tym jest twórczość Korża i dlatego jest w stanie zapełnić publicznością wielkie stadiony. Fani to ludzie, których dzieciństwo przypadło na lata 2000. W czasie rozkwitu kariery rapera byli nastolatkami przeżywającymi okres buntu. To młodzież wychowana przez rodziców o radzieckiej mentalności, bez wielkich nadziei czy ambitnych planów. Dorastali w dziewięciopiętrowych blokach na obrzeżach miast. „Rajon” – dzielnica – był nie tylko miejscem spotkań, ale też nauczycielem życia. Znają podwórkowe zasady, żyją według nich, słuchają Korża i odnajdują w jego utworach własne historie. Max daje im nadzieję, że w ich szarym życiu wydarzy się coś dobrego.

Skala jest ogromna, bo „wspólnota podwórek”, rozumiejąca rosyjski albo mówiąca nim na co dzień, rozciąga się od Władywostoku do Brześcia. Rosyjskojęzycznej publiczności może być nawet 300 mln ludzi. – Korż opowiada o chłopakach, prostym

życiu, radości oraz o tym, jak fajnie jest żyć na własnych zasadach i robić to, co się chce. Jego główną publicznością są młodzi mężczyźni do 25. roku życia, „chłopacy z osiedla”: prości, aktywni i przyjaźni. Na koncertach mają okazję się poznać, a potem wspólnie bawić się w barach, klubach czy parkach, śpiewając po drodze jego utwory – opowiada Timofej z Ukrainy.

Nie ich wojny

Cytowany już Tomasz Piechal uważa, że to, co działo się wokół koncertu, to dowód na to, że wyrosła nam spora bariera: – Polacy nie znają trendów z Europy Wschodniej, nie znają dobrze kultury swoich wschodnich sąsiadów, poruszają się w innym kodzie kulturowym. Po drugie, skala migracji ze Wschodu do Polski, jej masowość, spowodowały, że już od dobrych kilku lat do Warszawy i innych naszych miast przybywają najważniejsze gwiazdy ze Wschodu, zarówno muzyki, jak i np. dziennikarstwa, publicystyki. Przyjeżdżają i wyprzedają całe sale. Wszystko to dzieje się jednak w zamkniętym obiegu migrantów, którzy mają więzi między sobą, ale ich ścieżki, poza sytuacjami formalnymi i służbowymi, nie tak często przecinają się z Polakami.

Być może wszystko to jest też dowodem na coś innego. W krajach postradzieckich wyrosło nowe pokolenie. Uciekają ze swoich krajów, od polityki, od wojny. Zbuntowani, głośni, niegrzeczni szukają sobie nowego miejsca i pomysłu na siebie. Może po prostu na koncercie Korża krzyknęli do nas: „Jesteśmy!”.

PAWEŁ RESZKA, ZORIANA VARENIA

REKLAMA

© PLATFORMA X

POLITYKA

Zaprenumeruj nasz tygodnik przez

InPost Paczkomat 24/7

- Gwarantowana dostawa w środę do wybranego InPost Paczkomat 24/7
- Darmowa przesyłka przez cały okres prenumeraty
- Niższa cena za egzemplarz niż w punktach sprzedaży



● **569 zł za rok**
Oszczędzasz 150 zł
Tylko ~~13,90~~ 11 zł za numer

● **299 zł za pół roku**
Oszczędzasz 60 zł
Tylko ~~13,90~~ 11,50 zł za numer

blik

PayU



Wejdź na **polityka.pl/paczkomat** lub zeskanuj kod QR:



ILUSTRACJE PATRYK SROCZYŃSKI

WEB jak sklep

Prof. Agnieszka Gryszczyńska, dyrektor Departamentu ds. Cyberprzestępczości i Informatyzacji w Prokuraturze Krajowej, o tym, jak złodziejski fach przenosi się do sieci.

JULIUSZ CÍWIELUCH: – Podobno połowa przestępstw jest już popełniana cyfrowo?

AGNIESZKA GRYSZCZYŃSKA: – Tak, jeśli weźmiemy pod uwagę przestępstwa, których ściganie wymaga dostępu do informacji cyfrowych. Ale proszę spojrzeć na to z innego punktu widzenia. Co roku prokuratura rejestruje około miliona spraw. Z czego w 2024 r. aż 154 tys. spraw dotyczyło oszustw. Już ponad połowa z nich dokonywana jest całkowicie online. Rośnie również liczba oszustw komputerowych czy hackingu.

A my jesteśmy na to gotowi?

Kim jest „my”? My – organy ścigania i wymiar sprawiedliwości, czy my – obywatele, czy my – rodzice naszych dzieci albo rodzice

naszych rodziców, którzy okradani są metodą nazywaną przez media „na wnuczka”, choć z uwagi na zmiany w scenariuszu socjotechnicznym lepiej określać je metodą „na legendę”. Coraz częściej bowiem do ofiary nie dzwoni żaden pseudownuczek, a coraz częściej jest to policjant, pracownik banku, a czasem nawet prokurator.

My – obywatele.

Obawiam się, że nie. Od czasu pandemii nie tylko nasze zakupy przeniosły się do sieci, ale są tam również nasze emocje. Mamy tam nasze dane, dzienniczki naszych dzieci, ukochane zdjęcia. Stopień zabezpieczeń jest najczęściej niski. A przecież na wszystkim można żerować. O czym najlepiej świadczy historia Thomasa,

który masowo szyfrował ludziom komputery, domagając się okupu za ich odszyfrowanie.

Obawiam się, że nie każdy go zna, choć każdy wolałby nie mieć z nim nic wspólnego.

Też tak myślę. Thomas przestępczą działalność prowadził od 2011 r. Miał wtedy 16 lat. Zatrzymano go w 2018 r. Szacuje się, że w tym czasie wysłał około miliona maili ze złośliwym oprogramowaniem. Zainfekował dziesiątki tysięcy komputerów, kilka tysięcy zaszyfrował, a następnie domagał się okupu za ich odszyfrowanie. Zaszyfrowanych komputerów było jednak nie mniej niż 16 718, ponieważ tyle kluczy do deszyfracji udało się w toku postępowania odzyskać i dzięki współpracy z NASK udostępnić pokrzywdzonym, aby mogli odszyfrować zaszyfrowane przez Thomasa pliki. Powiedzieć, że był uciążliwy, to nic nie powiedzieć.

**Chłopak nie miał nawet informatyczne-
go wykształcenia.**

Był również dosyć nieostrożny, dlatego udało się go dość łatwo namierzyć. Zgromadzenie materiału dowodowego i jego zatrzymanie nie było jednak już tak prostą sprawą, bo mieszkał na terenie Belgii, ale atakował w Polsce. Dla belgijskiej policji był niewidoczny. Zwykły chłopak.

Thomas dostał trzy i pół roku więzienia i obowiązek naprawienia szkód za pół miliona. W necie ludzie komentują, że to wyrok na zachętę, bo przy tak niskich karach to można okradać ludzi i niczym się nie przejmować.

Z tego, co wiem, wyrok zapadł dopiero w pierwszej instancji, a orzeczenie nie jest prawomocne. Podaję przykład Thomasa, bo to zamknięta sprawa, a on działał w pojedynkę. Obecnie obserwujemy zdecydowanie bardziej skomplikowane ataki. Większość oszustw to już gigantyczne przedsięwzięcia, które wymagają od sprawców sprzętu, stworzenia skomplikowanej infrastruktury, zbudowania call center, pozyskania rachunków bankowych do prania pieniędzy, zatrudnienia innych przestępców. Taka zorganizowana grupa popełnia przestępstwa codziennie, w sposób stały, zorganizowany i ciągły, generując bardzo wiele zdarzeń. Dla przykładu – grupy prowadzące fałszywe sklepy internetowe to nawet ponad tysiąc tomów akt sprawy. W jednym tomie jest 200 kart. Karta może mieć dwie strony. Proszę sobie policzyć, ile to materiału. To m.in. dlatego jestem wielką zwolenniczką cyfryzacji organów ścigania i wymiaru sprawiedliwości, digitalizacji akt i lepszego zarządzania danymi zgromadzonymi w toku prowadzenia postępowań. Bez tego nie mamy szans skutecznie walczyć z cyberprzestępczością.

Taki lewy sklep czym najczęściej handluje?

Elektroniką, ale częste są również sklepy z akcesoriami dla dzieci – wózkami, fotelikami czy odzieżą. Tym, na czym są najlepsze przebitki. Klienci takich fałszywych sklepów jak mediamax.in.net, mediartvagd.in.net czy euroagd.in.net łatwo mogli uwierzyć, że kupią lodówkę za pół ceny, bo te prawdziwe sklepy



Agnieszka Gryszczyńska, dr hab. nauk prawnych, inż. informatyk. Od 2013 r. jest prokuratorem. Od początku kariery specjalizowała się w cyberprzestępczości. Dyrektorka Departamentu ds. Cyberprzestępczości i Informatyzacji w Prokuraturze Krajowej. Wykłada jako prof. uczelniany w Katedrze Prawa Informatycznego na Wydziale Prawa i Administracji Uniwersytetu Kardynała Stefana Wyszyńskiego w Warszawie.

ciągle kuszą nas promocjami. Oszukani wpłacali pieniądze. Towar nie przyjeżdżał, ale czekali, bo na infolinii dostawali informację, że w promocji dostaną coś ekstra. Czas mijał. Towaru nie było. Infolinia przestawała działać. W tym czasie pieniądze były już wytransferowane. Dobrze wyhodowany sklep żyje średnio 3–4 tygodnie. W tym samym momencie przestępcy hodują już inny, żeby interes się kręcił, a sprzęt i infrastruktura nie niszczały. W ciągu jednego roku jedna grupa może prowadzić nawet 20 takich sklepów.

Ile można wyciągnąć z jednego?

Zależy, na jakim rynku, w jakiej branży, jaki mają pomysł na promocję, ile zainwestują w reklamę, jak zorganizują pranie pieniędzy. Możemy założyć, że jeden fałszywy sklep zarabia od kilkudziesięciu do 500 tys. zł. Łatwiej i więcej zarabiają na prowadzeniu fałszywych platform inwestycyjnych, oszustwach na legendę czy na *love scam*, czyli wyłudzeniach na „zakochanego amerykańskiego żołnierza”,

lub innych pseudoromantycznych historiach – tam są w stanie od jednego pokrzywdzonego uzyskać równowartość utargu z fałszywego sklepu internetowego.

Czyli przy sklepie trzeba się narobić.

Do tego dochodzi jeszcze problem wyprania środków – czyli zwykle dokonania wypłat w bankomatach, wpłat w innych bankomatach lub bitomatach czy kantorach. Cyberprzestępcy potrzebują słupów, mułów finansowych oraz tzw. gibbonów czy runnerów, którzy zajmują się odbiorem środków.

Wypłacić 200 tys. z bankomatu to rzeczywiście może być męczące, odkąd wprowadzili limity wypłat do 800 zł.

Opinia publiczna potrafi się ekscytować jakimś napadem, w którym łupem złodziei pada milion czy dwa miliony. W przypadku pokrzywdzonych w wyniku działania fałszywych platform inwestycyjnych albo oszustw na legendę takie kwoty przestępcy mogą generować w jeden dzień.

Darknet istnieje czy nie?

Darknet to niestety nie jest hasło z powieści sensacyjnych. Ale obrót przejętymi kontami mailowymi lub kontami w mediach społecznościowych czy danymi osobowymi odbywa się zarówno na specjalnych forach w dark webie, jak również na grupach pro-

wadzonych na komunikatorach, np. na Telegramie. I tu, i tu można kupić lewe konta, hurtowe ilości tożsamości, ale też całe bazy danych. Tanie. 2 zł za człowieka. Można też wynająć kogoś do pomocy w przestępstwie. Albo kupić narkotyki. Dziś handel narkotykami, tak jak wszystkim innym, również przeniósł się do sieci. Tam rządzi anonimowość, dużo trudniej namierzyć sprawców, łatwiej zatrzeć ślady. Dilerzy też idą z duchem czasów.

Król dopalaczy ponad 16 tys. przesyłek dystrybuował przez paczkomaty. Dzięki temu nie poznał żadnej z pięciu osób, które zmarły po zażyciu tego, co im sprzedał.

Paczkomaty nadal są istotnym kanałem dystrybucji. Ale są też inne metody. Towar może ►



► zostać zakopany lub pozostawiony w konkretnym miejscu, a po przesłaniu pieniędzy dostaje się pinezkę z lokalizacją. Często rodzicom wydaje się, że dzieci, które siedzą w domu przed komputerem, są bezpieczne i nic im nie grozi.

A są?

Pokutuje taki mit, że młodsze pokolenia urodziły się z komórkami w rękach i to tylko ich rodzice czy dziadkowie padają ofiarami cyberprzestępstw. To niestety nie jest prawdą. Z przerażeniem zapoznają się ze sprawami, w których dzieci poddawane są różnym formom cyberprzemocy, molestowaniu seksualnemu online, są oszukiwane lub szantażowane perfidnie i bez skrupułów. Szczególnie niebezpieczne są ataki, w których sprawcy generują za pomocą AI, na podstawie pozyskanych z mediów społecznościowych neutralnych zdjęć, zdjęcia nagie lub treści pornograficzne z ich udziałem. Oczywiście są to materiały spreparowane przez AI, ale bardzo sugestywnie. Czasem towarzyszy temu przejęcie konta w mediach społecznościowych i groźba, że jeśli dana osoba nie wykona tego, czego się żąda, zdjęcie zostanie natychmiast opublikowane.

A czego się żąda?

Na przykład prawdziwych nagich zdjęć lub wykonania określonych czynności przed włączoną kamerką. Presja potrafi być tak ogromna, że niektórzy się na to godzą. Mamy już skazania za „wirtualny gwałt”. Sąd Okręgowy w Tarnowie skazał 28-letniego mężczyznę, który namawiał dzieci w internecie do przesyłania sobie nagich zdjęć, następnie szantażował je nimi, wymuszając nagrywanie kolejnych materiałów. Najmłodsza dziewczynka miała 10 lat. Sąd uznał, że – mimo iż sprawca nigdy nie spotkał się z pokrzywdzonymi i kontaktował się z nimi wyłącznie przez internet – doszło do popełnienia przestępstwa zgwałcenia. W sierpniu 2024 r. wyrok ten podtrzymał Sąd Apelacyjny w Krakowie, a sprawca został skazany na karę 13 lat pozbawienia wolności.

Obrzydliwe.

I okrutne. Po drugiej stronie działają bardzo sprawni i profesjonalni w swoim rzemiośle manipulatorzy. Niestety czasem wspierani przez profesjonalistów. W grupach odpowiedzialnych za fałszywe fundusze inwestycyjne skrypty do rozmów tworzą psycholodzy, których zatrudniają przestępcy. Dla mniej efektywnych w manipulowaniu zapewniane jest wsparcie tutora czy mentora, który pomaga doskonalić metody wpływania na innych i manipulowania nimi.

Niedawno dostałem filmik, w którym Robert Lewandowski namawia mnie do inwestowania w kryptowaluty. Sprawdziłem i okazało się, że to fejk.

Też widziałam te filmy. Coraz częściej trafiaamy na to, że przestępcy sięgają po narzędzia AI do popełniania przestępstw. Niektóre z nich są dosyć prymitywne, ale to się zmienia. AI szybko staje się mocnym wsparciem w oszukiwaniu. Już teraz badania wskazują, że wiadomości phishingowe wygenerowane przez LLM, czyli duże modele językowe, mają znacznie wyższy

współczynnik klikalności niż wiadomości phishingowe prawdopodobnie napisane przez ludzi.

Czyli przestępcy będą mieć wolne, a AI będzie na nich tyrała?

Przy oszustwach inwestycyjnych i oszustwach na legendę nadal dobry socjotechnik jest podstawą przestępczego modelu i może liczyć na wysokie dochody zależne od tego, jaka jest jego skuteczność w oszukiwaniu lub okradaniu ludzi. Są pokrzywdzeni, którzy jednorazowo tracą po kilkaset tysięcy i więcej. Rekordzista, o którym wiem, zainwestował 2 mln zł.

Kto bogatemu zabroni.

Tyle że on tych pieniędzy nie miał. Pokrzywdzeni skuszeni pierwszymi szybkimi zyskami zaczynają się zapożyczać, żeby zarobić jeszcze więcej, bo na wczesnym etapie pokrzywdzony najczęściej uzyskuje jakieś zyski. Ma to na celu wzbudzenie zaufania i skłonienie go do zainwestowania prawdziwego kapitału. Mówienie o naiwności byłoby przerzucaniem odpowiedzialności na ofiary, ale ludzie bywają tak skutecznie manipulowani, że przestępcy bez trudu nakłaniają ich do zainstalowania programu do zdalnego dostępu do komputera. W części znanych ataków pokrzywdzeni przekazywali przestępcy dane dostępowe do bankowości elektronicznej, przekonani, że jako ich „konsultant” lepiej będzie wiedział, kiedy dokonać przelewu środków, aby zmaksymalizować zysk.

Mama mojego znajomego już trzy razy była okradana metodą „na wnuczkę”. Kiedy rodzina poblokowała jej konta, skończyło się na tym, że ważyła biżuterię na wadze kuchennej, żeby przekazać ją przestępcom.

Nic mnie w tej historii nie dziwi. W sprawach fałszywych funduszy były takie przypadki, kiedy osoba była kilkukrotnie doprowadzana do niekorzystnego rozporządzenia mieniem przez tę samą zorganizowaną grupę. Kolejne oszustwo bazowało zazwyczaj na podszyciu pod kancelarię prawniczą i zaoferowaniu odpłatnej pomocy w odzyskaniu utraconych środków.

A dla policji odzyskanie takich środków jest łatwe?

Co do zasady to w ogóle nie są łatwe sprawy. Tym bardziej że na początku obrót realizowany jest na kontach innych pokrzywdzonych. Czyli to, co jest opłatą wprowadzającą dla jednego pokrzywdzonego, trafia na konto tego, który akurat chce wypłacić środki. Dzięki temu też przestępcy nie ujawniają swoich rachunków bankowych. Czyli na początku przepływy, które widzimy, to przepływy stosunkowo drobnych sum pomiędzy kontami pokrzywdzonych oszustwem osób. Pieniądze krążą, a później nagle znikają. I dopiero wtedy wkraczamy my.

A czym takie fałszywe platformy różnią się od, dajmy na to, Amber Gold?

Bazowy mechanizm oszustwa jest ten sam. Ale mechanika przestępstwa jednak dużo bardziej skomplikowana. W przypadku Amber Gold była to klasyczna piramida finansowa. We współczesnych ofertach fałszywych inwestycji nikt niczego nie



inwestuje, sprawcy nie podają swojej tożsamości, zwykle działają z zagranicy. Mają również bardziej złożony model prania pieniędzy – z bankierami i rekruterami słupów, a pieniądze szybko konwertowane są na kryptowalutę. Po drodze potrafią przechodzić przez setki kont, z których wiele jest dobrze wyhodowanych.

Zakładałem konto w banku, ale nigdy go nie hodowałem.

Pan pewnie latami używa jednego rachunku. A przestępcy potrzebują ich setki. Tak się gubi ślady i ogranicza ryzyko blokad na rachunku. Najlepsze konta do przestępczej działalności na większą skalę to te powiązane z działalnością gospodarczą, a słup, na którego założone jest takie konto, jednocześnie jest prezesem zakupionej na jego dane spółki. Jednocześnie na dane słupa tworzone są konta na giełdach kryptowalut. Takie słupy często przechodzą wcześniej gruntowny lifting, zmieniany jest ich wizerunek. Znam przypadek, że grupa zainwestowała środki, aby wstawić słupowi nowe zęby. Te mechanizmy są bardzo podobne również w tzw. karuzelach VAT-owskich. Ale to już inna opowieść.

Cyberprzestępczość nie ma twarzy, a ma narodowość?

Formalnie ma, ale przestępcy najczęściej działają poza krajem, w którym popełniają przestępstwo, bo to zawsze jest rodzaj utrudnienia dla organów ścigania. W Polsce rozbite zostało call center, zorganizowane przez Tajwańczyków, którzy oszukiwali Chińczyków metodą „na legendę”. Ostatnio coraz częściej tropy oszukańczych call center prowadzą do Ukrainy. Przy czym środki z tych przestępstw transferowane są dalej, a osoby kierujące przestępczym procederem znajdują się w różnych jurysdykcjach – zarówno w Europie, jak i bardziej egzotycznych lokalizacjach.

To jak polski wymiar sprawiedliwości sobie z tym wszystkim radzi?

Osobiście bardzo wysoko oceniam kompetencje policjantów, którzy zajmują się cyberprzestępczością. Jest również coraz więcej prokuratorów wyspecjalizowanych w zwalczaniu



cyberprzestępczości. Tyle że jednych i drugich jest za mało.

A cyberprzestępców jest coraz więcej.

Prowadzenie postępowania mogłabym porównać do szukania igły w stogu siana, przy czym stóg ten stoi na granicy wielu różnych państw, w których obowiązują różne procedury pozyskiwania danych. Dodatkowo przeciętny użytkownik internetu jest dosyć łatwym celem. Myślę, że ciągle za małą wagę przywiązujemy do tego, jak potężnym narzędziem mogą być media społecznościowe. Po przejęciu czyjegoś konta, co jest niestety łatwe, wystarczy wysłać do znajomych wiadomość: „Cześć, okradziono mnie, jestem za granicą, mam nowy numer, prześlij mi proszę blikiem 500 zł, zwrócę zaraz po powrocie. Mam problem z zasięgiem, więc mogę nie odbierać”. Banalne, a i tak zawsze się ktoś na to złapie. A to tylko pośrednie oszustwo.

To co nas może uratować?

Rozsądek. No i prewencja. Zastrzeż PESEL, włącz uwierzyteliwienie dwuskładnikowe – najlepiej skorzystaj z klucza sprzętowego U2F. Wiem, że to brzmi skomplikowanie. Ale wystarczy poczytać i może się okazać, że będzie to najlepiej zainwestowane 200 czy tam 400 zł w życiu. Korzystaj z długich i niepowtarzalnych haseł. Nie ma stron mniej i bardziej ważnych. Przez tę mniej ważną przestępcy mogą się dostać do tych ważnych. Zawsze sprawdzaj, czy podajesz hasło na właściwej stronie. I najważniejsze – nie rób niczego pod wpływem emocji – jeśli jakaś wiadomość lub telefon wyprowadziły cię z twojej strefy komfortu i ktoś oczekuje od ciebie natychmiastowego działania, uspokój się i odczekaj.

Policz do dziesięciu albo zadzwoń na 112?

Na początek zacznij od rodziny, skonsultuj to z kimś, komu ufasz. Cyberprzestępstwa są trudne do wykrycia, trudne do odzyskania pieniędzy, ale zachowując ostrożność, wielu zagrożeń możemy po prostu uniknąć.

ROZMAWIAŁ JULIUSZ CWIELUCH

REKLAMA



Zabierz POLITYKĘ na wakacje, zrób zdjęcie i wygraj w konkursie!

CZYTAJ W PLENERZE NA PAPIERZE

Zdjęcia z aktualnym wydaniem naszego tygodnika wrzuć na social media i oznacz: [@tygodnikpolityka](#) [#politykanawakacjach](#) lub wyślij mailem: [konkurs@polityka.pl](#)

Szczegóły w regulaminie konkursu na stronie [polityka.pl/opolityce](#)

Czekamy do 31 sierpnia!



Lubień, zakopianka w pierwszej połowie lat 60. Po prawej: jej dzisiejszy odcinek Zakopane–Nowy Targ w okolicy Poronina.

Droga pod górę

Odnowiona zakopianka, czyli 101 km z Krakowa pod Tatry, jest jak cała Polska: piękna i pełna podziałów.

MARCIN ŻYŁA

Zokien stacji benzynowej, w której pracuje już 15. rok, Bartłomiej Niziołek patrzy na widoczną w dolinie drogę ekspresową. Tak samo patrzył przed rokiem, w ostatni piątek sierpnia. Z tym że wtedy nie było mu do śmiechu.

Tamtego dnia nową drogą – odcinkiem do Nowego Targu – pierwszy raz pojechali kierowcy. A na stacji w Rdzawce, pod szczytem Obidowej, przy najwyższym punkcie starej zakopianki, ruch zmalał prawie do zera. – Cisza, która wtedy zapanowała, kłuła w uszy. Widzieliśmy sznur aut w dole i zastanawialiśmy się, czy wkrótce nie będzie trzeba związać biznesu – mówi Niziołek, który w kolejnych tygodniach zwracał hurtowni całe półki przeterminowanych produktów.

Wcześniej jego stacja była jednym z najbardziej charakterystycznych punktów trasy z Krakowa do Zakopanego. Później ruch przeniósł się na ekspresówkę, między ekrany akustyczne

i antyolśnieniowe, ustawiane po to, aby nie stresować zwierząt. A także – pod ziemię.

Tu hałas jest nieznosny, przypomina ten z płyty lotniska. W środku dwukilometrowego tunelu pod górą Luboń Mały wprowadzono odcinkowy pomiar prędkości i kierowcy karnie nie przekraczają setki. Ale jazgot silników odbija się od ścian i nie ma stąd jak uciec. Zagłusza go tylko komunikat z megafonów: „W tunelu nie wolno się zatrzymywać”.

Kacper Michna z krakowskiego oddziału Generalnej Dyrekcji Dróg Krajowych i Autostrad mówi, że w promieniu kilkuset kilometrów nie ma nowocześniejszego tunelu. – Jest wyższy i szerszy od tych w Alpach – wylicza. – Ma oświetlenie dostosowujące się do otoczenia: przy wjeździe światło pali się słabiej, aby oczy stopniowo przyzwyczyły się do półmroku. Na kamerach termowizyjnych monitorujemy ciepło samochodów, by wykrywać zagrożenia pożarowe. Komunikaty awaryjne słychać w samochodowych radiach. Nad wjazdem od południa zamontowano kurtynę powietrzną. Takie cuda tylko na zakopiance: ma zatrzymywać na zewnątrz halny.

Oddany do użytku w 2022 r. tunel pod górą Luboń Mały skrócił czas podróży na Podhale o kolejne kilkanaście minut. Wraz z ukończonym rok temu nowym odcinkiem między Rdzawką i Nowym Targiem kończy się, trwająca kilkanaście lat, modernizacja najsłynniejszej trasy w Polsce.

W niektórych miejscach powstała droga imponująca. – Jeszcze w latach 70. XX w. drogi budowano tak, jak pozwalał teren – wyjaśnia Kacper Michna. – Na zakopiance drogowcy musieli dostosować się do gór. Dziś radzimy sobie inaczej: kluczowym parametrem drogi ekspresowej jest jej profil. Na szczytach wzniesień robimy wykopy, aby zmniejszyć stromiznę podjazdu. Budujemy estakady, aby nie było ostrych zjazdów. Michna dodaje: to droga inna od wszystkich. Jest tu ruch tranzytowy, lokalny i turystyczny, ruch wokół Krakowa. Zakopianka żyje: blisko znajdują się strefy

przemysłowe, a południowa Małopolska, mimo górzystego terenu, to najgęściej zaludnione tereny wiejskie w Polsce.

10 sierpnia w tunelu pod Luboniem Małym padł więc kolejny rekord: w ciągu doby przejechało tu 53 tys. samochodów. To o 10 proc. więcej niż wynosił poprzedni rekord z lipca. Według ostrożnych szacunków w niektóre dni ubiegłorocznego lata w Zakopanem i okolicach przebywało ćwierć miliona ludzi – mieszkańców i turystów. Większość dojechała samochodem.

My i oni

Kierowcy z głębi Polski widzą w zakopiance symbol gór. Inżynierowie ruchu – konieczność wyważenia między potrzebą szybkiego dojechania na wczasy oraz komfortem mieszkańców sześciu położonych wzdłuż drogi powiatów. – *Zakopiankę wyróżnia dodatkowo aspekt psychologiczny. Dla wielu mieszkańców środkowej czy północnej Polski już sama podróż nią jest przeżyciem, pierwszą częścią wakacji w górach. Góry to dla wielu z nich nie tylko Tatry. To również ta droga – mówi Kacper Michna.*

Obok berlinki i gierkówki zakopianka jest jedną z tylko trzech polskich tras, której nazwa własna przyjęła się w potocznym języku. – *To symbol i legenda znana nawet tym nielicznym, którzy nigdy nią nie jechali – potwierdza dr Wojciech Korchut, psycholog, kierownik studiów psychologii transportu w Uniwersytecie SWPS. – To też droga pełna napięć i sprzeczności. Jedni zawdzięczają jej biznesy, inni codzienne korki. Ujawniają się tu podziały na „nas” i „nich”. Te ostatnie widać podczas wakacji, ferii zimowych i słonecznych weekendów w stosunku mieszkańców Podtatrza do przyjezdnych. Region wciąż stoi turystyką, ale coraz głośniej odzywają się już głosy o zawłaszczaniu przestrzeni. O tym, że coraz trudniej czuć się tu u siebie.*

Bywa, że mieszkańcy przeklinają turystów: że przez nich drożej, że trudno dojechać do lekarza, że ludzie bardziej nerwowi. Wojciech Korchut: – *Na niektórych szlakach w Tatrach zrobiło się już tak gęsto, że turyści nie mówią sobie „cześć”. Na trasie w góry jest podobnie. Nie ma już wspólnoty drogi, która kiedyś – gdy samochodów było mniej – niosła ze sobą sympatię, dostrzeganie się nawzajem. Nowa zakopianka przypomina mi stare kreskówki z Kaczorem Donaldem: otwarto autostradę i nagle pojawia się sznur ścigających się aut.*

Pięć zakopianek

Pierwsza droga na Węgry – którą na południe wożono sól, a na północ wino – łączyła w średniowieczu doliny Raby i Orawy, omijając Podhale. Drugą zakopiankę na początku XIX w. wybudowała Austria. Poprowadzono ją górami, bo służyła przede wszystkim mieszkańcom, dopiero potem karczmy w podrabczańskiej Zaborni dostosowano dla podróżnych z miast.

Międzywojenna Polska dokonała kilku korekt drogi. W PRL położono asfalt, zbudowano dwujezdniową drogę do Myślenic i wyprowadzono ruch z centrów podhalańskich wsi. Według anegdot most w Stróży poszerzono dopiero na przyjazd radzieckiej delegacji z Michaiłem Gorbaczowem do Poronina w 1988 r. – wcześniej ruch odbywał się wahadłowo.

Z perspektywy długiej historii zakopianki ostatnie zmiany to rewolucja. Na zdjęciach z lat 60. XX w. widać jeszcze brukowaną drogę. W kadrach z lat 70. są głównie ciężarówki. Ale w ciągu ostatniej dekady liczba samochodów pokonujących odcinek Kraków–Myślenice wzrosła aż dwukrotnie.

Dla Kacpra Michny analogie do natężenia ruchu przynosi woda – z przepływami, ujściami, potokami. Albo powietrze: czasem

gęstnieje, czasem się rozpręża. Gdyby zakopianka była żywiołem, byłby to żywioł nieprzewidywalny. – *Zakopianka to również obraz polskiej demografii. Wielu z nas to ludzie w wieku 35–45 lat, najbardziej mobilni, często podróżujący i coraz bardziej zamożni. To częściowo wyjaśnia wzrost ruchu na trasach w góry, zwłaszcza latem – mówi rzecznik krakowskiej GDDKiA.*

W sezonie w sobotnie przedpołudnia zdarza się, że na Zbójcejskiej Górze, zaraz za nowym tunelem – gdzie odsłania się pierwszy całościowy widok na Tatry – potok samochodów mimowolnie zwalnia. Jakby ludzie chcieli przedłużyć ten moment.

Czerwony jak krew

Spod 24-metrowego krzyża nad wsią Krzczów widać obie drogi: starą i nową. Co kilka miesięcy proboszcz odprawia tu nabożeństwa pamięci ofiar wypadków. Przyjeżdża na nie Piotr Leńczowski i inni członkowie Stowarzyszenia Motocyklistów „Grupa Południe”. – *Na starej zakopiance trup słał się gęsto, na zakrętach przewracały się całe autobusy – mówi. – Także teraz, gdy powstała nowa droga, nie zapominamy o ludziach, którzy tu zginęli.*

Leńczowski, rocznik 1978, mieszka w Krakowie niedaleko ronda Matecznego, gdzie zakopianka się zaczyna. Drogę poznał najpierw jako dziecko podczas wakacyjnych wyjazdów z rodzicami. Później także jako policjant drogowki. – *To najpiękniejszy odcinek drogi S7, trasa naprawdę nietuzinkowa, którą częściowo poprowadzono w terenie niezamieszkanym. Mamy więc rzadki w Polsce widok: las, góry i nowoczesna droga.*

Na coraz bardziej bezpiecznej trasie pozostało jednak kilka ryzykownych miejsc. Należy do nich dwujezdniowy odcinek Kraków–Myślenice. Oraz niesławna „patelnia” nad Chabówką – ciąg serpentyn ze znanym, 200-stopniowym zakrętem, gdzie w weekendy przed zgromadzoną na skarpach młodą widownią popisują się motocykliści.

Ale uważać trzeba nie tylko tutaj. – *Kogoś, kto skupia się na oglądaniu widoków, nowa zakopianka może zaskoczyć np. zatorem drogowym zaraz za ostrym wirażem. To jest, nawet na odcinkach ekspresowych, wciąż droga kręta, ma krzywizny i ostre zakręty, jak choćby ten 90-stopniowy w Lubniu. Nie ma co się rozpędzać – ostrzega Piotr Leńczowski.*

Motocyklista i były policjant dodaje, że mniej doświadczonych kierowców może mylić to, że jadą drogą ekspresową. Gołoledź może tu złapać nie tylko na wiaduktach. Zimą temperatury spadają nagle. Jesienią podnoszą się mgły. Wiosną w kwadrans może przyjść burza. „Wizja zero” – brak wypadku śmiertelnego w ciągu roku – jest w takich warunkach trudna do spełnienia. I choć policja z Myślenic potwierdza, że między Głogoczowem a tunelem w tym roku nie doszło do żadnego wypadku śmiertelnego, w czasie nabożeństw krzyż na Rzeczej zapala się na czerwono. Ku przestrodze.

Piotr Leńczowski: – *Coraz więcej prowadzących SUV-y nie umie ocenić gabarytów swojego auta. Nawet na nowych odcinkach zakopianki nie mieszczą się w pasie ruchu, zjeżdżają na zakrętach, jadą po wypadkowej. Scrollują telefony i ekrany dotykowe montowane teraz w nowych autach. Ścinają zakręty, nagle hamują. Dla nas, motocyklistów, to śmiertelne zagrożenie.*

Dodaje, że większe różnice widać zimą. Powie to każdy, kto mieszka w górach: turyści nie potrafią jeździć. Przyjeżdżają SUV-ami na nieodpowiednich oponach, zatrzymują się, jadąc pod górę, koła im buksują. – *Jeżdżą zachowawczo, mają kłopot ►*

► z ruszaniem pod górę albo parkowaniem na żwirowej skarpie pod sklepem. Jadąc przez nizinną Polskę dwupasmową S7, są królami szos, ale na lokalnych drogach górskich dostają paraliżu. A potem z rowów wyciągają ich traktory – opowiada Piotr Leńczowski.

Nowe życie starej drogi

Spadek znaczenia starej zakopianki oraz długie remonty spowodowały upadek wielu biznesów. Niektórzy, aby przetrwać, sprzedawali domy i zastawiali biżuterię. Albo wynajmowali marketerów, by reklamowali lokalny catering dla ekip budujących tunel. Teraz stara zakopianka podąża własną drogą. Piotr Leńczowski: – Wreszcie odżyła. Podobnie jak mieszkańcy położonych wzdłuż niej wsi. Sąsiedzi znowu się zauważyli, także my, na motocyklach, coraz częściej jeździmy na lokalne drogi. Miejsce dużych restauracji obsługujących tiry zajęły małe kawiarenki z dobrym jedzeniem.

Na drodze z powrotem pojawili się rowerzyści. Poprawiło się powietrze. Gdy cała Polska podróżowała starą trasą pod Tatry, jakkolwiek remont skłagał gniew turystów i mediów. Dziś ruch się uspokaja: powstają przejścia dla pieszych. Wsie nabierają regionalnego charakteru.

Rzeczywiście na stacjach benzynowych częściej niż kiedyś słyszeć „miłego dnia” czy „wszystkiego dobrego”. Ale za kierownicą to wszystko znika. „Na trasie podniecenie, wyścig właśnie się zaczyna, rejestracje tych najszybszych »W« litera rozpoczyna” – śpiewa ironicznie zespół Sokół Orchestra w utworze „Zakopianka”. Wymuszanie pierwszeństwa, jazda na zderzaku, skracanie wiraży – to typowa lista przewinień na tej trasie. Drogowcy mówią, że drogi projektuje się tak, aby umożliwiała przewidywalny czas jazdy. Jednak dla wielu kierowców to za mało.

Wojciech Korchut: – Wciąż chcę być pierwszy. Widać to na czerwonym świetle, gdy wolny lewy pas często zajmują powolne czy ciężkie auta. Prawy pas ruszy pierwszy, ale oni choć przez chwilę byli przed kimś. Podobnie gdy w supermarkecie otwiera się nowa kasa, natychmiast zaczyna się do niej wyścig. A proszę tylko spróbować pokazać innemu kierowcy gest niezadowolenia, zwrócić mu uwagę – zareaguje agresją. Straci twarz, ale nie opanuje emocji. To cecha podzielonych społeczeństw, które żyją w zmęczeniu i frustracji – twierdzi psycholog.

Może najbardziej widać to na ostatnim odcinku zakopianki za Nowym Targiem, gdzie w korkach stoi się właściwie codziennie. Poszerzenie drogi uniemożliwiły tu protesty mieszkańców. Tu i ówdzie niecierpliwi skracają sobie drogę przez stację benzynową – i korkują drogę jeszcze bardziej. W Szaflarach, na odcinku pół kilometra, widok na domy i góry zasłania aż 16 reklam.

Tymczasem na położoną przy starej drodze stację benzynową w Rdzawce zajeżdża wysłużoną terenówką małżeństwo z Holandii. Schodząca z gór turystka kupuje wodę. W kasie obroty są mniejsze niż przed rokiem, ale Bartłomiej Niziołka to już nie martwi. Mówi, że gdy ruch mniejszy, ludzie częściej zagadują. Skończyła się nerwowość, spokój udzielił się i jemu. Przed chwilą jakaś para odjechała, nie płacąc za benzynę. – Czasem ludzie się po prostu zagapiają. Ja też – mówi. Z doświadczenia wie, że wróć. Zwykle wracają.

MARCIN ŻYŁA

Awantura o lektury

JOANNA CIEŚLA

Pierwsze akordy tym razem były delikatne. 9 lipca ministra edukacji Barbara Nowacka i jej zastępczyni Katarzyna Lubnauer na specjalnej konferencji prasowej chwaliły postępy prac nad reformą edukacji, która ma ruszyć w podstawówkach od 2026 r. Szefowa resortu zapewniała, że setki głosów nauczycieli, rodziców i uczniów oraz wysiłki najwyższej klasy ekspertów pracujących w Instytucie Badań Edukacyjnych, nadzorowanym przez MEN, doprowadzą do stworzenia szkół lepiej nadążających za światem i potrzebami młodzieży. A kluczem, mówiła ministra, jest uproszczona podstawa programowa, zmniejszenie przeciążenia uczniów i większa autonomia nauczycieli.

Niecałe dwa tygodnie później IBE przeprowadziło webinar na temat szczegółów zmian w podstawie z języka polskiego. Kto nie obejrzał, mógł zaraz potem przeczytać w „Gazecie Wyborczej” wywiad z dr Kingą Białek, koordynatorką pracującego nad



ILLUSTRACJA BARTOSZ TROJANOWSKI



Spór o listę lektur szkolnych powraca jak refren przy okazji każdej zmiany ich spisu. Dlaczego Polacy tak się kłócą o książki, których nie czytają?



nimi zespołu. Metodyczka tłumaczyła, że nauczyciele w podstawówkach, wraz z uczniami, będą wybierać omawiane na lekcjach książki – przynajmniej cztery dłuższe na rok. I że obowiązkowe do przeczytania zostaną tylko trzy „duże” tytuły, w klasach siódmej i ósmej: „Dziady cz. II” Adama Mickiewicza, „Balladyna” Juliusza Słowackiego i „Kamienie na szaniec” Aleksandra Kamińskiego. Właśnie wtedy z setek piersi gruchnęło oburzenie.

Pierwszy zagrział były pisowski szef MON Mariusz Błaszczak w serwisie X: „Będzie to krok w stronę społeczeństwa, które czyta coraz mniej, rozumie coraz mniej i daje się prowadzić byle sloganom”. Zaraz po nim Mateusz Morawiecki: „Systemowego odmóżdżenia, które chce zafundować młodym Polakom Barbara Nowacka, wybaczyć nie można”. Telewizja Republika ogłosiła „kolejną akcję-dewastację polskiej szkoły”. Następnie rzecznik rządu Adam Szłapka, też na X, oświadczył: „Kanon lektur pozostaje bez zmian. Ministerstwo Edukacji nie



wykreśla żadnych tytułów z listy lektur”, a w końcu i Barbara Nowacka odniosła się do wrzawy: „Co się zmienia w kanonie lektur? Nic. Propozycje ekspertów, nawet te najbardziej emocjonujące, pozostają propozycjami ekspertów, a nie działaniem MEN”. Ten wpis wprowił w zdumienie część odbiorców, w tym wielu ekspertów pracujących nad nową podstawą programową, nie tylko z języka polskiego. A temperatury dyskusji nie obniżył.

W mediach społecznościowych pojawiły się „zawiadomienia” o popełnianiu przez ministrę zbrodni na polskiej młodzieży z żądaniem ujawnienia nazwisk ekspertów. Co z kolei podawało w wątpliwość stopień opanowania czytania przez samych dyskutantów, ponieważ nazwisko szefowej zespołu w licznych wpisach też się przewijało. Ale przecież nie od dziś wiadomo, że Polacy praktykują czytanie dość oszczędnie. Potrzeby 60 proc. zaspokaja kontakt z mniej niż jedną książką na rok. W takim razie dlaczego tak się o lektury kłóć?

Tom jak kij bejsbolowy

Awantury o lektury bywają uznawane za polski sport narodowy lub właśnie za refren, który powraca przynajmniej co kilka lat. Czasem w doprawdy nieoczekiwanych wariacjach. Dość przypomnieć przypadek „listy Romana Giertycha”, który w 2007 r. jako minister edukacji w rządzie Jarosława Kaczyńskiego chciał wykasować ze spisu dla liceów „Ferdynand”, a wstawić m.in. trzy powieści Jana Dobraczyńskiego. Doprowadziło to do protestów i skoku sprzedaży powieści Gombrowicza o 70 proc., a ostatecznie premier Kaczyński plan unieważnił. Anna Zalewska, wydłużając w 2016 r. podstawówkę do ośmiu klas, uruchomiła też wydłużenie listy lektur do rozmiarów gargantuicznych, ale przynajmniej uwzględniła na niej dość nowoczesne utwory dla młodzieży. Jej następca Przemysław Czarnek te ostatnie postanowił wykreślić i zastąpić np. „Stowarzyszenie umarłych poetów” Nancy H. Kleinbaum pozycją André Frossarda „Nie lekajcie się! Rozmowy z Janem Pawłem II” itd., załamując rzesze nauczycieli i rodziców (oraz znów rozpalając komentatorów). A Nowacka już w pierwszych miesiącach urzędowania w 2024 r. uszczupliła podstawę programową, podpisała skreślenie z listy nie tylko Frossarda, ale i np. „Żony modnej” Ignacego Krasickiego i ograniczenie do fragmentów „Pana Tadeusza”, „Quo vadis” Sienkiewicza czy „Syzyfowych prac” Żeromskiego. Dyskusję podsycały komentarze ministery, zwłaszcza o tym, że niepotrzebne we wcześniejszym katalogu były utwory – jak to ujęła – „niejakiego (Jarosława Marka) Rymkiewicza” czy „pana (Jacka Józefa) Dukaja”.

W najnowszej edycji awantury o lektury wybrzmiał głos samego nowego prezydenta Karola Nawrockiego. W trakcie orędzia inauguracyjnego zapowiedział, że będzie „głosem tych Polaków, którzy chcą Polski normalnej, Polski przywiązanej do swoich wartości, Polski z dobrą polską szkołą, z polską literaturą i z polskimi lekturami w polskiej szkole”. Na co z kolei ministra odparowała w wywiadzie telewizyjnym retorycznym pytaniem, czy jeśli lektury mają być tylko polskie, to znaczy, że prezydent chce wycofać Biblię, a wprowadzić do obowiązkowego kanonu lektur twórczość Tadeusza Batyry? (tego pseudonimu użył obecny prezydent, pisząc książkę „Spowiedź Nikosia z za grobu”, którą zresztą już jako Karol Nawrocki bardzo chwalił).

Bo po drodze kierownictwo MEN zreflektowało się, że pracy własnych ekspertów wypada jednak bronić. I że – choć chcą oni zostawić większą autonomię nauczycielom w wyborze omawianych książek – nadal przewidują, że obowiązkowe ma być ►

► omawianie m.in. fragmentów Biblii, wybranych mitów greckich, a także wielu krótszych form (jak treny Kochanowskiego), fragmentów (m.in. „Pana Tadeusza”) lub utworów do wyboru z twórczości pisarza (m.in. Ignacego Krasickiego, Henryka Sienkiewicza, Sławomira Mrożka lub Idy Fink).

Według nieoficjalnych informacji pierwsze reakcje polityków rządzącej koalicji na pisowskie oburzenie rzekomym „kasowaniem kanonu” były skutkiem wyraźnego życzenia premiera Donalda Tuska – dość przypomnieć, że jako pierwszy z twitterowym dementi wystąpił rzecznik rządu, formalnie decyzyjna Barbara Nowacka odezwała się pół godziny po nim.

Najoczywistsza odpowiedź na pytanie, dlaczego tak się o książki kłócimy, mówi, że są poręcznym narzędziem do manifestacji politycznych poglądów i podsycania pożądanych przez polityków nastrojów. Ale w skali świata takie podejście do literatury to rzadkość. Zaangażowanie innych szefów rządów i państw w awantury o lekturę raczej się nie zdarza. Nawet tam, gdzie temperatura życia politycznego jest jeszcze wyższa, ani tam, gdzie czyta się dużo więcej niż w Polsce. Dlaczego u nas ten refren tak chwyta?

Tom jak urna przodka

– *Przyczyna to nasza katolicka tradycja* – ocenia prof. Jacek Wasilewski, kulturoznawca i analityk dyskursów medialnych. – *Przez wieki w Polsce nie czytało się pisma, tylko słuchało pisma czytanego w kościele. To mocno wpływa na, że tak powiem, krytyczne podejście do treści. Nie zwracamy uwagi na to, czy ona jest np. przestarzała czy aktualna. No i książki traktujemy przede wszystkim jako rekwizyt, który określa nas tożsamościowo. Choć nie czytamy Sienkiewicza, jeśli go odłożymy, nie będziemy w pełni sobą. – Tak się stało dlatego, że w XIX w. jako naród rozwijaliśmy się w zagrożeniu, zmuszeni do chronienia naszej tożsamości. Przez to nie widzimy siebie samych jako nastawionych na otwarcie i ekspansję, jak np. Włosi czy Francuzi, którzy uważają, że powinni wiedzieć, co się dzieje w światowej kulturze, tylko wciąż skupiamy się na tym, żeby się chronić w naszej zagrodzie. I dlatego wszelkie „zamachy na lekturę” są odbierane jako ryzyko uszczerbku na tożsamości.*

Dr Kinga Białek zapewnia, że ona i jej zespół starali się uszanować polskie uwarunkowania. – *Fakt, że przez wiele dekad zaborów i trudnej historii przenieśliśmy nasz język i literaturę – żywe, nie jako relikw – to ewenement i sukces na skalę światową. Irlandczykom to się nie udało. Ale teraz, w czasach pokoju, mamy kłopot, jak pracować z tą tradycją, jak mówić o niej mądrze i nowocześnie. Jak tłumaczyć ekspertka, pomysłem jej i współpracowników było przekazanie dzieciom sygnałów o duchu i problemach poszczególnych epok. – Żeby pojąć nowatorstwo trenów Jana Kochanowskiego, na poziomie szkoły podstawowej wystarczy przeczytać Tren VII i VIII. Uczniowie są też w stanie zobaczyć, jak Kochanowski puszcza do nas oko, czytając fraszki. To pozwala im zrozumieć, czym był polski renesans. I dalej: 13-latek nie musi znać „Trylogii” Sienkiewicza, żeby rozumieć, z jakimi pytaniami mierzone się w XIX w. Może przeczytać nowelę Sienkiewicza albo też Bolesława Prusa.*

Zespół posiłkował się w pracy opiniami z ankiet udostępnionych nauczycielom przez IBE. Spośród 24 tys. wypełniających formularze to właśnie poloniści stanowili najlichnieszą grupę (2,3 tys. osób). Prawie dwie trzecie z nich oceniło, że obecna podstawa programowa dla klas IV–VIII szkoły podstawowej jest zbyt rozbudowana. Najczęściej zgłaszali potrzebę ograniczenia zakresu materiału i właśnie aktualizacji listy lektur. Po publikacji zaproponowanej wersji podstawy w wielu nauczycielskich

społecznościach wybuchł wręcz aplauz. – *Odbieramy te zmiany bardzo pozytywnie* – relacjonuje Renata Czaja-Zajder, nauczycielka polskiego w szkole podstawowej i liceum, działaczka ruchu Protest z Wykrzyknikiem. – *Młodzież dużo więcej może się nauczyć i zrozumieć, gdy pracujemy na fragmentach lektur albo gdy możemy je czytać razem w klasie i na bieżąco omawiać.*

Choć – jak przyznaje dr Białek – w samym zespole eksperckim wielomiesięczne prace bywały pełne emocji i trwały do późnej nocy, pod ostatecznym projektem zmian nikt nie zgłosił wotum separatum. A w 11-osobowym gronie jest z jednej strony uznawany za polonistycznego liberała prof. Maciej Michalski, literaturoznawca z Uniwersytetu Gdańskiego, a z drugiej Andrzej Sosnowski, były mazowiecki wicekurator oświaty i radny PiS (ekspertów

Oprócz przekazania uczniom wiedzy o historii literatury zadaniem polonistów jest wykształcić w młodych chęć i umiejętność czytania dla przyjemności.

wyłaniano w konkursach, za pracę nad podstawami mogli zarobić do 10 tys. zł brutto). Byli w stanie się zgodzić, że oprócz przekazania kolejnym pokoleniom wiedzy o historii literatury zadaniem polonistów jest wykształcić w młodych to, czego tak nam brakuje – chęć i umiejętność czytania dla przyjemności.

Tom zamiast dyplomu

Istnieje i taka możliwość, że najzażarciej o lekturę kłócimy się właśnie z powodu codziennego pomijania faktu istnienia książek. Kto krzyczy, że obowiązkowo trzeba ich znać jak najwięcej, odsuwa od siebie podejrzenia o ignorancję. Takie symptomy widać też przy innych podobnych awanturach, np. o zmiany podstawy programowej nauk przyrodniczych. Pomysł połączenia biologii i geografii we wspólny blok przyrody rodzi najgłośniejsze oskarżenia o zamiar „wychowania młodych na tłuków” ze strony pokoleń, które – znacznie częściej niż młodzież – wierzą w to np., że ludzie żyli w tym samym czasie co dinozaury (tak wynika z publikowanego zimą badania Eurobarometru na temat stosunku do wiedzy; polscy dorośli ogólnie nie wypadli najlepiej).

Przy tym wykładowcy od kilku już lat powtarzają: duża ilość włączanych danych nie otwiera umysłów – przeciwnie, sprawia, że robi się w nich ciasno. Prof. Arnold Kłoncewicz, ówczesny prorektor Uniwersytetu Gdańskiego ds. kształcenia, w ubiegłorocznej rozmowie z POLITYKĄ zwracał uwagę, że przeładowana podstawa programowa, z którą zmagają się w szkole późniejsi studenci, nie ułatwia, ale utrudnia im dalsze akademickie kształcenie. Nie daje szansy na ćwiczenie refleksji, kompetencji łączenia faktów, dyskusji, oceny zjawisk i wyciągania wniosków. W przypadku lektur działają podobne zależności. Badania naukowe prowadzone na świecie pokazują, że wąski katalog narzuconych zadań, np. książek do przeczytania, i szeroka możliwość wyboru zadań dodatkowych zwiększają zainteresowanie dzieci tym, co mają robić, oraz ich wewnętrzną motywację. Od lat przygląda się temu np. prof. Erika A. Patall

z Uniwersytetu Teksańskiego w Austin. W polskiej dyskusji prof. Krzysztof Biedrzycki, recenzent nowej podstawy, zwracał uwagę na rezultaty badań PISA 2018. Wynikło z nich, że między 2009 a 2018 r. wyraźnie przybyło 15-latków lubiących czytać. A był to czas obowiązywania w gimnazjum podstawy z tylko kilkoma pozycjami obowiązkowymi. Oprócz nich nauczyciele mogli polecać uczniom inne książki.

Bo najnowsza odsłona listy lektur, wbrew klikbajtowym tytułom w serwisach, wcale nie jest rewolucją. Kilka lat temu, przed epoką Anny Zalewskiej i Przemysława Czarnka, w klasach IV–VI podstawówek omawiano rocznie „co najmniej cztery” książki, jak teraz jest to w planach (plus wiersze i nowele, też podobnie jak teraz) – do wyboru przez nauczyciela z dość szerokiej listy.

Sporo dzieci styka się z książkami jedynie w szkole. I jeśli będą musiały przeczytać np. „Zemstę”, to nieprędko będą szukały dalszego kontaktu z literaturą.

W gimnazjum wypadało po pięć książek w każdej klasie, a obowiązkowe pozycje na trzy lata były tylko trzy: „Dziady cz. II”, „Zemsta” i jedna z powieści Sienkiewicza.

I powiedzmy to raz jeszcze: dorosłych, którzy czytają więcej niż te dawne i przyszłe programowe minima – choćby od siedmiu książek w ciągu roku wzwyż – jest według badania Biblioteki Narodowej ledwie 7 proc. W 37 proc. polskich domów nie ma żadnych książek poza podręcznikami. Tak się więc składa, że szkoła to jedyne miejsce, gdzie dzieci z tych domów stykają się z książkami. I jeśli w tej szkole spadnie na nie obowiązek przeczytania „Zemsty” jako przykładu książki komicznej, to raczej nieprędko będą szukały dalszego kontaktu z literaturą. Jeśli mają wciągnąć się w czytanie, muszą znaleźć w lekturze przyjemność, język, który śmieszy, bohaterów podobnych do siebie, tematy, które rozumieją. A kolejny „kłopot” tkwi w tym, że rozumieją rzeczy bardzo różne. Renata Czaja-Zajder opowiada o tegorocznej pracy w dwóch piątych klasach z tą samą lekturą, „Pajaczków na rowerze” Ewy Nowak. – *To historia dwojga nastolatków i ich rodzin, które przeżywają rozwody, nowe związki rodziców itd. W jednej klasie, w której duża grupa dzieci ma takie doświadczenia, praca zajęła mi znacznie więcej czasu, niż planowałam, dzieci opowiadały o własnych przeżyciach, wymieniały się odczuciami. A w równoległej klasie odzew był znacznie mniejszy, poruszały ich całkiem inne tytuły. Jak dodaje polonistka, dzieci nadal potrafią też bardzo wiele wyciągać z klasyki, ale trzeba im dać na to szansę. Przy pracy nad fragmentami „Pana Tadeusza” młodszym klasom nauczycielka pokazuje, jak Mickiewicz budował porównania, a potem daje zadanie narysowania zastawy stołowej według słynnego opisu. Starsze klasy, poznając historię rodziny najpierw z relacji Gervazego, a potem księdza Robaka, mogą tropić przekłamania, manipulacje i przemilczenia. Ale gdyby było trzeba przerobić cały poemat, a w dodatku na egzamin zapamiętać szczegóły, o takiej pracy można zapomnieć.*

W tle powracającej awantury o lektury czai się jeszcze jeden motyw, można go streścić tak: dzieci są od słuchania, a nie

od nabierania sprawczości i podmiotowości. Zadzwieczało to też w kolejnej wypowiedzi Karola Nawrockiego, że będzie głosem „polskich nauczycieli i rodziców, którzy oddają dzieci do swoich szkół”. Patriarchalizm, traktowanie młodych jak własności i oczekiwanie od nich, że będą robić od linijki, co dorośli dla nich wymyślili, wciąż ma się w Polsce dobrze. Choć – co znów może zaskakiwać – w odniesieniu do lekcji polskiego to podejście rozwinęło się (dopiero?) w czasach stalinizmu. – *Pierwsze programy nauczania, które zwracały uwagę na ideologiczny i formacyjny charakter edukacji polonistycznej, zaczęły obowiązywać w 1949 r. Nakazywały m.in. rozwijanie umiłowania Polski Ludowej, szacunek i przywiązanie do międzynarodowych tradycji postępowych oraz – dopiero na trzecim miejscu – umiłowanie mowy ojczystej i kraju rodzinnego* – zauważa Wojciech Rzehak, wieloletni nauczyciel polskiego, dziś kierownik działu edukacji w Teatrze im. Słowackiego w Krakowie. Polonista podkreśla, że sztywny spis lektur obowiązkowych i katalog tego, co trzeba wszystkim uczniom wtłoczyć do głowy, to nadal rozwiązania charakterystyczne dla krajów dawnego bloku komunistycznego.

Tom na tumanów

Wśród powodów okołolekturowych awantur jednym z najgłębszych jest dziś nie tyle walka o władzę, ile podejrzenie, że inni chcą ją przejąć. We wspomianej już prawicowej wersji tej teorii liberałowie chcą ograniczyć wiedzę dzieci, by „wychować tumanów”, którymi łatwiej rządzić. W wersji liberalno-lewicowej prawica chce przytłaczać dzieci „pamięciówką”, zamiast pozwolić im myśleć, i w ten sposób też łatwiej nimi rządzić. Być może lęk przed ogłupionymi dziećmi to jedna z nielicznych wspólnych ponadpolitycznych emocji w Polsce.

Zdaniem Jacka Wasilewskiego w klasie średniej panuje też lęk, że za mało nauki to tak jakby za mało inwestycji w dzieci. – *Chcemy, żeby miały dużo lekcji, prace domowe, zajęcia pozalekcyjne, bo ciągle żywe jest w nas myślenie, że „im dłużej trwa oranie pola albo kopanie rowu, tym lepsze będą efekty”. A świat już tak nie działa, że im większy rów wykopiesz, tym większy odnosisz sukces. Ważniejsze dla niego znaczenie ma nie trud, tylko efektywność.*

Sama Kinga Białek przypuszcza, że chodzi o jeszcze inny rodzaj strachu: – *To strach przed tym, że jeśli nasze dzieci nie przeczytają np. „W pustyni i w puszczy”, to ominie je coś, co dla wielu 40-latków było ważnym doświadczeniem młodości. Że jeśli wszyscy nie będą mieli tak samo, to nie poradzimy sobie z różnorodnością.* Ekspertka przyznaje, że dla nauczycieli to także jest wyzwanie – odnosić się do wielu indywidualności jednocześnie. Ale dodaje, że można sobie z tym radzić. W niektórych amerykańskich szkołach bywa, że uczniowie jednej klasy czytają na ten sam temat różne książki, a na lekcji porównują podejścia.

W polskich szkołach na taką rewolucję na razie się nie zanosi. Ministra edukacji Barbara Nowacka co prawda skorygowała swój przekaz, podkreślając, że na razie w 2025 r. żadnych zmian na listach lektur nie będzie. Po tym, jak projekt nowej podstawy trafi do resortu, będzie jeszcze tematem konsultacji publicznych i międzyresortowych, więc refren wkrótce wróci. Czy w 2026 r. będzie komu wprowadzić wyczekiwane i chwalone przez większość zainteresowanych zmiany, nikt dziś nie potrafi przewidzieć. Pewne jest za to, że za rogiem czeka już kolejna z rytualnych awantur – o nową, uszczuploną podstawę programową z historii. Projekt ma ujrzeć światło dzienne na początku września.

JOANNA CIEŚLA

Jak owce pasą pasterzy

Raport Najwyższej Izby Kontroli o finansowaniu Kościoła pokazuje, że tak dalej być nie może. Ale niekończące się prace nad likwidacją Funduszu Kościelnego dowodzą, że tak dalej będzie.

ZBIGNIEW BOREK

Z raportu wynika, że tylko w latach 2021–23 państwo przekazało Kościołom i innym związkom wyznaniowym co najmniej 17,45 mld zł. Z czego 95 proc. (ponad 16 mld zł) trafiło do Kościoła katolickiego, do którego według Głównego Urzędu Statystycznego przynależy 71,3 proc. Polek i Polaków. Najwięcej poszło na szeroko rozumianą edukację: wynagrodzenia nauczycieli religii – 6 mld zł,

szkoły prowadzone przez podmioty kościelne – 2 mld zł, subwencje dla uczelni katolickich – ponad 1 mld zł. Pensje kapłanów kosztowały 180 mln zł, zwolnienia celne, podatkowe i darowizny – 1,71 mld zł. Niemal 6 mld zł Kościoły otrzymały w formie rozmaitych dotacji publicznych (także od samorządów).

Raport NIK przeszedł bez większego echa w cieniu kampanii prezydenckiej.

Powstał na zlecenie jednego z kandydatów – Szymona Hołowni jako marszałka Sejmu. To pierwsza tak obszerna i szczegółowa kontrola tego obszaru: objęła kancelarię premiera, osiem ministerstw, trzy urzędy centralne i cztery wojewódzkie, dwie agencje wykonawcze i trzy fundusze celowe. Kwestionariusze wypełniło 2807 samorządów lokalnych (niemal wszystkie) i 556 szpitali, informacji



zasięgano też w kilkudziesięciu innych podmiotach. Kontrolowano tylko trzy lata rządów Prawa i Sprawiedliwości.

Bez żadnego trybu

Jak podkreślił Hołownia, prezentując raport, regularnie omijano tryb konkursowy, „szczególnie dotyczy to rezerwy premiera Mateusza Morawieckiego”. Z tej puli 160 dotacji o łącznej wartości ok. 200 mln zł trafiło do Kościoła katolickiego i organizacji z nim powiązanych. 106 z tych dotacji (66 proc.) przyznano bez konkursu: nie ogłoszono publicznego naboru, wybrany podmiot otrzymał środki bez rywalizacji z innymi. NIK szczegółowo zbadała 18 dotacji przekazanych przez Kancelarię Prezesa Rady Ministrów. W 15 z nich nie było podstaw prawnych ani merytorycznych, by zastosować tryb pozakonkursowy. Na finiszu urzędowania rząd Morawieckiego zrezygnował nawet z powoływania zespołu, który miał takie projekty opiniować.

Lasy Państwowe, wówczas we władaniu partii Zbigniewa Ziobry, przeznaczały 8,2 mln zł na darowizny dla Kościołów (w tym ponad 97 proc. dla katolickiego i organizacji z nim powiązanych). Co drugą złotówkę (52,9 proc.) przekazały z naruszeniem przepisów: obdarowani nie „wpisywali się w cele związane z pożytkiem publicznym”. Fundowały też prezenty przedstawicielom Kościoła katolickiego z okazji różnych uroczystości.

Akademia Kultury Społecznej i Medialnej w Toruniu otrzymała od państwa 3,37 mln zł. Jeszcze więcej, bo 18,5 mln zł, dostała inna organizacja związana z o. Rydzykiem, czyli Fundacja Lux Veritatis. Rekordzistą okazała się Fundacja Profeto – Sercański Sekretariat na rzecz Nowej Ewangelizacji, a to za sprawą Funduszu Sprawiedliwości, który za rządów Zjednoczonej Prawicy dał jej 65 mln zł. Ogółem miała dostać niemal 100 mln zł (kolejne transze wstrzymał nowy rząd), a całe przedsięwzięcie od początku wyglądało na ustawkę.

Na czele Profeto stał ks. Michał Olszewski, niegdyś egzorcysta, który zasłynął wypędzaniem „demonów wegetarianizmu” za pomocą salcesonu. Za pieniądze z Funduszu Sprawiedliwości miał zbudować w Wilanowie ośrodek Archipelag dla ofiar przestępstw, choć Profeto nie zajmowała się wcześniej takimi inicjatywami. Miało tam też powstać profesjonalne (i kosztowne) studio nagrań. Już cztery miesiące przed ogłoszeniem konkursu fundacja

Profeto kupiła działkę pod budowę ośrodka, jakby była pewna przyznania pieniędzy. Urzędnicy resortu Ziobry pomagali jej pisać zgłoszenie konkursowe i poprawiać w nim błędy – ustaliła prokuratura po zmianie władzy.

W marcu 2024 r. Olszewski został zatrzymany i z kilkoma byłymi urzędnikami Ministerstwa Sprawiedliwości trafił do aresztu. W październiku wyszedł na wolność po wpłaceniu 350 tys. zł kaucji. Zamknął fundację, tłumacząc to zajęciem kont bankowych przez „reżimowców Bodnar”. W lutym 2025 r. Prokuratura Krajowa skierowała do sądu akt oskarżenia sześciu osób, w tym szefa fundacji Profeto, obejmujący 15 czynów karalnych, m.in. udział w zorganizowanej grupie przestępczej. Ministerstwo żąda od Profeto zwrotu dotacji.

Rzeka publicznych pieniędzy

Kontrola nie objęła danin od spółek Skarbu Państwa oraz ich stowarzyszeń i fundacji, nie sprawdzano pożyczek, gwarancji i kredytów. Rzeczywiste przepływy były więc większe. W październiku 2023 r. Bianka Mikołajewska opublikowała w Wirtualnej Polsce raport, z którego wynikało, że przez osiem lat rządów PiS tylko podmioty związane z Rydzykiem otrzymały z państwowych instytucji co najmniej 380 mln zł.

Zestawmy to z finansowaniem Funduszu Kościelnego, który pokrywa składki emerytalne księży i zakonników oraz ich ubezpieczenie zdrowotne. W tegorocznym budżecie państwa zapisano na ten cel 275,7 mln zł (w latach 2021–23 było to łącznie 618 mln zł, czyli 3,5 proc. wydatków publicznych na Kościoły i związki wyznaniowe). Zapowiadana przez rząd Donalda Tuska likwidacja Funduszu Kościelnego ma więc niewielkie znaczenie finansowe. Miał to jednak być ważny symbol dla wyborców koalicji 15 października (zwłaszcza Koalicji Obywatelskiej).

Pierwszy raz likwidację Funduszu Kościelnego Tusk zapowiadał jako premier w exposé w 2011 r. Uzasadnienie: to relikty minionej epoki (powołany w 1950 r.), nie zrealizował założeń (miał rekompensować Kościołom utracone dochody z majątku odebranego w okresie PRL, ale nikt nigdy tych strat nie oszacował), na dodatek jest społecznie niesprawiedliwy, bo poprzez budżet państwa dokładają się do niego również niewierzący, a korzystają także Kościoły, które powstały po 1989 r.

W latach 2012–13 eksperci komisji konkordatowych: rządowej (pod przewodnictwem ministra cyfryzacji Michała Boniego) i kościelnej (na czele z metropolitą warszawskim Kazimierzem Nyczem) wypracowali projekt umowy. Miała obowiązywać wszystkie Kościoły i związki wyznaniowe, duchowni mieli sami opłacać składki na ubezpieczenie społeczne, Fundusz Kościelny miał zostać zastąpiony dobrowolnym odpisem w wysokości 0,5 proc. należnego podatku (tzw. asygnata podatkowa). Projekt trafił do konsultacji społecznych, ale ostatecznie nie zadowolili Kościoła katolickiego, a potem były wybory i zmiana władzy. Teraz historia zdaje się powtarzać.

W grudniu 2023 r., czyli dwa tygodnie po zaprzysiężeniu, rząd Tuska powołał zespół, który ma wypracować nowe rozwiązania, żeby weszły w życie w 2025 r. W składzie: wicepremier Władysław Kosiniak-Kamysz jako przewodniczący, do tego kluczowi ministrowie – finansów, spraw wewnętrznych, pracy i polityki społecznej, a także szef kancelarii premiera. Okazało się jednak, że zespół zbiera się od wielkiego dzwonu (dwa posiedzenia przez 16 miesięcy), Kosiniak-Kamysz bardziej dba o interesy ludowców, którym właśnie z Kościołem nie są na rękę, a Ministerstwo Finansów podważa sens asygnaty, która „utrzymuje sposób finansowania określonych wydatków z budżetu państwa, tylko że w znacznie kosztowniejszej wersji”, jak napisała w opinii wiceministra Hanna Majszczuk (cytat za „Rzeczpospolitą”).

Z jej analizy wynika, że nie każdy wierzący jest płatnikiem PIT (wyłączeni są np. rolnicy), a nawet jeśli jest, to niekoniecznie ten podatek płaci (obowiązuje PIT-0 dla młodych, seniorów i zarabiających poniżej kwoty wolnej od podatku). Według danych z rozliczenia PIT za 2022 r. aż u 47 proc. podatników składających zeznania nie wystąpił podatek należny, a 16 proc. z tych, którzy są podatnikami i płacą podatki, nie przekazuje datków na organizacje pożytku publicznego, choć może – i tak samo mogłoby być z odpisami na Kościół. Doszłyby koszty obsługi asygnaty (wzrost zatrudnienia w skarbowce), a niedobory i tak musiałby uzupełniać budżet państwa. Innymi słowy: podatnicy nadal finansowałiby składki dla 23,5 tys. duchownych, bo to one pochłaniają 96 proc. Funduszu Kościelnego. W ocenie Ministerstwa Finansów nierealne są również propozycje przesunięcia ►

► pozostałych wydatków Funduszu: na utrzymanie i remonty świątyni do Narodowego Funduszu Ochrony Zabytków (bo sam ma tylko 840 tys. zł przychodów w 2024 r.), a na działalność charytatywno-opiekuńczą do Funduszu Wspierania Organizacji Pożytku Publicznego (95 tys. zł). Rząd utrzymuje, że na stole wciąż leżą „trzy, cztery różne propozycje” zmian (wiceszef MSWiA Tomasz Szymański w Polskim Radiu 24). Żadnej jednak nie otrzymała Konferencja Episkopatu Polski (KEP).

W teorii za, w praktyce przeciw

Wbrew obiegowym poglądom Kościół katolicki wcale nie broni Funduszu Kościelnego. „Istniejący w Polsce system wspomagania finansowego Kościołów i związków wyznaniowych ze środków publicznych wymaga reformy, a najlepszym rozwiązaniem byłoby wprowadzenie dobrowolnej możliwości przekazywania pewnego procentu podatku na wybrany Kościół, czyli tzw. asygnaty podatkowej” – uznała we wrześniu 2023 r. większość prelegentów konferencji „Finansowanie Kościołów. Rozwiązania polskie na tle europejskim” organizowanej przez Katolicką Agencję Informacyjną (KAI). Podkreślano, że transparentny system finansowania może zapewnić Kościołom faktyczną autonomię od ośrodków władzy politycznej.

Według strony kościelnej zmiany powinny uwzględnić „potrzeby Kościoła, biorąc pod uwagę jego misję oraz dotychczasową praktykę życia kościelnego w Polsce” (jak głosi art. 22 ust. 2 konkordatu). Eksperci KEP przywołują przykłady z Hiszpanii (0,5 proc. asygnaty podatkowej w 2022 r. przełożyło się na 286 mln euro) czy Włoch (0,8 asygnaty to ponad 1,1 mld euro). Gdyby w Polsce wprowadzono asygnatę 0,5 proc., przyniosłaby Kościołowi katolickiemu między 167 mln zł (jeśli płaciliby tylko praktykujący) a 413 mln zł – wyliczał w raporcie o finansach Kościoła („Liberté!” 2023) dr Miłosz Hodun, prezes fundacji Projekt: Polska, wiceszef think tanku European Liberal Forum. – *Przejrzystość formuły asygnaty sprawia, że wciąż jest najlepszym rozwiązaniem* – twierdzi prawniczka Agnieszka Filak, prawnik, specjalista z zakresu relacji między państwem a Kościołami i związkami wyznaniowymi:

Inny ekspert, z którym rozmawiała POLITYKA, zwraca uwagę, że druzgocąca dla projektu asygnaty opinia Ministerstwa Finansów może wynikać z kalkulacji

politycznej. – *Żyjemy w permanentnym cyklu wyborczym: jedne wybory się przed chwilą odbyły, inne będą już wkrótce. A na sztandary łatwiej wpisać hasło likwidacji Funduszu Kościelnego niż kompleksową propozycję przebudowy systemu finansowania Kościołów i innych związków wyznaniowych. Dyskutujemy więc o tym od lat 90., a w tym czasie do Kościołów,*

75 proc. Polaków uważa, że Kościół katolicki powinni finansować tylko wierni. Ale przeciwko wprowadzeniu „podatku kościelnego” jest i Kościół, i Ministerstwo Finansów.

zwłaszcza dominującego, publiczne pieniądze płyną szerokim nurtem, bez żadnej społecznej kontroli. I to chyba jest na rękę i politykom, i hierarchom, dlatego w teorii są za, a w praktyce nawet przeciw – uważa.

Według ks. prof. Dariusza Walencika, konsultora Rady Prawnej KEP, Kościół katolicki w ok. 80 proc. utrzymuje się z ofiar wiernych, a w 20 proc. z funduszy publicznych. Tymczasem w sondażu IBRiS dla Radia ZET z grudnia 2023 r. 75 proc. spośród 1069 respondentów uznało, że Kościół katolicki powinni finansować tylko wierni (18,7 proc. było przeciw, pozostali nie mieli zdania). Za takim rozwiązaniem opowiedziało się 95 proc. zwolenników nowej koalicji rządzącej i 49 proc. wyborców ówczesnej Zjednoczonej Prawicy (38 proc. było przeciw).

Skoro na kompleksową reformę nie ma co liczyć, to można by posuwać się małymi krokami – zwłaszcza że są gotowe pomysły. Poselski projekt Lewicy z 2020 r. przewidywał wprowadzenie jawności przychodów podmiotów wyznaniowych, w tym dotacji i darowizn ze spółek Skarbu Państwa i ich fundacji. Zakładał uchylenie ulg podatkowych na cele kultu religijnego i likwidację bonifikat przy nabywaniu dóbr przez podmioty religijne od samorządów (bonifikaty sięgają nieraz 99,99 proc.).

W 2023 r. ukazał się dokument „Książeczka (nie) do nabożeństwa. Świeckie

państwo. O co w tym chodzi? Przewodnik Lewicy”. Są tu m.in. propozycje wprowadzenia kas fiskalnych w parafiach i likwidacja etatów kapelanów (wg KAI na pensje kapelanów w wojsku wydajemy co roku 13 mln zł, w więziennictwie 3,6 mln zł, w straży pożarnej ponad 1 mln zł). Instytut Strategii 2050 partii Hołowni w 2021 r. opublikował dokument „Państwo i Kościół na swoje miejsca”. Postuluje m.in. natychmiastowe zamknięcie rozliczeń majątkowych między państwem a Kościołem katolickim (i „możliwie szybko” z innymi) z tytułu dóbr odebranych w PRL.

To istotne, bo nadal dochodzi do nadużyć. W postępowaniach przed Komisją Majątkową w latach 1989–2011 zaniżano ceny gruntów, za niektóre Kościół otrzymał i ziemię, i odszkodowanie. Komisja przekazała parafiom, diecezjom czy zakonom ok. 66 tys. ha gruntów, 143,5 mln zł rekompensat i odszkodowań, ponad 500 nieruchomości wartych wówczas 3–5 mld zł. W ocenie CBA działała ze szkodą dla Polski. Nieprawidłowości występują też przy rekompensatach w postaci państwowych gruntów na mocy art. 70a ustawy o stosunku państwa do Kościoła katolickiego. POLITYKA ujawniła („Ziemie pozyskane”, nr 23/21), że dostał on z tego tytułu 82,5 tys. ha państwowych gruntów o wartości 4 mld zł. Proceder trwa, choć ponad dekadę temu przepis stracił rację bytu (Kościół dostał więcej, niż mu zabrano).

Inny pomysł to model, w którym o publicznym wsparciu dla związków wyznaniowych decydują także lokalne samorządy.

Biskupi jakoś się wyżywią

Trwa poszukiwanie agendy dla koalicji 15 października przed wyborami w 2027 r. Można się spodziewać propozycji w zakresie faktycznego rozdziału Kościoła od państwa. Niezależni eksperci mają do tego dystans. – *Hasła brzmią atrakcyjnie, przynajmniej dla części wyborców, ale kiedy się da się do rozmów ze znakomicie przygotowanymi przedstawicielami strony kościelnej, trzeba operować precyzyjnymi argumentami* – zauważa Agnieszka Filak, a Miłosz Hodun podkreśla, że strona kościelna też nie jest bez winy. – *Sekularyzacja galopuje, zmiany demograficzne są niekorzystne i nie wiadomo, z czego Kościół będzie żył za 10 czy 20 lat, ale hierarchowie myślą o tym, co tu i teraz* – mówi. – *Najwyraźniej zakładają, że państwo nie da Kościoła załodzić.*

ZBIGNIEW BOREK

Indolencja w asystencji

Wszyscy mówią, że jest niezwykle potrzebna, trudno znaleźć posła, który byłby jej przeciwny. Weta nie zapowiadał ani prezydent Duda, ani nowo wybrany Karol Nawrocki. Jak to więc możliwe, że ustawy o asystencji osobistej nadal nie ma, a obywatele z niepełnosprawnościami protestują przed kancelarią premiera?

FILIP ZAGOŃCZYK

Na spotkaniu z wyborcami w Pabianicach premier Donald Tusk powiedział, że zabraknie pieniędzy na wprowadzenie ustawy o asystencji osobistej. Ta ustawa znalazła się na liście stu konkretów Koalicji Obywatelskiej, jej wprowadzenie wydawało się tym łatwiejsze, że cieszyła się dużym ponadpartyjnym poparciem. Słowa premiera w Pabianicach uruchomiły jednak lawinę protestów, w tym przed Kancelarią Prezesa Rady Ministrów. Warto więc zapytać, o co tak zaciekle walczą obywatele z niepełnosprawnościami?

Karolina Kowalczyk niedawno wzięła ślub. Mimo to – jak sama mówi – niezbyt często bywa w domu, a to ze względu na natłok obowiązków. Pracuje, działa jako wolontariuszka i jest wiceprezeską Stowarzyszenia Osób z Wrodzoną Łamliwością Kości. Sama zmagą się z tym schorzeniem od urodzenia. Z powodu braku kolagenu w kościach zaliczyła już ponad sto złamań. Porusza się na wózku elektrycznym. W jej przypadku pomoc asystenta potrzebna jest właściwie 24 godziny na dobę. – *Bez pomocy drugiej osoby nie byłabym w stanie przesiąść się z wózka na łóżko, nie zrobiłabym posiłku, a nawet nie wyszłabym sama z domu, ponieważ nie dam rady samodzielnie zamknąć drzwi – tłumaczy. – Korzystam z pomocy Fundacji, która w ramach rocznego projektu „Asystent osoby z niepełnosprawnością” zapewniła mi kogoś do opieki. Problem jednak polega na tym, że asystent w ramach projektu może mi pomagać tylko przez 60 godzin w miesiącu. To zdecydowanie za mało. Dodatkowo projekt ruszył w marcu i potrwa do grudnia, a co będzie w przyszłym roku, kompletnie nie wiadomo – dodaje.*

W takiej sytuacji są w Polsce tysiące osób z niepełnosprawnościami. Kiedy



Basia nie wymaga pomocy przez cały czas, ale potrzebuje wsparcia, gdy porusza się po mieście

kończy się wsparcie ze strony Fundacji, muszą z własnej kieszeni opłacać kogoś, kto pomoże im w podstawowych czynnościach życiowych. Często nie chodzi tu nawet o wyjście do kina czy teatru, do czego oczywiście jak wszyscy mają prawo, ale o sprawy zupełnie podstawowe. Pomoc w ubraniu się czy przeniesienie z łóżka na wózek.

W przypadku pani Karoliny każdy nieostrożny ruch może się skończyć złamaniem, dlatego zawsze, gdy znajdzie nowego asystenta, cierpliwie tłumaczy, w jaki sposób powinien ją trzymać.

Z rozczarowaniem przyjęła więc słowa premiera w Pabianicach, że na asystencję osobistą zabraknie pieniędzy, bo musimy inwestować w bezpieczeństwo. Dlatego zdecydowała się protestować.

– *Premier nie rozumie, że kwestia pomocy ze strony asystenta to również*

bezpieczeństwo tysięcy Polaków. Gdyby nagle wybuchła wojna, to bez osoby wspierającej my nawet nie zejdziemy do schronu – dodaje. Kwestię wspierania innych oraz opowiadania o sytuacji osób z niepełnosprawnościami Karolina uważa za kluczową. Dlatego właśnie zdecydowała się na prowadzenie na X kanału „Jazda na długich”, który opowiada o osobach poruszających się na wózku elektrycznym. Takich jak ona.

Wszyscy pamiętamy, jak za czasów rządu Mateusza Morawieckiego osoby z niepełnosprawnościami protestowały w Sejmie. Chodziło wówczas m.in. o dodatek 500 zł do renty socjalnej. Szalała inflacja, koszty życia rosły, a posłowie przez wiele miesięcy pozostawali głusi. Protesty się przedłużały, marszałek Sejmu Marek Kuchciński zamknął przed protestującymi toalety, ►

► posłanka Pawłowicz w swoim stylu mówiła o trudnym do zniesienia smrodzie, a jeden ze strażników sejmowych przepychał się z Iwoną Hartwich, główną organizatorką protestów, która po następnych wyborach została posłanką Koalicji Obywatelskiej. Do historii przeszło zdjęcie posłanki Bernadety Krynickiej odwracającej się plecami do protestujących, co kosztowało ją niedostanie się do Sejmu IX kadencji.

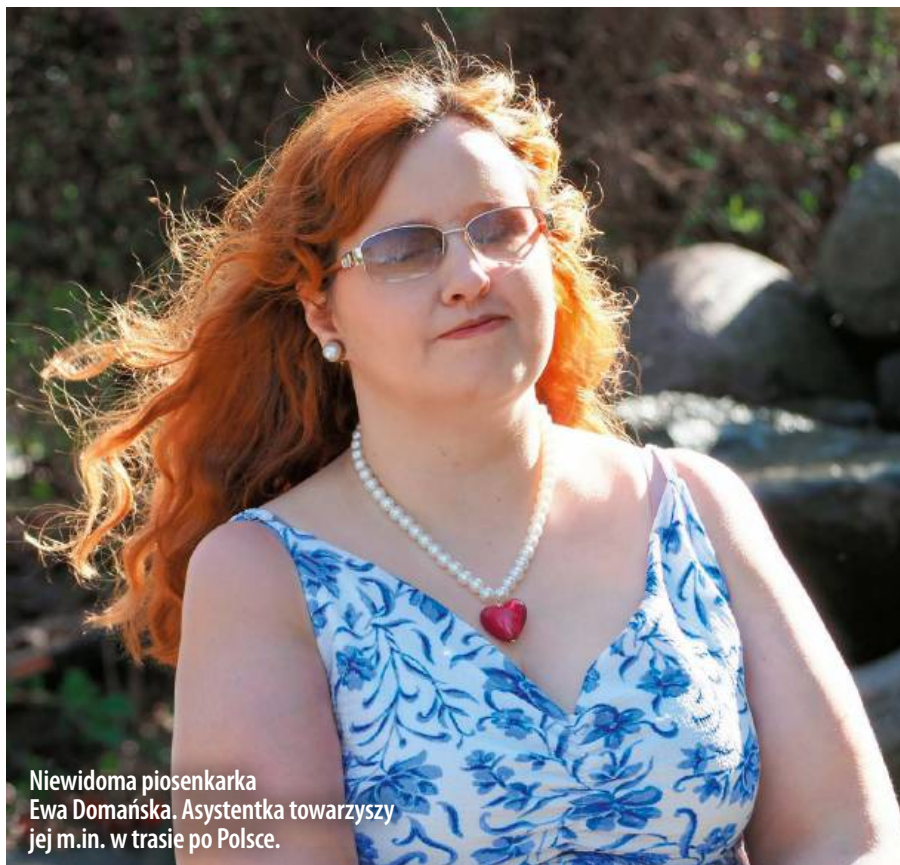
Wtedy posłowie KO pokazywali, że są z osobami z niepełnosprawnościami. Pomagali im dostać się do Sejmu, obiecywali, że ustawa o asystencji osobistej będzie ich priorytetem, ale ponieważ nadal pozostaje nieuchwalona, do pomocy osobom z niepełnosprawnościami wzięły się fundacje.

Mimo braku ustawy wiele fundacji w Polsce realizuje już projekty, których celem jest zapewnienie osobom z niepełnosprawnościami pomocy asystenta. Niestety nie są w stanie zaspokoić potrzeb ogromnej grupy ludzi. Ci, którzy wsparcie wywalczą, mogą się uważać za szczęściarzy, ale nawet oni otrzymują pomoc w bardzo ograniczonym zakresie, a wiele osób potrzebuje pomocy całodobowej.

Polska zobowiązała się do wprowadzenia ustawy o asystencji osobistej już w 2012 r., kiedy ratyfikowała konwencję o prawach osób z niepełnosprawnościami. Gwarantuje ona w art. 19 prawo do niezależnego życia. Jeśli zapowiadana od dawna ustawa wejdzie w życie, ze wsparcia będą mogły korzystać od 13. roku życia dzieci ze znacznym stopniem niepełnosprawności oraz osoby dorosłe do 65. roku życia, których potrzebę wsparcia odpowiednie instytucje oceniły na 80 pkt wzwyż.

Chcąc uzyskać wsparcie asystenta, osoba z niepełnosprawnością będzie musiała złożyć wniosek do Wojewódzkiego Zespołu Orzekania o Niepełnosprawności, a następnie stanąć przed Powiatową Komisją ds. Asystencji Osobistej. W Komisji ma się znajdować przynajmniej jedna osoba z taką samą niepełnosprawnością co wnioskodawca. Jeśli Komisja odmówi wsparcia, będzie można odwołać się od jej decyzji do drugiego zespołu, którego rozstrzygnięcie będzie ostateczne. Wnioskodawca będzie mógł wskazać asystenta lub skorzystać z osoby proponowanej np. przez fundację.

Kiedy asystent zostanie zatrudniony, ZUS przekaże pieniądze na opłacenie



Niewidoma piosenkarka
Ewa Domańska. Asystentka towarzyszy
jej m.in. w trasie po Polsce.

jego pracy osobie z niepełnosprawnością, a ona będzie zobowiązana do szczegółowego raportowania o godzinach pracy asystenta. Wprowadzenie ustawy ma kosztować budżet państwa w ciągu 10 lat 63,6 mld zł. Jest jednak nadzieja, że dzięki ustawie uda się aktywizować dużą grupę osób z niepełnosprawnościami, zapewnić im niezależność, a także odciążyć opiekunów, którzy dziś w Polsce bardzo często muszą podporządkowywać całe swoje życie opiece nad potrzebującym wsparcia członkiem rodziny.

Obecnie asystentem może zostać każdy, nie obowiązują żadne regulacje prawne w tym zakresie. Jakże to może rodzić problemy?

Basia w tym roku miała pecha. Spóźniła się kilka dni ze zgłoszeniem do fundacji, że nadal potrzebuje asystenta. Fundacja przesunęła ją na koniec kolejki. Ta zaś jest bardzo długa. Basia zabrała się więc do poszukiwania asystenta na własną rękę. Na co dzień porusza się na zwykłym wózku inwalidzkim, który jest dużo lżejszy od elektrycznego. Jej niepełnosprawność – przepuklina oponowo-rdzeniowa – nie wymaga pomocy przez cały czas. Basi

potrzebne jest wsparcie w konkretnych czynnościach, np. wtedy, gdy porusza się po mieście na wózku lub o kulach, bo czasem na moment wstaje i musi pokonać wysoki krawężnik, albo gdy przed rehabilitacją musi się przebrać. Nie może skorzystać z leżanki, ponieważ jest osobą zbyt niską i nie ma szans się na nią wdrapać. Siedzi więc na wózku, a asystent pomaga jej się ubrać lub rozebrać.

Kiedy jeszcze miała wsparcie ze strony fundacji, początkowo do tego zadania wyznaczony został mężczyzna. Dopiero po zdecydowanym sprzeciwie dziewczyny przydzielono jej kobietę. Za usługi osób znalezionych na OLX dziewczyna musi zapłacić sama ok. 50 zł za godzinę. Nie to jednak jest najtrudniejsze. Często największym problemem bywa komunikacja. W dniu, w którym rozmawiamy, była umówiona z asystentką na kilka godzin. Ta jednak w ostatniej chwili odwołała spotkanie, twierdząc, że musi pilnie wyjechać. Ta sytuacja najlepiej pokazuje, że asystent powinien być osobą empatyczną, obowiązkową i odpowiedzialną.

– Rozumiem, że dziewczynie mogło coś wypaść. Każdemu się zdarza, ale czy nie mogła mnie uprzedzić choćby kilka

godzin wcześniej? Teraz muszę zmieniać wszystkie plany – irytuje się Basia. Ma też nadzieję, że jeśli dojdzie do uchwalenia ustawy o asystencji osobistej, pomoc ze strony asystentów stanie się po prostu łatwiej dostępna i nie trzeba będzie umieszczać ogłoszeń w internecie, żeby znaleźć kogoś, kto pomoże skorzystać z transportu.

Konieczność poszukiwania asystentów na własną rękę i samodzielnego opłacania ich pracy demoluje budżety wielu osób z niepełnosprawnościami i ich rodzin. Pensja asystenta to jednak niejedyń koszt, jaki ponoszą w związku ze swoją sytuacją zdrowotną. Rzeczy do opłacenia jest wiele, a państwo, mówiąc najdelikatniej, nie ułatwia ludziom otrzymującym rentę socjalną zarabiania pieniędzy. Niepełnosprawność słono kosztuje.

Agata na co dzień porusza się na wózku elektrycznym. Jest osobą z dziecięcym porażeniem mózgowym. Nie chodzi, a rękami jest w stanie poruszać tylko w bardzo ograniczonym zakresie. Potrzebuje pomocy 24 godziny na dobę. Asystent musi ją ubrać, nakarmić, za pomocą specjalnego dźwigu przenieść z wózka na łóżko. Na szczęście częściowa siła w rękach, która Agacie jeszcze została, pozwala jej samodzielnie korzystać z komputera. Pracuje więc w jednym ze sklepów internetowych. Pensja asystenta pochłania całe jej wynagrodzenie. Szczęśliwie rodzina jest w stanie pomóc jej finansowo.

Agata, jak każdy, chętnie zarabiałaby więcej. Problem jednak w tym, że nie może. Gdyby pensja przekroczyła 70 proc. średniego wynagrodzenia, ZUS natychmiast odebrałby jej 1,8 tys. zł ze świadczeń socjalnych. Takie mamy w Polsce przepisy. Dla urzędników Agata, zarabiając trochę ponad 4 tys. zł na rękę, byłaby już osobą zbyt aktywną, a co za tym idzie, niezasługującą na wsparcie socjalne w postaci całej renty. A przecież asystencka pensja to jedyń wydatek, jaki musi ponieść. Problemem jest np. transport. Wózek elektryczny jest duży i ciężki. Nie zmieści się więc do zwykłej taksówki. W Warszawie Centrum Usług Społecznych oferuje transport specjalistyczny dla posiadaczy Karty Warszawianki, ale zapotrzebowanie jest ogromne, a taksówek mało, więc kurs trzeba zamawiać z tygodniowym wyprzedzeniem!

Jedna z warszawskich korporacji dysponuje wprawdzie dwiema dostosowanymi

taksówkami, ale za podstawienie jednej z nich życzy sobie od osoby na wózku elektrycznym 80 zł dodatkowej opłaty na wejściu. To osiem razy więcej niż płaci zwykły klient. Są też prywatne usługi taksówkarskie, ale tam jest jeszcze drożej. Agata wspomina, że kilka tygodni temu, gdy jechała do dentysty z Wilanowa na Włochy i z powrotem, zapłaciła za kurs 300 zł. Rekord jednak padł na tegorocznych wakacjach w Gdańsku. Za kurs z dworca do hotelu zapłaciła 400 zł w jedną i 350 w drugą stronę. Agata liczy, że ustawa o asystencji osobistej pozwoli jej trochę odetchnąć finansowo. – *Może państwo mi pomoże chociaż w sfinansowaniu kosztów codziennej opieki* – mówi z nadzieją.

Są jednak osoby, które potrzebują pomocy asystenta w dużo skromniejszym zakresie.

Monika i jej mąż są niewidomi. Uznali, że potrzeba im wsparcia asystenta i zgłosili się w tej sprawie do Miejskiego Ośrodka Pomocy Rodzinie. W tym roku udało się je uzyskać. Asystent może im pomóc przez 40 godzin w miesiącu, co uznają za wystarczające.

– *Z pomocy asystenta korzystamy przede wszystkim poza domem* – mówi Monika. – *Naszą asystentką jest moja była klientka z czasów, gdy pracowałam jako masażystka. Pomaga nam np. w zakupach, załatwianiu spraw urzędowych czy kiedy potrzebujemy zawieźć i odebrać dziecko z rehabilitacji. Bardzo cenimy to, co dla nas robi. Nie próbuje nas wyręczać ani podejmować za nas decyzji. Słucha, jakie są nasze potrzeby. Uważam, że ta otwartość i umiejętność nienarzucania własnego zdania to najważniejsza cecha dobrego asystenta* – dodaje.

Dostrzega także ryzyko, jakie wiąże się z sytuacją, kiedy idzie się np. do urzędu z asystentką. Bardzo często zdarza się wtedy, że urzędnik zaczyna rozmawiać z osobą towarzyszącą, ignorując faktycznego interesanta. Tak jakby osoba z niepełnosprawnością nie była w stanie mówić za siebie. To typowe w Polsce bariery mentalne. – *Być może wprowadzenie ustawy spowoduje, że ludzie bardziej oswoją się z tematem i zrozumieją, jaka jest rola asystenta. To osoba, która wspiera, a nie wyręcza* – tłumaczy.

Asystencka osobista to jednak nie tylko udzielanie wsparcia czy załatwianie spraw urzędowych. To także okazja do przeżycia pięknej przygody. Wiktoria Kolečka-Majewicz poszukiwała ciekawej

pracy. Kolega powiedział jej o niewidomej artystce Ewie Domańskiej.

Pani Ewa jest piosenkarką i autorką piosenek. Wydała dwie solowe płyty. Na pierwszej z nich, zatytułowanej „Kolory życia”, śpiewa o miłości, nostalgii, wdzięczności, pustce, czyli wszystkim tym, z czego składa się nasza codzienność. Wydana razem z książką płyta to rodzaj jej autobiografii. Domańska prowadzi także kanał na YouTube, na którym rozmawia o warszawskich kawiarniach ze znanymi polskimi artystami. Wśród jej rozmówców znaleźli się m.in. Muniak Staszczuk, Jan Młynarski, Kuba Sienkiewicz czy Artur Andrus. Wiktoria jako asystentka pomaga Ewie kręcić filmy, obsługiwać media społecznościowe, docierać na wywiady. Mówi, że kiedy pierwszy raz przyszła na spotkanie, o wielu rzeczach jeszcze nie wiedziała. Bała się, czy swoim zachowaniem nie naruszy przestrzeni prywatnej niewidomej koleżanki. Musiała się nauczyć, w jaki sposób może jej pomóc, jak ją prowadzić, jak informować o przeszkodach. Współpraca jednak od początku układała się świetnie. Dziś panie jeżdżą po całej Polsce, promując drugą płytę Ewy „Chroniczny relaks”.

Wiktoria wspomina z rozbawieniem, że jakiś czas temu, gdy odwiedzili niewidomego przyjaciela Ewy i jego żonę, on zaproponował wszystkim wspólny wypad na rowery. – *Początkowo nie wiedziałam, czy to nie jest żart* – uśmiecha się dziewczyna. – *A potem dowiedziałam się o istnieniu tandemów. Człowiek uczy się przez całe życie i to też jest w tej pracy piękne* – dodaje.

W Polsce mamy grubo ponad milion obywateli ze znacznym stopniem niepełnosprawności, którzy, żeby być niezależni, potrzebują wsparcia. Czy państwo im pomoże? Czy asystencka osobista znajdzie się na liście konkretnych zrealizowanych, czy może będzie kolejną niespełnioną obietnicą, jakich już wiele składały nasze rządy osobom z niepełnosprawnościami?

FILIP ZAGOŃCZYK



Autor, współpracownik POLITYKI, jest absolwentem dziennikarstwa na Uniwersytecie Warszawskim, pracował w radiowej Czwórce. Prowadzi bloga kolociebie.com poświęconego prawom osób z niepełnosprawnościami. Niewidomy od czwartego roku życia, od 16 lat porusza się na protezie prawej nogi.



Będą zwarcia

Powstaje Ministerstwo Energii,
nowy resort o niezbyt jasnych zadaniach,
z ministrem **Miłoszem Motyką**,
młodym politykiem PSL,
o niezbyt pewnych kompetencjach.

ADAM GRZESZAK

Nowyy minister nie ma jeszcze siedziby, zarządza urzędnikami rozrzuconymi między Warszawą a Katowicami, brakuje mu wiceministrów, a już na starcie pojawił się poważny problem: Karol Nawrocki. Prezydent do wyborów szedł, obiecując, że w ciągu pierwszych stu dni obniży rachunki za energię o 33 proc., bo w Polsce utarło się, że obietnice wyborcze muszą

dotyczyć prądu, niezależnie kto je składa. Nie cen chleba, masła czy ogrzewania mieszkań (które ma największy udział w domowych budżetach), ale właśnie prądu. Dlaczego nowy prezydent zamierza obniżyć ceny tylko o 33 proc., a nie np. o 50 proc.? Obie wielkości są równie nierealne, a zarządzanie gospodarką to wciąż domena rządu, nie prezydenta.

Na razie rząd zamierza przedłużyć zamrożenie cen prądu do końca roku, bo jeśli energetyka została w Polsce uznana za ubitą ziemię, na której toczy się polityczna wojna, to nie można



Karol Nawrocki dziedziczy niechęć do prądu z wiatru, więc przyjęta ustawa wiatrakowa mu się nie podoba. Zmniejsza ona odległość wiatraków od domów do 500 m oraz ustanawia fundusz, z którego właścicielom domów w promieniu kilometra wypłacane będą rekompensaty do 20 tys. zł rocznie.

jej oddać bez walki. Mrożenie wprowadził rząd PiS w ramach tzw. tarczy antyinflacyjnej w 2021 r., a potem weszliśmy w maraton wyborczy, więc nikt już nie ryzykował, by to zmienić. I tak subsydia zmieniły się w prawa nabyte. We wrześniu wygasają kolejne tymczasowe przepisy ustalające cenę maksymalną energii elektrycznej na poziomie 0,62 zł za 1 kWh i trzeba operację wydłużyć o kolejne miesiące, choć Komisja Europejska nas upomina. Tolerowała tę praktykę, gdy po wybuchu wojny w Ukrainie ceny paliw i energii skoczyły i niemal wszystkie kraje UE zaczęły z budżetów wspierać konsumentów. Jednak z czasem ceny spadły i tylko Polska została wierna subsydium. Operacja ta kosztowała w tym roku budżet ok. 4,4 mld zł.

Sidla na prezydenta

Przedłużenie mrożenia zostało zapisane w czekającej na podpis prezydenta ustawie „o zmianie ustawy o inwestycjach w zakresie elektrowni wiatrowych oraz niektórych innych ustaw”, zwanej popularnie wiatrakową. Jej głównym celem jest odblokowanie rozwoju energetyki wiatrowej na lądzie. W 2016 r. PiS wprowadził regułę zwaną 10H, zabraniającą budowy instalacji wiatrowych, jeśli w promieniu wyznaczonym przez dziesięciokrotność wysokości wiatraka są budynki mieszkalne. Przy rozproszonej i dość chaotycznej zabudowie zablokowało to praktycznie budowę elektrowni wiatrowych będących dziś najtańszym źródłem energii elektrycznej. Tuż przed wyborami 2023 r. tę blokadę delikatnie złagodzone, zakazując stawiania wiatraków bliżej niż 700 m od domów. Jednak PiS nadal z niejasnych powodów (jest na ten temat kilka teorii) nie lubi energii odnawialnej, a już najbardziej tej z wiatraków.

Karol Nawrocki dziedziczy niechęć do prądu z wiatru, więc przyjęta przez Sejm nowa ustawa wiatrakowa mu się nie podoba. Zmniejsza ona odległość wiatraków od domów do 500 m, ale jednocześnie redukuje konflikty, bo ustanawia fundusz partycypacyjny, z którego właścicielom domów leżących w promieniu kilometra wypłacane mają być rekompensaty sięgające nawet 20 tys. zł rocznie. „Ta ustawa jest takim nieudolnym sidłem, zasadzką, która miała być zastawiona, czy to na byłego prezydenta Andrzeja Dudę, czy na nowego prezydenta Karola Nawrockiego” – oburzył się szef prezydenckiej kancelarii Zbigniew Bogucki, nie zdradzając, co zamierza zrobić prezydent. Bo „jest tam wrzuczone oczywiście coś, co jest bardzo ważne, czyli osłony i niższe rachunki w konsekwencji dla Polaków” – wyjaśnił. A wobec losu Polaków prezydent nie pozostaje obojętny. Dlatego z Pałacu Prezydenckiego wyszła zapowiedź, że prezydent przedstawi własne rozwiązanie, które pozwoli na zamrożenie cen prądu, ale już bez liberalizowania przepisów wiatrakowych.

„Moim zadaniem jest wypełnienie postulatu, o którym pan prezydent mówił, aby obniżyć ceny energii” – odpowiedział minister Miłosz Motyka, apelując o podpis prezydenta. „To nie jest tak, że tę ustawę robimy wbrew komuś. My ją robimy po to,

by ceny energii dla odbiorców indywidualnych, dla odbiorców przemysłowych były niższe, i nie wydaje się zasadne, by niskie ceny energii miały być pułapką”.

Sami swoi

Miłosz Motyka dobrze odnajduje się w politycznym zwarcu. To jego specjalność, bo jeszcze niedawno był rzecznikiem Polskiego Stronnictwa Ludowego, lubianym przez dziennikarzy za dostępność, refleks i cięte riposty. Swymi komentarzami grał PiS-owi na nerwach. Jest dziś najmłodszym ministrem w rządzie Donalda Tuska, ma 32 lata i uchodzi za ulubieńca Władysława Kosiniaka-Kamysza. To jemu zawdzięcza błyskawiczną karierę. Bo choć w wyborach w 2023 r. uzyskał wyjątkowo mizerny wynik i nie dostał się do Sejmu, to natychmiast trafił do rządu w randze podsekretarza stanu, jako wiceminister klimatu i środowiska.

Resort środowiska kierowany przez Paulinę Hennig-Kłoskę (Polska 2050) przed rekonstrukcją był odpowiedzialny za polską energetykę i to właśnie wiceministrowi Motyce powierzono ten obszar. Nominacja była uzasadniana jego wykształceniem, bo ukończył inżynierię środowiska na Uniwersytecie Rolniczym w Krakowie. Uznano, że ktoś z takimi kwalifikacjami powinien zacząć karierę zawodową najlepiej od ministerialnego fotela.

Zresztą swoje kwalifikacje doskonalił też w Szkole Liderów Politycznych, co pozwoliło mu już wcześniej przejąć kierownictwo Forum Młodych Ludowców, czyli peeselowskiej młodzieżówki. Partia doceniła jego energię, sprawność retoryczną i aktywność w socjalach. To on w 2018 r. wymyślił twitterową akcję #SamiSwoi, złośliwie komentującą zawłaszczanie przez ludzi PiS wysokopłatnych stanowisk w spółkach Skarbu Państwa i samorządach. W przypadku przedstawiciela PSL, partii, którą niegdyś nazywano „rodzina na swoim”, zadanie wydawałoby się dość ryzykowne.

W popularnym telewizyjnym widowisku publicystycznym „Młodzież kontra...”, czyli pod ostrzałem z udziałem młodzieży partyjnej spierającej się z zaproszonymi politykami, pokazał obycie medialne i sprawność retoryczną, więc został rzecznikiem PSL. – Motyka pochodzi z Myślenic, małego powiatowego miasta w woj. małopolskim. W pewnym momencie Kosiniak-Kamysz doszedł do wniosku, że PSL musi zaważczyć z PiS o małe miasta i do tego potrzebna jest mu młoda inteligencja z Polski powiatowej. Dlatego wspiera kariery takich działaczy jak Kuba Stefaniak czy Miłosz Motyka – wyjaśnia jeden z polityków PSL.

Młodzi zdolni

Jakub Stefaniak został niedawno wiceszefem KPRM, a Miłosz Motyka dostał Ministerstwo Energii, przez niektórych zwane superresortem, bo odpowiada za kluczową część polskiej gospodarki. „To jest ministerstwo, które będzie rozstrzygało kwestie, które do tej pory były częściowo w gestii ministra klimatu i środowiska oraz ministra przemysłu. Resort przemysłu ►

► i dział energia będą skupione w jednym ręku i gwarantując także pełną współpracę nowego ministra z dotychczasowymi moimi partnerami, którzy kwestiami energetyki się zajmowali, a więc pełnomocnika Wrochny, ale głównie – wszystkich spółek Skarbu Państwa, które działają w obszarze energii – tak aby już jednoznacznie uwspólnić politykę energetyczną” – tłumaczył Donald Tusk.

Rodzi się pytanie: czy to dobre zadanie dla młodego debutanta, i to na dodatek ludowca? – Tusk ma krótką ławkę kadrową. Motyka nie był kandydatem pierwszego wyboru. Wcześniej odbywały się rozmowy z kandydatami z rynku, menedżerami z doświadczeniem ze spółek energetycznych. Ale kto się podejmie takiego zadania za takie pieniądze? Proszę porównać, ile zarabia prezes spółki energetycznej, a ile minister – wyjaśnia jeden z menedżerów spółki Skarbu Państwa, prosząc o anonimowość, bo chce mieć dobre relacje z nowym ministrem. – Tusk nie lubi energetyki, za dużo miał z nią kłopotów. Woli to zwalić na koalicjanta. W końcu w czasach rządów PO-PSL zajmował się tym Waldemar Pawlak.

– PSL straciło resort rozwoju i technologii, w zamian dostali energetykę. Awansowano Miłosza, bo jest najbardziej rozgarnięty z nich wszystkich, najszybciej się uczy. Typowe koalicyjne układanki – tłumaczy jeden z członków władz PO. Motyka jest chwalony, że jest komunikatywny, nie ma w nim arogancji, nie będzie więc „problematycznym ministrem” w odświeżonym gabinecie Tuska. To o tyle istotne, że te najbardziej konfliktowe i krytykowane osoby, czyli ministrowie Pełczyńska-Nałęcz i Hennig-Kłoska, akurat zostały w rządzie, nie dało się ich ruszyć. I to szczególnie krytykowane przez PSL, czyli niedawnych koalicjantów z Trzeciej Drogi.

Ludzie z branży energetycznej na ogół chwalą Motykę, którego zdążyli już poznać w czasie, gdy był wiceministrem środowiska odpowiedzialnym za ich sektor. – Jest kontaktowy, chce rozmawiać, słucha argumentów. Mam wrażenie, że wiele już się nauczył – mówią w jednej z dużych spółek elektroenergetycznych.

– Problemem jest konstrukcja samego resortu. To będzie ministerstwo górnictwa i energetyki konwencjonalnej, plus energetyki jądrowej (w budowie). Ale bez OZE (odnawialnych źródeł energii), które stanowią oś transformacji energetycznej i mają coraz większy udział w polskim miksie energetycznym. Nie wiem, jak to ma wszystko zadziałać – komentuje Bartłomiej Derski z branżowego portalu Wysokie Napięcie. – Według naszych informacji dotychczasowy departament OZE najprawdopodobniej pozostanie w MKiŚ pod kontrolą Pauliny Hennig-Kłoski, bo w koalicji trwa spór dotyczący zmiany ustawy o działach – wyjaśnia.

W resorcie środowiska pozostaje też ciepłownictwo, kolejny sporny i bardzo zaniedbany obszar energetyki. – OZE zostanie w klimacie, bo trzeba by zmienić ustawę, a nowa nie dość, że musiałaby zostać przyjęta przez Sejm, to jeszcze podpisana przez prezydenta – tłumaczy nasz rozmówca z PO. W obecnych okolicznościach koalicja nie ma zamiaru kopać się z koniem.

Ministerstwo górnictwa i energetyki

Powołanie Ministerstwa Energii kończy eksperyment z Ministerstwem Przemysłu, jedynym wyprowadzonym poza Warszawę. Kierowany przez ministrowie Marzenę Czarnecką katowicki resort formalnie był odpowiedzialny za całość gospodarki surowcowej, a także energetykę jądrową. Ulokowano go w budynku Polskiej Grupy Górniczej, żeby górnicy z protestami nie musieli jeździć do Warszawy. Bo pierwszoplanowym problemem gospodarczym każdego rządu są górnicy. Na drugim planie są

nierentowne kopalnie, z których wydobywa się coraz droższy węgiel. Na trzecim jest problem, co z tym węglem robić, bo elektrownie potrzebują go coraz mniej i nie stać ich na takie ceny.

A górnicy oczekują coraz wyższych wynagrodzeń i potrafią je wywalczyć. Właśnie walczą o podwyżki na 2026 r., bo tegoroczne już dostali. – Budżetowe dopłaty do produkcji węgla sięgną w tym roku 8 mld zł, a mimo to spółki notują potężne straty. Straty ma nawet JSW wydobywająca węgiel koksujący, na który jest spory popyt i wysokie ceny. Ministrowi Motykę czekają trudne rozmowy z górnikaми na temat renegotjowania umowy społecznej zawartej przez rząd PiS, a także z Brukselą domagającą się skończenia subsydiowania górnictwa. Przydałby mu się kompetentny wiceminister do spraw górniczych – komentuje Bartłomiej Derski. Motyka dostał dotychczas tylko jednego wiceministra – Wojciecha Wrochnę, pełnomocnika rządu ds. strategicznej infrastruktury energetycznej, który połączy dotychczasowe obowiązki z nadzorowaniem budowy elektrowni jądrowej.

Zrób to sam

Na razie jednak nowy minister musi sobie zrobić ministerstwo. Gdy w resorcie środowiska pytamy, gdzie urzęduje, pada odpowiedź, że „jest wszędzie”. Zachował stary gabinet w MKiŚ, bo tu nadal pracuje spora część urzędników, którzy mają trafić do jego resortu. Część urzędników likwidowanego katowickiego Ministerstwa Przemysłu trafiła już do Warszawy i tymczasowo pracuje w gmachu Giełdy Papierów Wartościowych, gdzie minister ma drugi gabinet. Trzeci ma w Katowicach po Marzenie Czarneckiej, bo nie będzie całkowitej wyprowadzki i część węglowa Ministerstwa Energii ma pozostać na Śląsku.

Jak młody minister to ogarnie? Jak będzie dogadywał się z Pauliną Hennig-Kłoską? Nie miał z nią łatwej współpracy w MKiŚ, a to ona nadal będzie kontrolować sprawy odnawialnych źródeł energii stanowiących dzisiaj coraz ważniejszy składnik naszego miksu energetycznego. Jak będzie wyglądała jego współpraca z Wojciechem Balczunem, nowym ministrem aktywów państwowych, wykonującym nadzór właścicielski nad spółkami energetycznymi? A jeszcze jest Andrzej Domański, minister finansów i gospodarki, który musi trzymać rękę na kase.

Na razie Miłosz Motyka wyznaczył sobie trzy główne zadania. Pierwsze to deregulacja energetyki. Drugie to aktualizacja dokumentów strategicznych – Krajowego Planu w Dziedzinie Energii i Klimatu, Polityki Energetycznej Państwa oraz Programu Polskiej Energetyki Jądrowej. Trzecie to rozpoznanie szans budowy w Polsce SMR-ów, czyli małej energetyki jądrowej. Nieśmiało też wspomina o konieczności zakończenia subsydiowania cen energii elektrycznej, co miałyby nastąpić od przyszłego roku.

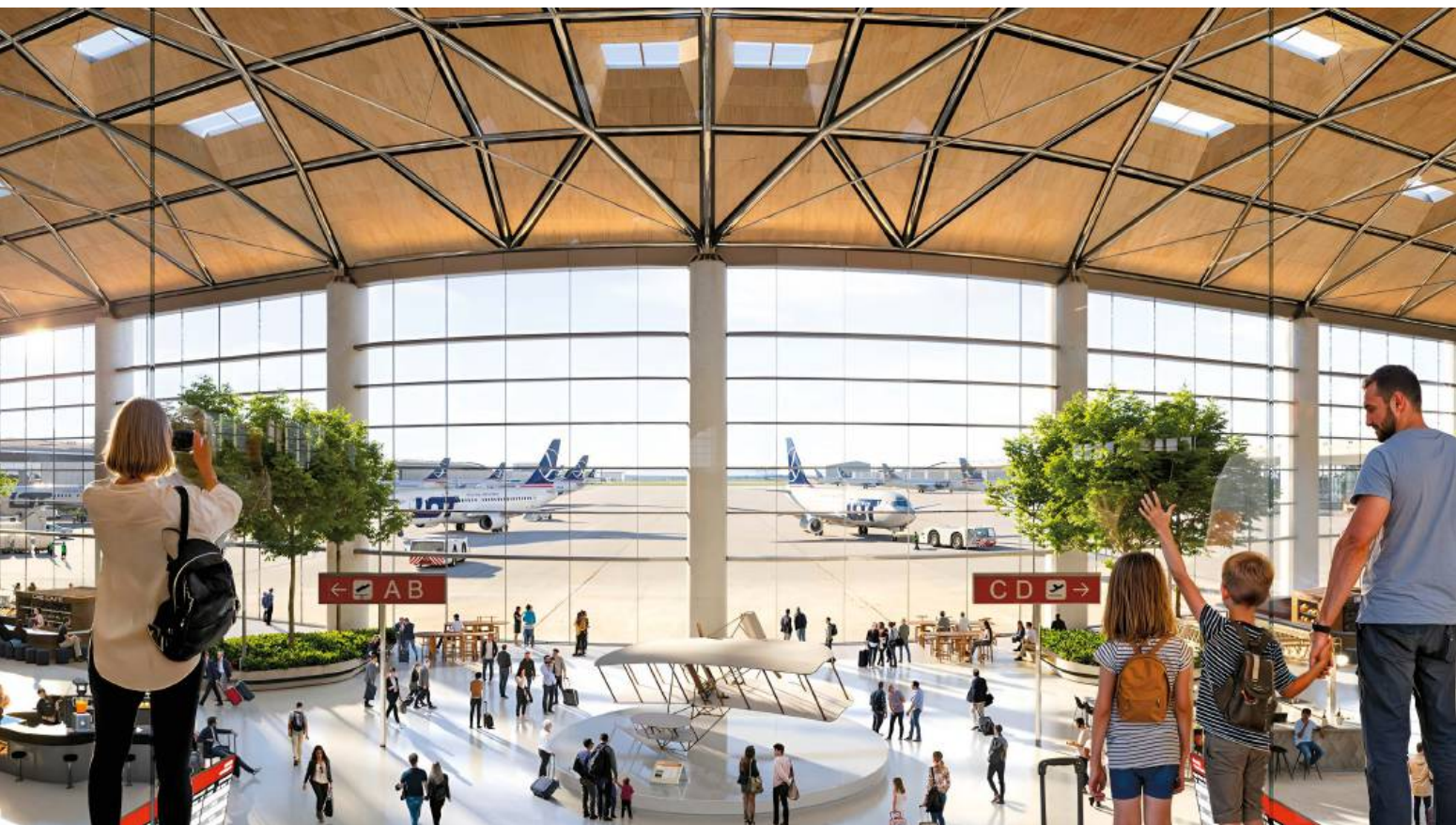
Tylko kto się na to odważy, zwłaszcza że nowy prezydent chce się licytować z rządem na energetyczny populizm. Deklaruje, że nie tylko obniży ceny prądu, ale też przywróci rolę polskiego węgla w energetyce. W tym celu zorganizuje referendum, by Polacy powiedzieli, czy chcą, by Polska wypowiedziała unijny Zielony Ład i porzuciła dekarbonizacyjne pomysły.

A premier w tym samym czasie wyznacza ministrowi zadanie „maksymalizacji dobrostanu Polaków i maksymalizację szans dla naszych firm, aby mogły konkurować, bo przy wysokich cenach energii nie będą mogły skutecznie konkurować z firmami z innych regionów”. Czyli – jak się żartuje w branży – wszyscy chcą ruszać z Motyką na słońce.

ADAM GRZESZAK, WSPÓŁPRACA MALWINA DZIEDZIC

Odlotowo, ale godnościowo

Lobbyści najbardziej rozdmętej wersji CPK, zakładającej, że ma to być inwestycja dumna, realizowana błyskawicznie i połączona z krajem gęstą siecią szybkich kolei, zyskali poparcie Karola Nawrockiego. Prezydent podpisał się pod „wielką, piękną ustawą” o CPK.



Na zdjęciach wizualizacji lotniska CPK w Baranowie

MARCIN PIĄTEK

Karol Nawrocki rozpoczął prezydenturę od skierowania do Sejmu projektu wskrzeszenia „wielkiego Centralnego Portu Komunikacyjnego”. Zakłada on, oprócz wybudowania megalotniska kilkadziesiąt kilometrów na zachód od Warszawy, poprowadzenie do niego kolejowych linii, tzw. szprych. Mają być to szprychy nie byle jakie, ale przeznaczone dla kolei dużej prędkości (KDP), powyżej 350 km/godz. W sumie ponad 2 tys. km. Koncepcja ta powstała w czasach rządów PiS i nigdy nie wyszła

poza etap prezentacji oraz map, nie była też poparta analizami potwierdzającymi, że inwestycja w szybką kolej w takiej skali, liczona w dziesiątkach miliardów złotych, ma sens.

Papier wszystko przyjmie, więc planiści pracujący dla spółki CPK z poprzedniego politycznego nadania połączyli superszybkimi pociągami nawet Ostrołękę z Giżyckiem i Nakło nad Notecią z Okonkiem, wielkopolską miejsciną liczącą ok. 4 tys. mieszkańców.

Obecna władza mimo otwartego sceptycyzmu, a nawet drwin z projektu CPK, zdecydowała się jednak na jego kontynuację, ale w okrojonej wersji, co ma zredukować koszty ze 155 do 131 mld zł.

Jeśli chodzi o szybką kolej, priorytet ma słynny „Y”, czyli trasa Warszawa–Łódź–Sieradz, gdzie rozgałęzia się do Poznania i Wrocławia. Łącznie 480 km. Lobbyściom skupionym w stowarzyszeniu Tak dla CPK, w którym prym wiodą osoby związane z poprzednimi władzami, to nie wystarcza. Nie ustają w nawoływaniach do reaktywacji poprzedniej koncepcji, zebrali pod tym projektem 200 tys. podpisów, wysłali go do Sejmu, ale został odrzucony na wstępnym etapie. I łowią w swoje siła polityków. Mieli już Andrzeja Dudę, teraz schwytali Karola Nawrockiego. Obaj prezydenci wychodzą z prostego założenia, że skoro projekt ten powstał ►

► w czasach rządów PiS, to musi być genialny. No i godny.

Wzmacnianie i osłabianie

Nawrocki ogłosił inicjatywę w Kaliszu. Swą nieustępliwość w temacie realizacji tak gigantycznej inwestycji spuentował, podpisując się pod określoną w projekcie nieprzekraczalną datą uruchomienia połączeń lotniczych, czyli końcem 2031 r. Grzmiał, że Kalisz „jest symbolem miast wyeliminowanych z projektu CPK” oraz że „nie może być rozjechany”. W ten sposób dowiódł, że nie ma pojęcia, przeciw czemu się opowiada i co podpisuje.

Obowiązująca koncepcja bowiem zakłada, że choć centrum miasta faktycznie ominie szybka kolej, to od tej linii do dworca zostanie poprowadzona odnoga, dzięki czemu podróż do Poznania i Łodzi skróci się do 40 min, a do Warszawy będzie można dojechać w półtorej godziny. Poza tym powrót do idei Tak dla CPK oznaczałby (według obecnych władz) rezygnację z kolejowej obwodnicy, puszczenie wszystkich szybkich pociągów przez miasto (nawet tych, które nie będą się w Kaliszu zatrzymywać), więcej wyburzeń oraz ingerencję w tereny należące do zakładów Mlekovita i Pratt Whitney.

W projekcie podsunętym Nawrockiemu przez Tak dla CPK znajduje się zapis mający położyć kres praktykom obecnych samorządów, które dorzucają przewoźnikom do działalności płacąc za reklamę swoich regionów. Cel jest jasny, osłabić porty regionalne, wzmocnić CPK. Ale tanie linie nie palą się do obecności na megalotnisku, bo opłaty na pewno będą tam wyższe niż w portach regionalnych. Poza tym Polska powiatowa, będąca największym rezerwuarem głosów na PiS, lata na wakacje i *city breaki* z lotnisk lokalnych, a jeśli te upadną, podróżni będą zmuszeni fatygować się do CPK, „bijącego serca komunikacyjnego Polski” (Mateusz Morawiecki). Raczej nie będą zachwyceni.

Projekt nie ma szans na przegłosowanie w Sejmie, co z pewnością stanie się pretekstem do kolejnych ataków ze strony stowarzyszenia Tak dla CPK oraz polityków PiS zarzucających obecnej władzy brak wizji, hamowanie gospodarczego rozwoju kraju oraz skazywanie Polaków na wykluczenie komunikacyjne. Pełnomocnik rządu ds. CPK Maciej Lasek odparowuje przytomnie, że walka z wykluczeniem komunikacyjnym za pomocą

koszmarnie drogiej w budowie, eksploatacji oraz jeśli chodzi o ceny biletów KDP to pomysł ekonomicznych alfabetów i że teraz urealniony projekt nabrał rozpędu, lotnisko zostanie oddane do użytku w 2032 r., a kolejowym „Y” pojedziemy najpóźniej w 2035 r.

Co chatka, to zagadka

Ale do początku budowy daleko. Rafał Szczepaniak ze stowarzyszenia Hej Wiskitki (jednej z trzech gmin, obok Baranowa i Teresina, na których terenie ma powstać lotnisko): – *Trwają odwierty, pomiary, drony robią zdjęcia. Od czasu do czasu odbywają się spotkania dotyczące tzw. strategii otoczenia lotniska. Niedawno byłem na takim, gmina Wiskitki informowała, że będą tam udzielane informacje o ingerencji w prywatne nieruchomości. Przyszło sporo mieszkańców zaniepokojonych wysiedleniem. Trzej panowie ze spółki pomagali wypełnić internetowe formularze z uwagami mieszkańców. Nie potrafili podać żadnych szczegółów co do przebiegu kolei, nie mieli ze sobą map. Prosiłi, żebyśmy im użyczili naszych. Komedie.*

Jak na razie spółka CPK pozyskała za ledwie 52 proc. gruntów przeznaczonych pod lotnisko oraz zachodnią część węzła kolejowego. Jeśli chodzi o przebieg kolei dużych prędkości, ostatecznie potwierdzony jest tylko odcinek Warszawa–Łódź, tam udało się nabyć 42 proc. działek. Mieszkańcy terenów przeznaczonych pod inwestycję zgłaszają się wprawdzie do programu dobrowolnych nabyć, ale nie oznacza to jeszcze zgody na sprzedaż. Sondują warunki. – *Zagrożonych wysiedleniem nachodzą jacyś prawnicy i namawiają do podpisywania umów pośrednictwa w uzyskaniu odszkodowań. Wiem, że niektórzy ulegają* – opowiada Szczepaniak.

Łukasz (prosi o anonimowość) mieszka z żoną i dwójką dzieci w Kuczkowie, nieopodal Łowicza. Ma tam pół hektara ziemi, 150-metrowy dom zbudowany niemal 10 lat temu, stodołę, oborę, garaż i kilka innych budynków gospodarczych. Jego dobytek znajduje się na trasie KDP prowadzącej z Łodzi do Poznania. Opowiada, jak wyglądają realia programu dobrowolnych nabyć: – *Wszystkie trzy warianty kolei biegną przez moją działkę. Na rzeczoznawcę działającego na zlecenie CPK czekałem do ubiegłej jesieni. Od pani, która robiła operat, dowiedziałem się, że wyceniła mój majątek na prawie 3 mln zł.*

Ale na drugi dzień dostałem telefon, że to pomyłka, i będzie ponowna wycena. No i była – niecałe 1,9 mln. Spodziewałem się, że ponawiają operat, bo chcą dać mniej. Ale żeby aż tyle?

Przedstawiciele spółki CPK na każdym kroku zapewniają o superkorzystnych warunkach wykupów, co w praktyce oznacza dołożenie 40 proc. do wartości domu i 20 proc. do wartości gruntu. W operacie, który dostał Łukasz, dom wyceniono na niespełną pół miliona. – *Znajomi budowali się w okolicy, więc mam porównanie. Dom o tej powierzchni to minimum milion. Ludzie z CPK mówią do mnie: za te 1,9 mln postawi pan sobie piękny, nowy dom. Może i tak, ale muszę poświęcić całe gospodarstwo, kilka innych budynków.*

W Kuczkowie pod młotek mają iść również inne nieruchomości. Tu też w odniesieniu do wycen oraz przyjmowanych przez spółkę kryteriów powtarza się reguła, o której mówią mieszkańcy wsi wysiedlanych pod budowę samego lotniska: co chatka, to zagadka. Łukasz: – *Mój grunt, pół hektara, jest wart według CPK 220 tys. Sąsiadka za płotem ma działkę 1,8 tys. m, na niej jakieś nasadzenia, blaszany garaż i domek holenderski na kółkach. I zaproponowano jej pół miliona. Jest bardzo zadowolona. Nie rozumiem, dlaczego warunki tak bardzo się różnią, skoro to taka sama ziemia?*

Pociągiem przez jezioro

Maciej Lasek sprawia wrażenie zniecierpliwionego tym, że wykupy nie idą zgodnie z planem. W niedawnej rozmowie na antenie RMF zapowiedział nowelizację ustawy o CPK, która ma poprawić warunki wykupów (ciekawe, co na to powiedzą ci, których nakłoniono do sprzedaży po niższych cenach), oraz dał do zrozumienia, że spółka ma pozyskać prawo dysponowania gruntem jeszcze przed uprawomocnieniem się decyzji o lokalizacyjnej wojewody. Została ona już wprawdzie wydana, ale wpłynęło ponad 40 odwołań, a termin ich rozpatrzenia – wpływający pod koniec sierpnia – ma zostać wydłużony. Do kiedy, nie wiadomo.

Mieszkańcy terenu zarezerwowanego pod lotnisko i zintegrowaną z nim logistykę, głównie na potrzeby cargo, zdają się już pogodzeni z losem wysiedleńców. Pozostaje im tylko dylemat: dogadać się po dobroci czy czekać na wywłaszczenie, kalkulując, że za pięć dwunasta



spółce CPK bardziej będzie się opłacało sypnąć kasą, niż zdawać na przymusową egzekucję w asyście policji. Spółka nie jest zresztą w stanie odpowiedzieć na pytanie, ilu mieszkańców będzie musiało oddać pole lotniska oraz linii kolejowej Warszawa–Łódź. Z powodu braku ostatecznych decyzji lokalizacyjnych.

Tym bardziej nie wiadomo, ile osób zagrożonych jest wykupami albo wywłaszczeniami w związku z budową sieci kolejowych. Bo też wciąż nie wiadomo, ile ich ostatecznie powstanie. Jak informuje spółka w odpowiedzi na pytania POLITYKI, na razie priorytet ma „Y”, ale analiza tzw. Zintegrowanej Sieci Kolejowej trwa i żaden z projektów (zaprezentowanych w czasach rządów PiS) nie został wykluczony.

Wiadomo już, że oprócz „Y” ma być realizowana linia prowadząca z Katowic do granicy z Czechami, wpinająca się w tory do Ostrawy. Mieszkańcy terenów zagrożonych tam wysiedleniem – Mikołowa, Łazisk Górnych, Czerwonki-Leszczyn i innych – już pogubili się w tym, który wariant obecnie jest najbardziej prawdopodobny: czy ma powstać kolej dużych prędkości, czy będzie to przede wszystkim kolej aglomeracyjna, czy też obie, równolegle, a może ta regionalna stanie się częścią sieci kolei dużych prędkości, co oznacza, że na odcinkach wspólnych kolej dużych prędkości będzie musiała zwalniać? Budowa szybkiej kolei leży w gestii spółki CPK, ale kolejowy moloch PKP PLK też ma swoje plany, a Unia Europejska hojnie sypie pieniędzmi. Jak ujawnił niedawno premier Donald Tusk, na liczne projekty kolejowe pójdzie astronomiczna kwota 180 mld zł.

Dominika Baranowicz, sołtyska Pałowic położonych nieopodal Rybnika: – *Jeśli chodzi o kolej dużych prędkości,*

zdaje się, że obecnie najbliższej realizacji jest linia przechodząca przez środek Pałowic oraz dewastująca nasze pojezierze, które nazywamy Śląskimi Mazurami, a realizacja połączenia do granicy oznacza wyburzenie ponad tysiąca budynków. Zaproponowaliśmy poprowadzenie linii 150 m dalej, głównie przez tereny Lasów Państwowych, ale ta koncepcja nie znalazła uznania w spółce CPK. Odpisano nam, że to niemożliwe, nie podając powodów.

Górny Śląsk jest bardzo gęsto zaludniony, co dla piewców rozwoju państwowej infrastruktury nie ma znaczenia. Na internetowych forach określają uczestników protestów przeciw realizowaniu inwestycji mianem hamulcowych i NIMB-ów (od *not in my backyard*; byle nie w moim ogródku), którzy robią wszystko, by to budowlane kukułcze jajo podrzucić sąsiadom.

Marchewki i kije

Niekończąca się dyskusja o wariantach i opcjach oznacza życie w ciągłej niepewności, wstrzymanie inwestycji oraz planów prywatnych i zawodowych, zszargane nerwy. Zresztą lokalni politycy chętnie się do tego chaosu dokładają. Karolowi Nawrockiemu sekundował w Kaliszu prezydent miasta Krystian Kinastowski, twierdząc, że zamiar poprowadzenia kolei dużych prędkości przez miasto, a nie obwodnicą, jest wielką szansą rozwoju. Przedstawiciele CPK oniemieli, bo parę dni wcześniej Kinastowski podpisał porozumienie zakładające realizację projektu w myśl planów spółki, czyli obwodnicą. Prezydent wyjaśnił, że podpisał porozumienie wyłącznie z konieczności włączenia się w proces inwestycyjny oraz z myślą o budowie dworca, który ma miastu zafundować CPK. Zagroził też, że nie podpisze porozumienia wykonawczego.

Spółka CPK ma dla takich opornych samorządowców marchewkę, choć Kinastowski, który daje do zrozumienia, że poniżej godności Kalisza są pociągi jadące do 250 km/h, sprawia wrażenie impregnowanego na argumenty. Chodzi o program społeczno-gospodarczy dla gmin i powiatów znajdujących się na obszarze inwestycji, z przeznaczeniem na lokalną infrastrukturę, wsparcie ochrony środowiska, inwestycje w zieloną energię, ale również rozwój oferty kulturalnej, sportowej oraz edukację. Czyli w praktyce można z tego sfinansować wszystko. Do 2032 r. lokalne samorządy mają łącznie otrzymać 284 mln zł. Jeśli trzeba, spółka CPK dorzuci wóz strażacki dla ochotników. W czasach rządów PiS fundowała remonty ołtarzy.

Rafał Szczepaniak uważa, że najgorzej na megalotnisku wyjdą ci, którzy będą musieli znosić jego sąsiedztwo. – *We wsiach Guzów i Aleksandrów ma powstać tzw. cargo city. Mówimy na ten obszar, za przeproszeniem, dupa lotniska. Ktoś te ładunki musi dostarczyć, okoliczne drogi będą rozjeżdżane przez tiry.*

Największa obawa mieszkańców dotyczy tego, że budowa i eksploatacja lotniska wydręnią zasoby wody pitnej z najważniejszego lokalnego źródła, tzw. Rynny Kozłowieckiej. Spółka co prawda zapewnia, że wody nie zabraknie, i powołuje się na przygotowaną na zamówienie Ministerstwa Środowiska prywatną ekspertyzę. Ale swoje badania zleciły też władze gminy Wiskitki, w 2023 r. wykonali je eksperci z Państwowego Instytutu Geologicznego. Wnioski: „zasoby Rynny Kozłowieckiej są praktycznie wyczerpane i raczej nie istnieje rezerwa na lokowanie kolejnych ujęć wód podziemnych” oraz „w związku z brakiem alternatyw dla zaopatrzenia w wodę jest to teren wymagający ochrony i ograniczenia działalności inwestycyjnej”.

Według szacunków samej spółki podczas eksploatacji portu CPK ma być zużytych 4,8 mln litrów wody dziennie.

Jak na razie większość projektów związanych z CPK rozwija się wyłącznie na papierze oraz w głowach polityków i lobbystów. I niewykluczone, że tam pozostaną... Tak będzie bezpiecznie i dla budżetu, i dla ludzi, których, jak widać, argumenty godnościowe mało przekonują.

MARCIN PIĄTEK



www.cd.cz/polsko

PŘÍMÉ SPOJENÍ NOVOU LINKO

Praha – Wrocław

OD 15. 12. 2024

railreklam

Cisi Czesi

O

d kilku lat liczba czeskich turystów w Polsce, głównie nad Bałtykiem, wyraźnie rośnie. Trudno ją dokładnie ustalić – mniejsze pensjonaty i kwatery turystyczne zwykle nie przestrzegają obowiązku meldunkowego; to w nich zatrzymuje się większość wypoczywających. Ale z różnych szacunków – raczej zaniżonych – wynika, że dwa lata temu było to 350 tys. osób, rok temu ponad 400.

– Kiedy byłem kilka tygodni temu w Gdańsku, to na ulicach starówki Czesi byli moim zdaniem najliczniejszymi obcokrajowcami – mówi Luboś Palata, dziennikarz portalu denik.cz, związany z Polską prywatnie i zawodowo od dekad. A Gdańsk wcale nie jest najpopularniejszym wśród Czechów kierunkiem – najwięcej

Ilu Czechów wypoczywa właśnie nad Bałtykiem?
W całym roku zbierze się ich zapewne ponad pół miliona.
Ubocznym skutkiem tego turystycznego trendu
jest szokująca zmiana wizerunku Polski w Czechach.

JAKUB MEDEK

widuje się ich w środkowej i zachodniej części wybrzeża Bałtyku. Ale zauważalny wzrost liczby turystów z południa widać właściwie w całym kraju.

Jeśli więc chodzi o turystykę, spokojnie można powiedzieć, że trwa czeska inwazja na Polskę. To inwazja raczej cicha – Czesi, zwłaszcza w porównaniu z Polakami, raczej nie przepadają za ostentacją, nie są też specjalnie hałaśliwi, rzadko kiedy bywają roszczeniowi. Nie znaczy to, że tej inwazji nie widać. Przede wszystkim widzi ją lokalna branża turystyczna – na środkowym i zachodnim wybrzeżu opisy, informacje czy szyldy po czesku nie są już niczym wyjątkowym.



Od pół roku z Pragi do Gdyni cztery razy na dobę jeździ pociąg

Przez dekady, kiedy Czesi mówili, że byli na wakacjach nad morzem, to dla każdego było oczywiste, że chodzi o chorwackie wybrzeże Adriatyku; dla wielu Czechów Istria i Dalmacja to właściwie czeskie zastępcze wybrzeże. W latach 60. powstało nawet poważne inżynierskie studium dotyczące budowy tunelu kolejowo-drogowego z południowych Moraw na chorwackie wybrzeże właśnie.

– Ale w Chorwacji jest coraz drożej. I coraz bardziej gorąco, co nie szczególnie idzie w parze z dość aktywnym sposobem, w jaki wypoczywamy. To wszystko sprawia, że coraz chętniej patrzymy na północ, na Bałtyk – mówi Pavel Trojan, szef czeskiego biura Polskiej Organizacji Turystycznej. Podkreśla liczne możliwości aktywnego spędzania czasu w Polsce – turystyki pieszej czy zwykłych spacerów, jazdy na rowerze czy uwielbianych przez Czechów spływów.

– Ręcznik, parawan, cały dzień leżenia na plaży to zdecydowanie nie jest nasz model wypoczynku. Raczej będziemy po niej kilometrami spacerować. A w Polsce nie tylko jest gdzie, ale jest też infrastruktura i często na wyższym poziomie niż w Czechach – dodaje Trojan.

Zdaniem Andreasa Papadopoulosa, korespondenta Telewizji Czeskiej w Polsce, znaczenie ma też coraz lepsza dziś infrastruktura komunikacyjna: trasą S3 można od roku dotrzeć od granicy z Czechami nad sam Bałtyk, od pół roku z Pragi do Gdyni cztery razy na dobę jeździ pociąg, łatwo też o tanie połączenia lotnicze

z czeskiej stolicy do Trójmiasta czy Poznania. Czyli generalnie przyjazd do Polski staje się prostszy niż nad Adriatyk, zwłaszcza jeśli chodzi o rodzinną wyprawę własnym samochodem.

– Chociaż z badań wynika, że Polska i Bałtyk to wciąż dla Czechów drugi wybór, np. na drugi, tańszy urlop rodzinny po powrocie z Chorwacji. Ale to też się zmienia – zastrzega korespondent. Czechów do Polski przyciąga również znacznie mniej ucywilizowana przyroda, liczne parki narodowe i zabytki – zwiedzanie mocno wpisuje się w aktywny, czeski model wypoczynku. Spore wrażenie na dużej części przybyszów z południa robią też największe polskie miasta, szczególnie Warszawa z jej drapaczami chmur, jakich czeskie miasta nie mają.

– I coraz częściej kuchnia – uważa Pavel Trojan. O „fenomenalnej kuchni” mówi też Andreas Papadopoulos. To szczególnie duża zmiana. Przez lata bowiem Polska kojarzyła się nad Wełtawą w najlepszym przypadku z mocno podejrzaną żywnością. Czeskie media miesiącami potrafiły żyć autentycznymi, ale marginalnymi w skali wymiany handlowej historiami o kiełbasie konserwowanej solą drogową czy stekach z krów, które padły w Polsce ze starości.

Generalnie Polska i Polacy, jeśli chodzi o obiegową opinię Czechów, przez dekady nie wypadali najlepiej. Widać to było nawet w kulturze masowej – psująca się winda w popularnym serialu komediowym „Czwarta gwiazda” była oczywiście polskiej produkcji – „polski szmelc”, jak mówił o niej filmowy konserwator. Do legendy przeszła też reklama jednej z sieci telefonii komórkowych, którą zresztą wycofano z emisji po proteście polskiej ambasady: trener narciarstwa biegowego gdzieś w Karkonoszach ma problem z telefonem komórkowym. Dosłownie znikąd pojawia się polski sprzedawca i na wymianę za stary proponuje trenerowi nowy telefon. Ten oczywiście natychmiast się psuje, ale sprzedawca już rozpułnął się w powietrzu.

– Śmelinári, czyli spekulanci, kombinatorzy, to bardzo częsty obiegowy wizerunek Polaka – mówi Filip Harzer, zajmujący się Polską dziennikarz portalu Seznam Zprawy. Od razu jednak zastrzega, że mówi o przeszłości, bo to się zmienia. Zresztą, jeśli chodzi o powtarzane cyklicznie badania sympatii Czechów do innych narodów, to może i Polacy mieli opinię nieuczciwych cwaniaków, ale i tak ich nad Wełtawą lubiano. Oczywiście – co biorąc pod uwagę historyczne uwarunkowania jest zrozumiałe – na pierwszym miejscu tych rankingów zawsze lądują Słowacy. Bo relacje między Czechami a Słowakami mogą być złożone, asymetryczne, mogą się na nich kłaść cieniem różne historyczne zaszłości, ale wspólnie zdobyta niezależność i 70 lat we wspólnym państwie czy raczej państwach robi swoje. Sympatię wobec Słowaków od lat czuje ośmiu na dziesięciu Czechów, nie lubi ich najwyżej czterech do pięciu na 100.

Na drugim miejscu natomiast, równie konsekwentnie, znajdują się właśnie Polacy. Tu poziom sympatii podlega różnym wahaniom, ale nawet w okresie przejściowego niżu, w drugiej dekadzie tego wieku, tylko raz – w 2017 r. – spadł poniżej 50 proc. No i to, że połowa lub nawet 61 proc. respondentów w badaniu sprzed dwóch lat Polaków lubiło, nie oznacza automatycznie, że reszta ich nie lubiła. W ostatnim przytaczanym tu badaniu było to 7 proc. Na marginesie, to mniej o 3 pkt proc. niż w podobnym badaniu, które mierzyło stosunek Polaków do Czechów.

Pytany o wizerunek Polaka jako osoby nie do końca uczciwej Pavel Trojan podkreśla, że w języku czeskim polskie słowo „kombinować” nie ma w ogóle swojego odpowiednika: – Tyle ►

► że kiedy Czesi zaczęli do Polski przyjeżdżać, to często się okazywało, że owo kombinowanie ma z ich punktu widzenia wymiar pozytywny. Wynajmują pokój w pensjonacie, gdzie nie można wypożyczyć rowerów. I właściciel wtedy mówi, że to żaden problem, że przecież skombinuje im rowery, pożyczą od kolegi. Czyli robi coś, czego raczej nie zrobiłby jego czeski odpowiednik. Generalnie tym, na co moi rozmówcy zgodnie zwracają uwagę, co ich zdaniem podoba się odwiedzającym Polskę Czechom, jest polska operatywność.

A jej efekty widzą nie tylko w kwestii usług turystycznych, ale również w nowoczesnej infrastrukturze komunikacyjnej. Bo z modernizacją tej w Czechach jest od dekad z różnych powodów – chociażby mało sprzyjających inwestycjom przepisów – poważny problem. Najlepiej pokazuje go kwestia wspomnianej już trasy S3 czy raczej jej kontynuacji po czeskiej stronie. Gdy Polacy oddali, zresztą z prawie rocznym opóźnieniem, ostatni przygraniczny fragment, Czesi unieważnili właśnie kolejny przetarg na budowę brakujących 40 km trasy po swojej stronie granicy.

Obecnie ta budowa, chociaż też z problemami, już trwa, powinna się zakończyć za cztery lata. Czyli po czeskiej stronie budowa trasy, o której powstaniu oba rządy podjęły wspólnie decyzję, zakończy się pięć lat później niż po polskiej. I nie jest to sytuacja dla Czech wyjątkowa.

Jak wylicza Andreas Papadopoulos, Czesi widzą w Polsce świetne, nowoczesne muzea, czyste ulice i światowej klasy architekturę w centrach wielu polskich miast. – Dziś np. ludzie z mojej rodzinnej Ostrawy zauważają, że pobliskie Gliwice czy Katowice rozwijają się znacznie szybciej. Powiedziałbym nawet, że Czesi zazdroszczą Polakom szybkiego wzrostu gospodarczego w ostatnich latach – mówi korespondent Telewizji Czeskiej.

Zdaniem Filipa Harzera to też jest swego rodzaju magnesem przyciągającym do Polski kolejnych Czechów. Wcześniej – jak mówi dziennikarz – odbierali oni północnego sąsiada jako ultrareligijną, katolicką ekstrawagancję, mocno zapóźnioną ekonomicznie.

– A tymczasem kraj zmienił się w gospodarczego lidera regionu, w wielu kwestiach wyprzedzając Czechy – mówi Harzer, podkreślając, że z czeskiej perspektywy Polska wykonała skok cywilizacyjny. W dodatku dobrze przy tym wykorzystała fundusze unijne.

– Obserwuję teraz w Czechach coś, co można by nazwać polakofilią – śmieje się Kateřina Havlíková, korespondentka Czeskiego Radia w Polsce. Od razu jednak dodaje, że ten entuzjazm bazuje na mocno powierzchownej znajomości Polski, takiej z okolic głównych turystycznych tras czy w miarę nowoczesnych, chociaż mocno zapchanych i częściej niż w Czechach spóźniających się pociągów. – Z tych miejsc już nie widać tego, że drogi lokalne są często w znacznie gorszym stanie – podkreśla Filip Harzer. – Albo tego, jak źle funkcjonuje tutaj ochrona zdrowia i jak dostęp do niej zależy od zasobności portfela – uzupełnia Andreas Papadopoulos.

– I generalnie dużych, w porównaniu z Czechami, nierówności społecznych – podsumowuje Luboś Palata, który również widzi, zarówno wśród Czechów wracających z Polski, jak i czeskich dziennikarzy, ową „polonofilię”. W ostatnim czasie wyszło w Czechach kilka książek o Polsce, sprzedają się całkiem nieźle. Jednym z bardziej znanych czeskich celebrytów jest polski ksiądz Zbigniew Czendlik, aktywnie zresztą w mediach Polskę promujący. Jego ubiegłoroczny program kulinarno-krajoznawczy „Kamperem po Polsce” miał dużą oglądalność.

W falę czeskiego entuzjazmu może się też nieco – zdaniem Papadopoulosa – wpisywać trwająca właśnie w Czechach kampania przed wyborami parlamentarnymi. Obecny liberalno-konserwatywny rząd według sondaży przegra je z kreteśsem, do władzy wróci ruch oligarchy Andreja Babiša, kiedyś prounijnego liberała, dzisiaj protrumpowskiego suwerenisty.

– Ten nowy obraz Polski jako kraju, który kiedyś był zacofany, a dziś nas wyprzedził, jest z całą pewnością elementem kampanii politycznej w Czechach. Zwłaszcza wśród opozycji. Bo jeszcze ok. 2010 r. Czesi byli przekonani, że będą żyć jak Austriacy czy Niemcy, a nie że z trudem będą mogli się porównywać z Polakami. Ale taka jest dziś rzeczywistość – podkreśla Papadopoulos.

Równocześnie jednak przypomina, że wizerunek Polski w Czechach jest niepełny. – Kwestie praw kobiet, polityki antyaborcyjnej, ochrony zdrowia czy tego, w jakim stanie jest w Polsce państwo prawa i jak destrukcyjne to ma skutki dla całego kraju, nie są tematami atrakcyjnymi medialnie – przyznaje. Według Luboša Palaty polityczne rzeczywistości są w obu krajach mocno złożone i słabo do siebie przystają. Na przykład programowo Babišowi znacznie bliżej dziś do polskiej opozycji. Z drugiej strony PiS jest w parlamencie europejskim w jednej frakcji z rządzącą Czechami ODS.

Poza tym kampania trwa od kilku miesięcy, a zainteresowanie Polską rośnie od dłuższego czasu. – Myślę, że zaczęło się podczas organizowanych przez Polskę i Ukrainę mistrzostw Europy – wtedy bardzo wielu czeskich kibiców przyjeżdżało do Polski na mecze. I na własne oczy przekonywali się, że to nie jest czarna dziura z czasów komuny – wspomina Pavel Trojan. A podczas pandemii Polska była jednym z nielicznych krajów, do których dało się wyjeżdżać z Czech. Siłą rzeczy stała się więc dla wielu osób kierunkiem wakacyjnych podróży. – A my jesteśmy konserwatywni. Jak nam się gdzieś spodoba, to jeździmy tam przez lata – śmieje się Trojan.

Jeśli chodzi o kryzys ekonomiczno-inflacyjny po pandemii, to pokrył się on z przejściem w Czechach władzy przez neoliberałów, którzy programowo sprzeciwiali się różnego rodzaju tarczom na ceny energii czy obniżaniu VAT na podstawowe produkty. W efekcie różnica między cenami żywności w Polsce i Czechach stała się tak duża, że na zakupy na Dolny Śląsk opłacało się jeździć nawet z odległej o 150 km Pragi. Jednocześnie wśród dużej części Czechów upadł wspomniany wcześniej mit fatalnej polskiej żywności. Obecnie ceny w obu krajach znów się wyrównały, choć w Polsce jest nieco taniej. Najazd zakupowy się skończył, ale kolejne lody zostały przełamane.

Zbliżeniu między Czechami a Polakami sprzyjają też dość podobne mentalności. Chociaż Czesi generalnie są znacznie mniej ekspresyjni. – Kiedyś spotkałem 11 listopada w Warszawie grupkę czeskich turystów. Byli mocno wystraszeni przebiegiem Marszu Niepodległości. U nas na demonstracjach się śpiewa i gra na gitarach. To tutejsze skandowanie, czasem wrzaski, te race i pe-tardy nie bardzo się mieszczą w naszej normie – tłumaczy Andreas Papadopoulos. Dodaje jednak, że nie chodzi tu o coś, co byłoby dla Czechów odstręczające. Raczej tego po prostu nie rozumieją.

Czy obecna polakofilia przerodzi się w trwałą, głębszą więź między Polską a Czechami? A może zainteresowanie wybrzeżem Bałtyku jest krótkotrwałą modą, którą przerwie obecne mało wczasowe lato? Na razie jest miło.

JAKUB MEDEK

Autor jest dziennikarzem w Radiu TOK FM; prowadzi także podcast Czechostacja.



© SHUTTERSTOCK

Dwa Neapole

MATEUSZ MAZZINI

Stolica Kampanii walczy ze stereotypami z internetu, ale i na nich zarabia. Dla jednych stała się mafijnym parkiem tematycznym, dla innych – ostatnim skrawkiem prawdziwych Włoch.

Przyjeżdżając do Neapolu, należy się wystrzeżać Google'a. I wcale nie chodzi tu o niechęć do wielkich korporacji technologicznych. Raczej o sprzeciw wobec wszystkiego, co w bezsensowny sposób globalne, ślepo podążające za trendami. Przekłada się to na liczbę komentarzy w mediach społecznościowych, rankingi miejsc, opinie, które o rzeczywistości analogowej wytwarza rzeczywistość cyfrowa. Opinie coraz częściej fałszywe. ►

► Jedz, módl się, kochaj

Przykład: pizza. Prawdą jest, że uśredniając jej poziom we wszystkich tutejszych restauracjach, jest ona zapewne najlepsza na świecie. Ale nie zawsze. Lekcję w tym zakresie można odebrać, stając w bardzo długiej kolejce przed lokalem przy via Sersale 1. To tutaj mieści się Antica Pizzeria da Michele, rozsławiona przez hollywoodzki film „Jedz, módl się, kochaj” z 2010 r., z Julią Roberts w roli głównej.

Trudno o obraz lepiej uosabiający tamten okres. Szczyt radosnej, optymistycznie nastawionej wobec przyszłości globalizacji. Główna bohaterka, rozczarowana swoim raczej nieudanym życiem osobistym w Nowym Jorku, porzuca je i wyjeżdża do Włoch. Wszystko odbywa się zgodnie ze stereotypami. Toskańskie pola są nieskończone, włoscy mężczyźni przystojni, a gospodynie – rozwrzeszczane i niemówiące w żadnym innym języku.

Tak samo stereotypowa jest neapolitańska pizza, z gęstym sosem, cienkim spodem, przypalonymi brzegami i listkiem bazylii pośrodku. Tutaj, w Antica Pizzeria da Michele, Julia Roberts ewidentnie trafia na najlepszą pizzę w swoim życiu, bo wygłasza na jej temat strzelisty monolog. Deklaruje nawet, że „jest zakochana w swojej pizzy, z którą jest w związku”.

Ta jedna kwestia wystarczyła, żeby Antica Pizzeria stała się globalną marką gastronomiczną. A ponieważ lokal istnieje naprawdę, ściąga ogromną liczbę amerykańskich turystów, którzy o tutejszej kuchni wiedzą ewidentnie tyle samo, co bohaterka grana przez Julię Roberts. Widok jest kuriozalny dla niezających kontekstu, bo pod restauracją, jakich w Neapolu są dziesiątki, dzień w dzień ustawia się kolejka kilkudziesięciu osób, najczęściej z silnym zaoceanicznym akcentem, chcących „wejść w związek z pizzą”.

Odstać trzeba tam czasami trzy kwadranse, turystów to jednak nie zniechęca. A właściciele robią na tym doskonały biznes, bo Antica Pizzeria sprzedaje już nawet mrożone wersje swojej pizzy, w przystępnej dla każdego cenie 3 euro za sztukę. Trudno ocenić, czy placek nabyty w supermarkecie i odgrzany we własnym piekarniku może w sobie rozkochać, ale na pewno pozwala poczuć się jak w filmie.

Absolutnie nie warto jednak tracić tego czasu, bo Antica Pizzeria oferuje

pizzę dobrą, ale pozbawioną okołogastronomicznych walorów, takich jak gawęda z właścicielem lokalu czy zawsze ciekawa w tych stronach ekspozycja naścienna, mówiąca więcej o historii danego miejsca niż można przeczytać we wspomnianych recenzjach Google’a. Dlatego znacznie więcej o Neapolu, samej pizzy i życiu w mieście, w którym błękit Morza Tyrreńskiego, fantazje Paolo Sorrentina i szaleństwa kibiców piłkarskich przecinają się z przestępczością zorganizowaną, można się dowiedzieć w innym lokalu: Il Figlio del Presidente, czyli U Syna Prezydenta.

Clinton, prezydent i syn

Zacznijmy od tego, że skoro jest syn, musi być i ojciec. Obaj prowadzą swoje pizzerie, choć w osobnych lokalach. U kogo placek jest lepszy – to już rzecz gustu, różnice są minimalne. (I ta opinia pochodzi od kogoś, kto konsumentem pizzy jest religijnym, wieloletnim, wręcz maniackalnym, czyli ode mnie). Restauracje oddalone są od siebie o kilka minut spacerem, obie znajdują się w obrębie historycznej dzielnicy Quartieri Spagnoli. Syn ma jednak nad ojcem przewagę w rozmiarze – stolików jest nieco więcej, a zatem o miejsce łatwiej (co nie znaczy, że da się tam wejść z ulicy).

Dlaczego prezydent? Wystarczy wejść, usiąść przy drewnianym stoliku z krzaczastą białoczerwoną ceratą i rozejrzeć się po ścianach. Uwagę natychmiast przykuwa Bill Clinton na zdjęciu z właścicielem (ojcem). To zapewne historia apokryficzna, jak wszystkie tego typu – prezydent Stanów Zjednoczonych miał być gościem lokalu, arbitralnie stwierdzić, że tutejsza pizza jest najlepsza na świecie, a właścicielowi powiedział, że ten jest „prezydentem pizzy”.

Ile w tym prawdy, nie sposób stwierdzić. Zwłaszcza że Clinton w czasie swojej prezydentury uwielbiał odwiedzać przypadkowe punkty gastronomiczne (identyczna historia, także z tytułem „najlepszego na świecie”, dotyczy budki z hot-dogami na Islandii), więc mógł akurat to zdanie wypowiedzieć. Zdjęcie jest jednak prawdziwe, wisi i w lokalu ojca, i u syna. Il Figlio del Presidente to więc dowód emancypacji, wybicia się na niezależność, przy jednoczesnym poszanowaniu tradycji.

Wizyta w tym lokalu daje szansę na jeszcze jedno doświadczenie. Otóż

z właścicielem, zagorzałym kibicem piłkarskim, nie sposób – co bardzo dziwne – rozmawiać o sukcesach lokalnej drużyny. Nawet jeśli SSC Napoli wygrało w ciągu ostatnich trzech lat dwa mistrzostwa Włoch, stając się jedną z potęg na Półwyspie Apenińskim, tu dominuje fascynacja Juventusem Turyn – klubem największym w kraju, bogatym, elitarnym.

To fenomen wynikający nie ze sportu, ale z historii włoskiego rozwoju ekonomicznego. Powojenna Italia, zdewastowana przez działania militarne, szybko się industrializowała, głównie dzięki planowi Marshalla, a potem Europejskiej Wspólnocie Węgla i Stali. Kołem zamachowym ówczesnej gospodarki był turyński koncern FIAT, który masowo ściągał do siebie pracowników z ubogiego południa kraju. Wielu z nich zostało na północy, przywiązując się właśnie do Juventusu, klubu niemal zakładowego względem FIATA. Część po latach wróciła na południe, w tym do Neapolu, ale miłość do białoczerwonych barw Juventusu pozostała, stąd wybór Syna Prezydenta.

Kosmyk Boskiego Diego

Neapol w ostatnich latach zmienił się nie do poznania. Niegdyś stanowiący synonim przestępczości zorganizowanej, siedliska brutalnej mafii, dzisiaj na teje mafii doskonale zarabia – stała się ona niejako lokalnym brandem, atrakcją turystyczną. A camorra, lokalna struktura przestępcza, dawno przestała się rzucać w oczy. Nie znaczy to, że przestała istnieć. Raczej sprofesjonalizowała się, przerzuciła na inne źródła przychodu i kanały dystrybucji.

Szefowie camorry rezydują już głównie poza Włochami, w Hamburgu, Antwerpii czy Monachium. Dwa pierwsze miasta to logiczny wybór, tam są ogromne porty, ważne punkty przerzutowe dla narkotyków i innych przemycanych dóbr. Monachium to z kolei miejsce z ogromną włoską diasporą, łatwiej tu zakładać biznesy i jednocześnie niespecjalnie się przy tym wyróżniać.

A to ważne, bo kluczem działania mafii jest zdolność prania brudnych pieniędzy. We Włoszech w tej chwili o to coraz trudniej. Także dlatego, że pozostają jedynym krajem w Europie, który słowo „mafia” definiuje w swoim kodeksie karnym, co pozwala na uchwalanie całej masy szczegółowych przepisów antymafijnych, nieobecnych w Belgii czy Niemczech.



Słynny mural unieśmiertniający idola tutejszej ulicy, świeckiego świętego Diego Maradone

Bossowie camorrry nadal kontrolują handel narkotykami na ulicach Neapolu czy ich przerzut przez tutejszy port. Ale dla turystów znacznie większym zagrożeniem są wszechobecni kieszonkowcy we wspomnianych Quartieri Spagnoli. Ich liczba wzrasta proporcjonalnie do liczby przyjezdnych, a tych ostatnich jest coraz więcej, bo miasto dorobiło się nowych „zabytków”.

Miejsce pielgrzymek milionów osób z całego świata jest od kilku lat mural unieśmiertniający idola tutejszej ulicy, świeckiego świętego Diego Maradone. Wprawdzie grafika powstała jeszcze w latach 90., ale dopiero po śmierci Boskiego Diego w 2020 r. zyskała status kultowej. Do tego stopnia, że według statystyk włoskiego ministerstwa turystyki jest obecnie drugim najczęściej odwiedzanym przez turystów miejscem na całym półwyspie, ustępując jedynie rzymskiemu Koloseum.

Wokół kultu Maradony można by zbudować nawet szlak spacerowy po Neapolu. Większość lokalnych barów ma elementy scenografii jemu poświęcone. Nic jednak nie przebije lokalu o nazwie Bar Nilo, gdzie argentyńskiej gwiazdki piłkarskiej stworzono autentyczny ołtarz, którego częścią jest kosmyk czarnych włosów wiadomo kogo.

Są w Neapolu kibice, którzy do Maradony modlą się w takim samym stopniu jak do św. Januarego – tutejszego ulubionego świętego, któremu poświęcony

jest skarb wystawiony dla zwiedzających w podziemiach neapolitańskiej katedry. Co więcej, św. Januarego oferuje wiernym cud, materializujący się trzy razy do roku. Zakonserwowana w formie skrzepu krew świętego upływnia się w trakcie specjalnego nabożeństwa. Z kronikarskiego obowiązku podkreślić należy, że święty bywa kapryśny i nie zawsze w wyznaczone dni cudu dokonuje – nie zrobił tego na przykład, gdy katedrę wizytował Jan Paweł II.

Mafijny park tematyczny

Zmęczeni tłumami i nachalnymi sprzedawcami turyści mogą opuścić Quartieri Spagnoli i przejść dodatkowe pół godziny w głąb centrum miasta, do Rione Sanità. Jeszcze niedawno była to neapolitańska dzielnica biedy, zdominowana przez najniższy szczebel mafijny: wielopokoleniowe rodziny złodziejasków, mężczyźni wymuszających haracze na właścicielach restauracji i barów, dokonujących rozbojów na niewielką skalę.

Teraz jednak, wraz z exodusem mafii na przedmieścia Neapolu, a jej szefostwa za granicę, Rione Sanità ulega bardzo szybkiej gentryfikacji, oferując coś na kształt mafijnego parku tematycznego, brakuje tylko biletów. Można jednak skorzystać z popularnej platformy z najmem krótkoterminowym, wynająć sobie mieszkanie z widokiem na wciąż istniejące tu przerzucone ponad jezdnią sznury z praniem – i słuchać opowieści o lokalnych wojnach i wojenkach mafijnych.

Stałym elementem spaceru po Rione Sanità jest zejście do neapolitańskich katakumb, poświęconych, a jakże, św. Januaremu. Przewodnikami w nich są w większości młodzi neapolitańczycy, wciągnięci do pracy przez miasto w ramach programu aktywizacji młodzieży z biedniejszych, zdominowanych przez mafię dzielnic.

To akurat jeden z elementów fabuły filmu „Nostalgia” w reżyserii Mario Martonego (w Polsce pokazywanego m.in. na festiwalu Nowe Horyzonty w 2023 r.). Swoją historię opowiada tam mężczyzna, który wychował się właśnie w Rione Sanità, skąd za granicę odesłała go rodzina, przerażona widmem wpadnięcia przez niego w sidła camorrry. Od takiego losu nie uratował się jego najlepszy przyjaciel, który stał się mafijnym postrachem dzielnicy. W tle wybrzmiewa jeszcze wątek działalności księdza z tutejszej parafii, który z mafią walczy właśnie poprzez prowadzenie świetlicy środowiskowej dla najmłodszych.

Ksiądz taki naprawdę istniał, podobnie jak cała masa trudnej młodzieży, która dzisiaj oprowadza międzynarodowe grupy turystów po katakumbach. Reszta wątków w „Nostalgii” jest niestety mocno naciągana, na czele z autentycznym, wręcz surowym charakterem dzielnicy. Dzisiaj to coraz częściej właśnie plan filmowy, tło dla najmu krótkoterminowego, przestrzeń scenek odgrywanych na pokaz.

Trudno więc dziś już określić, który to jest ten „prawdziwy Neapol”. Pod wieloma względami miasto zachowuje mimo wszystko autentyczność, wizerunek rodem z książek Eleny Ferrante. Nikt tu nie wstydi się dialektu stanowiącego w praktyce oddzielny język. Ludzie nadal mają obsesję na punkcie piłki nożnej, kochają też wdawać się w dyskusje na temat historii, domniemanej kolonizacji ich ziem przez północ kraju, czy tego, kto naprawdę tworzy włoską kulturę.

Być może w tym należy szukać wrażeń, podróżując do Neapolu – w zetknięciu z tutejszymi mieszkańcami, żywym świadectwem unikatowości tych ziem. Oni są tacy sami 365 dni w roku – i w przeciwieństwie do św. Januarego nie bywają kapryśni. A w dodatku, inaczej niż w Antica Pizzeria, nie trzeba na nich czekać trzech kwadransów w kolejce na ulicy.

MATEUSZ MAZZINI



„Colbert zostaje, Trump musi odejść”
– demonstracja przed teatrem
na Broadwayu, gdzie nagrywano „Late Show”

Żarty się skończyły

Z amerykańskiej telewizji zniknie popularny program satyryczno-polityczny Stephena Colberta. Prezydent Donald Trump bardzo się z tego śmieje.

MARIUSZ ZAWADZKI

Nagrania „Late Show”, słynnego nocnego programu rozrywkowego telewizji CBS, codziennie przebiegają według ustalonego scenariusza. Już ok. godz. 15 przed nowojorskim teatrem Eda Sullivana na Broadwayu ustawiają się pierwsi kolejkowicze. To ludzie, którzy zarezerwowali w internecie darmowe wejściówki. Przychodzą tak wcześnie w nadziei, że usiądą bliżej sceny. Po mniej więcej dwóch godzinach, kiedy w ogonku stoi już ze 300 osób, otwierają się drzwi i widzowie są wpuszczani do środka. Teatr jest piękny, ale zaskakująco mały – aż trudno uwierzyć, że właśnie tutaj w 1964 r. miał miejsce pierwszy występ Beatlesów w Ameryce.

Przedstawienie, które publiczność ogląda na żywo, jest znacznie bogatsze

od tego, co po godz. 23 pokazują w telewizji. Najpierw na scenę wychodzą muzycy, którzy dają krótki koncert, po nich jakiś komik opowiada kilka żartów na rozgrzewkę, a potem kierownik planu szkoli publiczność, żeby na sygnał głośno wykazywała entuzjazm. Aż wreszcie wychodzi Stephen Colbert, siada za biurkiem, odpowiada na kilka pytań publiczności. Dopiero po tym włączają się kamery i zaczyna nagranie.

Kilka lat temu, gdy siedziałem na widowni, gościem programu był aktor Burt Reynolds. Miał już 80 lat, ale wciąż dumnie nosił jedno z najśłynniejszych wąsów Hollywood (na koniec nagrania wszyscy dostaliśmy na pamiątkę ich papierową makietę). Colbert najpierw jak zwykle wygłosił powitalny monolog polityczno-satyryczny, a potem zaprosił na scenę

Reynoldsa i rozmawiał z nim o jego nowo wydanej autobiografii. Wszystko nagrywano ciurkiem, można było program puścić na żywo bez żadnych powtórek ani przerw.

Jednak w czwartek 17 lipca 2025 r. ten niezmienny rytuał został zaburzony. Na koniec nagrania Colbert ogłosił widzom, że „teraz nagramy inną wersję powitalnego monologu”. Po czym ponownie usiadł za biurkiem i stwierdził: „Zanim zaczniemy, chciałem wam powiedzieć coś, o czym sam dowiedziałem się wczoraj wieczorem. To jest nasz ostatni sezon, telewizja CBS zakończy nasz show w maju 2026 r.”. Publiczność gwizdała z niedowierzaniem, a niektórzy nawet płakali, bo rozumieli, że kończy się pewna era w historii amerykańskiej telewizji, a może i całej Ameryki.

Colbert przejął „Late Show” w 2015 r. od Davida Lettermana, który po 33 latach przeszedł na emeryturę. Wyzwanie było ogromne – nie tylko ze względu na popularność Lettermana, lecz również dlatego, że obaj reprezentowali zgoła odmienne podejście do rozrywki. Letterman

raczej unikał polityki, najczęściej robił sobie żarty z celebrytów, których zapraszał do programu. Formuła idealnie skrojona dla masowego widza CBS, jednego z trzech wielkich amerykańskich kanałów (obok NBC i ABC), które można oglądać za darmo.

Dla odmiany Colbert przez pierwsze kilkanaście lat występował na odpłatnym kanale Comedy Central. Zaczynał jako „korespondent” w programie „The Daily Show” prowadzonym przez Jona Stewarta, pioniera gatunku satyry politycznej. Obydwaj wyśmiewali głupotę i nieudolność polityków, najczęściej Republikanów, oraz prawicową telewizję Fox News. Od 2005 r. Colbert prowadził własny autorski program: „Colbert Report”. Nie krytykował i nie wyśmiewał nikogo bezpośrednio, tylko wcielił się w fikcyjną postać – prawnicowego osozłoma, fana najróżniejszych teorii spiskowych wzorowanego na takich osobowościach telewizji Fox News jak Bill O'Reilly czy Sean Hannity. Był jeszcze bardziej karykaturalny niż oni – i niesłychanie zabawny.

Zdaniem wielu, w tym niżej podpisanego, Colbert prześcignął wtedy swojego mistrza Jona Stewarta, tzn. „Colbert Report” był zabawniejszy, ciekawszy i celniejszy w obnażaniu głupoty niż „Daily Show”. Ale przemawiał do specyficznej, niewielkiej publiczności kanału z telewizji kablowej. Co wieczór oglądało go kilkaset tysięcy widzów (a nie kilka milionów, które przyciągał przed ekrany Letterman).

Przejście z elitarnej niszy do mainstreamu faktycznie okazało się dla Colberta trudne – w pierwszym roku w „Late Show” unikał polityki, co sprawiało, że program był nudnawy i miał słabą oglądalność. Ale poszczęściło mu się. W 2016 r. pojawił się kandydat Donald Trump – wtedy Colbert siłą rzeczy wrócił do satyry politycznej, w której czuje się najlepiej. W rankingach oglądalności wyprzedził rywali z pozostałych dwóch telewizji naziemnych i utrzymuje pozycję lidera od dziewięciu lat. W drugim kwartale 2025 r. jego „Late Show” oglądało średnio 2,4 mln widzów, tymczasem Jimmy'ego Kimmela w ABC – 1,8 mln, a Jimmy'ego Fallona i Setha Meyersa w NBC – po milionie.

Sukces Colberta jest więc niepodważalny, ale też ma swoją cenę. Gdyby wypytać widzów pamiętających „Colbert Report”, to większość powiedziałaaby

zapewne, że tamten program był lepszy i dużo oryginalniejszy.

Jeśli Colbert w czymś zdecydowanie przewyższa konkurencję, to w tych momentach, kiedy przestaje żartować i zaczyna ze swoimi gośćmi mówić o cierpieniu, tragedii, przemijaniu i umieraniu. To zdarza mu się tylko raz na kilka miesięcy, ale wtedy wznosi się na taki poziom mądrości, człowieczeństwa i autentyczności, jaki bardzo rzadko można zobaczyć w telewizji. Przyczyną jest katastrofa, która w 1974 r. zdarzyła się w Charlotte, rodzinnym mieście Colberta. W samolocie, który rozbił się przy lądowaniu, zginęli jego ojciec i dwaj bracia. Miał wówczas 10 lat i został praktycznie sam z matką, bo pozostali bracia i siostry byli już dorośli (był najmłodszym, 11. dzieckiem w rodzinie).

Jakim cudem chłopiec dotknięty taką tragedią wyrósł na czołowego satyryka Ameryki? Colbert, praktykujący katolik, kilka razy odpowiadał na to pytanie: „Po katastrofie mama mnie nauczyla, żeby być wdzięcznym za to, co kiedyś mieliśmy, i za to, co nam zostało. A wiele lat później zrozumiałem, że kocham w życiu nawet te rzeczy, które bardzo chciałbym, żeby się nie zdarzyły. (...) Życie jest darem, a jego nieodłączną częścią jest cierpienie. Musisz je pokochać w całości”.

Kiedy Colbert ogłosił, że „Late Show” zniknie z ekranu, szefowie CBS wydali oświadczenie, że przyczyną tej decyzji są wyłącznie finansowe. Potem nieoficjalnie mówili dziennikarzom, że program przynosił straty rzędu 40 mln rocznie. Jednak zaraz dodawali, że nie obwiniają za to Colberta, z którego są rzekomo bardzo zadowoleni. Po prostu świat mediów się zmienia, telewizja traci widzów na rzecz internetu. Jeszcze w 2018 r. nocne programy rozrywkowe wszystkich telewizji łącznie zarobiły na reklamach 440 mln dol., w 2024 r. – dokładnie połowę. Mało kto wierzy w to wyjaśnienie. Lepszym tropem wydaje się wpis prezydenta Trumpa w internecie: „Jestem absolutnie zachwycony tym, że Colbert został zwolniony. Talentu ma on jeszcze mniej niż widzów”. Trump wiele razy domagał się skasowania komika, który kpi z niego niemiłosiernie od lat.

Ostatnio Colbert wyśmiewał władze Paramount, wytwórni filmowej, która jest właścicielem telewizji CBS – czyli swoich szefów! – że zgodzili się wypłacić Trumpowi 16 mln dol. „odszkodowania” za ubiegłoroczny, rzekomo zmanipulowany wywiad z Kamalą Harris. CBS pokazała dwie

wersje tego wywiadu – i w jednej z nich skrócono bełkotliwą odpowiedź kandydatki Demokratów na pytanie o Izrael.

W rezultacie Trump stwierdził, że CBS chroniła jego rywalkę, i zażądał 20 mld dol. odszkodowania. Według ekspertów pozew przeciw Paramount był absurdalny i bez szans, bo skracanie wywiadów – żeby zmieścić się w ramach czasowych – jest normą. Mimo to wytwórnia zgodziła się zapłacić Trumpowi, żeby zamknąć sprawę. Colbert nazwał to „wielką, tłustą łapówką”.

„Kilka dni temu krytykował szefów, dziś jest zwolniony. Wierzcie, że to przypadek?” – pytał senator Bernie Sanders. Ale w Ameryce satyrycy często krytykują szefów; Letterman nazywał swoich „idiotami”, „korporacyjnymi szczerami” itd. Było to tolerowane, bo – jak wyjaśnia Rick Ludwin, kiedyś kierownik programowy w NBC – zwiększało oglądalność: „Widzowie to kochają, bo sami chcieliby móc tak wygarnąć swoim szefom”. Może zatem, jak sugerował Colbert, chodzi jednak o łapówkę? A on sam, a ściślej mówiąc jego głowa, jest jej drugą częścią?

W 2024 r. roku wytwórnie filmowe Paramount i Skydance postanowiły się połączyć. Pierwsza ma ponadstuletnią tradycję, druga – wielkie pieniądze. Założył ją w 2006 r. David Ellison, syn Larry'ego Ellisona, twórcy firmy Oracle, która specjalizuje się w bazach danych. Obecnie Larry Ellison jest drugi na liście najbogatszych ludzi świata z majątkiem 300 mld dol. Jest też właścicielem m.in. szóstej co do wielkości wyspy Hawajów o powierzchni 36 tys. ha.

Jednak do połączenia firm same pieniądze nie wystarczyły. Musiało zostać zatwierdzone przez federalną komisję ds. łączności. I w związku z tym doszło do następującej serii wydarzeń: pod koniec czerwca Ellison kilka razy był w Białym Domu i rozmawiał z Trumpem w cztery oczy; 2 lipca Paramount zgodziła się wypłacić Trumpowi 16 mln dol. odszkodowania; 17 lipca usłyszeliśmy, że Paramount zwalnia Colberta; 25 lipca komisja ds. łączności wyraziła zgodę na fuzję. A to chyba nie koniec, bo Ellison jest również zainteresowany przejęciem TikToka (niedawno Kongres zdecydował, że chiński właściciel ByteDance musi sprzedać udziały, inaczej portal zostanie zablokowany w Stanach Zjednoczonych). Jeśli mu się uda, stworzy największe imperium medialne w historii. ■

Dyskretne miliardy

Najmłodszym miliarderem świata nieprzypadkowo został Niemiec. Podobnych mu za naszą zachodnią granicą jest coraz więcej. I coraz bardziej boją się o swoje majątki.

MARK ORZECOWSKI Z BADEN-BADEN

Wielka fortuna (5 mld euro) nie spadła Johannesowi von Baumbachowi z nieba. Nie zdobył jej również wytrwała praca ani spekulacjami na giełdzie. Miliardy, które zapewnią mu beztrudne życie, wypracowali jego przodkowie. W Niemczech zdarza się to ostatnio coraz częściej. Stara generacja pionierów gospodarki i finansów odchodzi. Organizacja humanitarna Oxfam wyliczyła, że na świecie już 36 proc. majątku miliarderów pochodzi ze spadków. W Niemczech jest to 71 proc.

Młody Johannes nie jest jedynym spadkobiercą fortuny rodziny Baumbach (w sumie 50 mld euro), właścicieli wielkiego koncernu farmaceutycznego Boehringer Ingelheim. Po równo podzielili się nią również 27-letni Maximilian, 25-letnia Katharina i 23-letni Franz, rodzeństwo Johannes. W jego przypadku podchwyconą przez media sensacją jest wiek – rzadko kiedy fortuny trafiają bowiem do licealisty. O swoich miliardach dowiedział się podczas zimowych wakacji w Alpach. I nawet nie przerwał szusowania. Łatwo przyszło...

Rozmnożeni milionerzy

Niemcy kojarzą się z samochodami, chemią gospodarczą, pralkami, kuchniami, zmywarkami. Ale już niekoniecznie z miliarderami. Takich spodziewamy się raczej w Stanach Zjednoczonych, Szwajcarii czy Arabii Saudyjskiej. Znamy też nazwy niemieckich wielkich koncernów, jak Siemens, Thyssen, Krupp, Volkswagen, Miele, Lidl. Jednak nie dostrzegamy ich właścicieli, nawet nie podejrzewamy, że stoją za nimi konkretni ludzie, najczęściej bogate rodzinne klany, od dekad będące ich właścicielami.

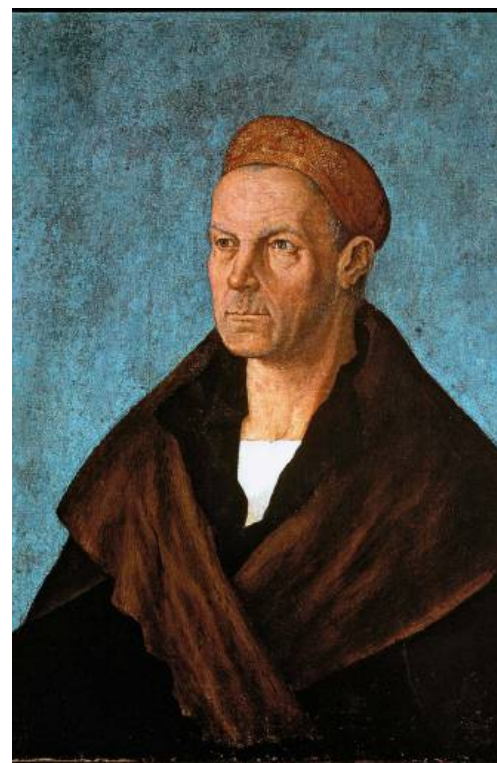
Właścicielem Lidla jest najbogatszy Niemiec Dieter Schwarz, którego majątek szacuje się na 40 mld euro. Od podobnych

mu bogaczy roi się w Hamburgu, Monachium, we Frankfurcie czy Baden-Baden. W tym ostatnim na jednego mieszkańca przypada najwięcej luksusowych aut, supersklepów najlepszych światowych marek, najbogatszych klientów i właścicieli zabytkowych willi.

W Niemczech nigdy nie brakowało majątnych ludzi. Za najbogatszego człowieka w historii świata uchodzi przecież mieszkaniec Augsburga Jakob Fugger, kupiec i bankier, który na przełomie XV i XVI w. utrzymywał europejskie dwory i finansował ich wojny. Ale miał też dobre serce – w 1516 r. wybudował dla biednych pierwsze w świecie „socjalne osiedle” z 67 domami, w których roczny czynsz wynosił równowartość jednego euro. A byli też Rothschild, Krupp, Henckel, Thyssen...

Reszta Niemców ma do nich co najmniej dwuznaczny stosunek. Z jednej strony są dumni z potęgi niemieckiej gospodarki i eksportu. Z drugiej wielu się obawia, że prędzej czy później ci najbogatsi zyskają przemożny wpływ na państwo i politykę, co w przeszłości już kilka razy się zdarzyło. Jak choćby niedawna historia pochodzącego z westfalskiej prowincji 19-letniego Larsa Windhorsta, który na początku lat 90. potrafił oczarować nie tylko banki, ale i kanclerza Helmuta Kohla. Stał się ulubieńcem mediów i polityków przekonanych, że jest przykładem nowej generacji Niemców zdolnych zająć świat. Zauroczenie trwało jednak dopóty, dopóki banki nie dostrzegły, że ze swoimi milionami biorą udział w dmuchaniu balonu. I wówczas już nawet znajomość z kanclerzem nie pomogła, upadek był bolesny i ujawnił kompromitującą prawdę o młodym prestidigitatorze i jego patronach.

Windhorst nie załapałby się już do grona niemieckich superbogaczy. Za tych uchodzą dziś nad Łabą ci, których zasoby są większe niż 100 mln euro. Ich grono



Od lewej: bankier Jakob Fugger (1459–1525), prawdopodobnie najbogatszy człowiek w dziejach. Do milionerów zalicza się też kanclerz Friedrich Merz.

systematycznie rośnie i właśnie zbliża się do 4 tys. Mimo kryzysów, inflacji, trwającej recesji i kłopotów gospodarki pączkuje również grupa „zwykłych” milionerów, których portfele wypełnia kilka-kilkanaście milionów – takich w Niemczech tylko w 2024 r. przybyło blisko 70 tys. (wg szacunków jest już ich blisko milion).

Wartość majątków wszystkich Niemców wyceniana jest na ok. 20 bln euro, z czego 3 bln znajdują się w rękach superbogaczy. Rok 2024 był dla nich niezwykle korzystny, majątek urósł im o 16 proc., czyli o 70 mln euro każdego dnia. Skąd ten przyływ bogactwa? Przede wszystkim z giełdowych zysków, ze wzrostu cen akcji na światowych giełdach. Coraz rzadziej z rozwijania własnych innowacyjnych biznesów.

Mają dużo, dają mało

Przybywa zatem bogatych Niemców i siłą rzeczy rośnie ich wpływ na politykę. Kanclerz Friedrich Merz także jest milionerem, i to nie „spadkowym”. Czy to źle? Wielu w Niemczech uważa, że bardzo źle. Według niemieckiego oddziału Oxfamu w ostatnim czasie bardzo szybko rosną tu nierówności majątkowe. Zdaniem szefa tej



organizacji Manuela Schmitta jest to skutkiem niesprawiedliwej polityki fiskalnej: „Superbogaci płacą w Niemczech o wiele mniejsze podatki i są mniej fiskalnie obciążeni niż średnia klasa”. Schmitt oczekuje, że nowy rząd opodatkuje wreszcie majątek bogatych, bo – jak twierdzi – nawet niewielka stopa podatkowa nałożona na nich pomogłaby rozwiązać wiele pilnych problemów społecznych.

Schmitt nie jest tu osamotniony. Wsparcie dla pomysłu wyższego opodatkowania superbogatych Niemców przychodzi również ze strony... niektórych superbogatych Niemców. Kilkudziesięciu z nich podpisało się pod wzywającym do tego listem otwartym ogłoszonym podczas ostatniego forum ekonomicznego w Davos. List nie zrobił wielkiego wrażenia w samych Niemczech. Co więcej, oskarżono superbogaczy o cynizm – wręcz o próbę zalegalizowania swoich wpływów politycznych za cenę nieco wyższych podatków. W kraju o tak wielkiej socjalistycznej tradycji walki z nierównościami społecznymi i burżuazyjnym bogactwem nie brakuje chętnych, którzy opróżniliby im sejfy.

Najbardziej radykalni przedstawiciele lewicy mają prostą receptę – w Niemczech

w ogóle nie powinno być superbogaczy. Trzeba ich zmusić podatkami do podzielenia się majątkiem, a zdobyte tak pieniądze przeznaczyć na rozwój kulejącej oświaty i komunikacji publicznej. No i należy zwielokrotnić podatek od spadków, a także wprowadzić specjalne stopy podatkowe od wysokich dochodów – kto zarabia ponad 250 tys. euro (więcej niż 1 mln zł) rocznie, od tego „ponad” powinien płacić 60 proc. podatku, kto zarabia ponad 1 mln euro – 75 proc.

Problem polega na tym, że w Niemczech zaciął się cały mechanizm redystrybucji dochodów i proste dosypywanie pieniędzy niewiele już pomoże. Roczne wydatki socjalne, w których finansowaniu superbogaci Niemcy nie mają znaczącego udziału, to już ponad 1,25 bln euro rocznie (5,4 bln zł), czyli 30 proc. PKB. W dodatku dominujące w tej puli bezpośrednie świadczenia (rodziny w Niemczech kasują dziś 20 mld euro socjału więcej niż przed pięcioma laty), często zresztą nadużywane, są politycznie zabetonowane – kolejne rządy boją się ich dotknąć.

Wydatki te z roku na rok rosną i nie tylko rujną budżet, lecz także trzymają część beneficjentów z dala od rynku pracy,

a wielu grupom przestępczym stwarzają okazję do nadużyć na wielką skalę. A co najważniejsze, zdaniem większości niemieckich ekonomistów nie niwelują nierówności społecznych ani nie zmniejszają różnic w szansach awansu społecznego. Przeciwnie, jakby na przekór temu olbrzymiemu wysiłkowi państwa przepaść między bogatymi a biednymi stale rośnie, co widać w statystykach. Dziś już 10 proc. dobrze sytuowanych Niemców dysponuje 60 proc. niemieckiego bogactwa. Biedniejsza połowa – 2,3 proc.

Problemem nie są tylko pieniądze. Kuleje cały system, który od lat nie jest w stanie rzetelnie określić i rozwiązać problemów, jakie stwarza wzrost liczby potrzebujących. Bogatych Niemców nie brakuje. Samo państwo też jest bogate, ale po drodze zgubiło gdzieś sens wsparcia socjalnego, które miało być wyjątkiem – i to tylko chwilowym – a stało się dla milionów regułą.

Nikogo na świeczniku

Może dlatego tak trudno wciąż spotkać niemieckiego superbogacza? Zachowują się tak, jakby nie wierzyli, że niemieckie państwo jest jeszcze w stanie skutecznie wykorzystać ich pieniądze. Jak zwrócił ostatnio uwagę dziennik „Frankfurter Allgemeine Zeitung”, woła zejść z widoku public, która w przypływie zapału mogłaby zażądać od swoich politycznych przedstawicieli radykalnych działań zgodnych z postulatami skrajnej lewicy.

Niemieccy superbogacze przeważnie nie obnoszą się więc z majątkiem, bardzo pilnują swojej prywatności. A są w tym tak skuteczni, że niemiecka redakcja „Forbesa” zмага się wciąż z pozwami i ostrzeżeniami ze strony kancelarii prawniczych blokujących ujawnianie bogactwa swoich dyskretnych klientów. W rezultacie na do rocznych listach magazynu brakuje wielu tych, którzy na nią zasługują.

Bogaci Niemcy, zupełnie inaczej niż ich odpowiednicy we Francji, w Polsce czy USA, unikają rozgłosu, nie są celebrytami, nie potrzebują pudelkowych komentarzy ani sławy. Żyją za murami dobrze strzeżonych domów, a wolny czas spędzają we własnym gronie z dala od ciekawskich tłumów. W większości hołdują wciąż starej kulturze wstrzemięźliwości pionierów gospodarki i pogardzają chępiactwem bogactwem nuworyszami. Wyznają starą niemiecką zasadę: wielkie pieniądze lubią ciszę. ■

Homo fermentus

Jak alkohol i kiszonki namieszały w naszej ewolucji biologicznej, kulturowo-społecznej, a nawet duchowej.



Gryń

ILUSTRACJA MIROSŁAW GRYŃ

W

edług Richarda Wranghama, antropologa z Uniwersytetu Harvarda, opanowanie ognia to kamień milowy ludzkiej ewolucji. Gotowanie – jak przekonuje

– zmieniło nie tylko sposób odżywiania, ale skracając czas trawienia, zwiększyło też dostępność kalorii i mikrośladników, dzięki czemu mózg *Homo* zaczął rosnąć. Problem polega na tym, że najstarsze ślady tej umiejętności są datowane na 1,5 mln lat, tymczasem prawdziwy skok encefalizacji (wzrostu mózgu w stosunku do masy ciała) zaczął się ok. 2 mln lat temu wraz z pojawieniem się *Homo erectus*. Być może znajdziemy jeszcze starsze dowody opanowania ognia. Jeśli nie, oznaczać to będzie, że na wzrost mózgu musiało wpłynąć coś innego, zapewne jakaś inna metoda wstępnego przetwarzania pożywienia. Zgodnie z koncepcją *behavioral drive*, czyli napędu behawioralnego, zmiana zachowania zazwyczaj wyprzedza bowiem adaptacje anatomiczne i genetyczne.

Miękka bulwa

Najnowsze analizy izotopów stabilnych w szkliwie zębów homininów z Afryki Wschodniej wykazały, że zmiana strategii żywienia nastąpiła długo przed zmianami morfologicznymi w szczękach. I nie chodziło o spożywanie mięsa. Co prawda australopiteki na stanowisku Dikika w Etiopii wydobywały szpik z kości długich antylop już 4 mln lat temu, a na stanowisku Kanjera w Kenii – 2 mln lat później, ale badacze sugerują, że homininy te bardziej niż mięsem interesowały się pożywym szpikiem i mózgami z padliny. Mogły też żywić się larwami much, które leżały na popstym mięsie (badacze z Forensic Anthropology Center w Tennessee przekonują, że to właśnie one, a nie nadmiar mięsa w diecie neandertalczyków z jaskiń w Belgii windował w kolagenie ich kości wartości izotopu azotu, wskazujące na ich hipermięsożerność). Jednak skład izotopowy szkliwa zębów homininów żyjących 2 mln lat temu dowodził, że podstawą ich diety były rośliny.

Pierwotnie australopiteki jadły to, co małpy człekokształtne: owoce oraz młode liście, pędy i korzonki roślin typu C3, u których pierwszym produktem wiązania dwutlenku węgla w wyniku fotosyntezy jest związek trójwęglowy. Najnowsze analizy zespołu Luke'a D. Fannina z Dartmouth College wykazały jednak, że ok. 3,8 mln lat temu, gdy lasy ustąpiły miejsca bardziej otwartym krajobrazom sawannowym, część naszych przodków przerzuciła się na rośliny typu C4, jak trawy i turzycy. Zawierają mało przyswajalnych kalorii i są trudniejsze do strawienia, ponieważ składają się z nierozpuszczalnych włókien, a znajdująca się w nich krzemionka silnie ściera szkliwo. Zęby i układ pokarmowy australopiteków nie były do nich przystosowane, dlatego dawne istoty musiały selekcjonować części jadalne, wybierając młode liście i pędy, a przede wszystkim bulwy i kłącza.

Jednak ok. 2,3 mln lat temu homininy wróciły do roślin C3, zwłaszcza do ich wysokokalorycznych, dostępnych również w sezonach suszy bulw. Autorzy badań w artykule w lipcowym „Science” podkreślają, że mniej więcej zbiega się to z powiększaniem mózgu i zębów trzonowych, co oznacza,

że procesy te były wynikiem wprowadzenia pożywnych i bardziej miękkich produktów.

Ryzykowna hipoteza

Jakich sposobów mogły używać homininy, by uczynić bulwy łatwiejszymi do spożycia, jeśli by nie znały jeszcze ognia? Być może sięgały po inną, prostszą i bardziej naturalną strategię, jaką jest fermentacja. Proces ten, zachodzący w roślinach pod wpływem działania drobnoustrojów, zmiękcza pokarm, zwiększa biodostępność składników odżywczych i poprawia wchłanianie mikroelementów. Hipoteza fermentacji zewnętrznej (*external fermentation hypothesis*) zakłada, że nasi praprzodkowie mogli wykorzystywać ją do wstępnego rozkładu pokarmu. Brzmi dość ryzykownie, bo kışzonki nie zapewniają takich samych korzyści energetycznych jak gotowane bulwy, mimo to – według Katherine L. Bryant, Christi Hansen i Erin E. Hecht – należy ją brać pod uwagę.

Te trzy amerykańskie badaczki twierdzą, że spożywanie kışzonek umożliwiło u rodzaju *Homo* redukcję jelita grubego. U innych naczelnych i ssaków roślinożernych to ono odpowiada za trawienie i przyswajanie kalorii (u przeżuwaczy nawet do 80 proc.), ale u praludzi procesy fermentacyjne przejęło jelito cienkie, gdy zaczęły spożywać pokarmy łatwiej przyswajalne, takie jak rośliny wcześniej przetworzone przez bakterie i drożdże. W zmianach anatomicznych nie mniej ważną rolę jak ogień mogła zatem odgrywać też fermentacja.

Pijana małpa

Najprawdopodobniej wszystko zaczęło się od przejrzalnych owoców, które zawierają alkohol etylowy w niskim stężeniu (0,5–2 proc.). Wystarczyło je podnieść i zjeść, by poczuć się nasyconym i na lekkim rauszu. Te efekty fermentacji docenia przecież wiele gatunków naczelnych. Celowe spożywanie nadpsutych owoców przez małpy nazywa się z angielska *scrumpingiem* (od archaicznego słowa oznaczającego „kradzież opadłych jabłek z cudzego sadu”).

Potwierdzałoby to hipotezę pijanej małpy (*drunken monkey hypothesis*), według której skłonność do spożywania sfermentowanych owoców była po prostu korzystna. U wspólnego przodka afrykańskich małp doszło do mutacji w genie ADH4, kodującym enzym dehydrogenazy alkoholowej, dzięki czemu mógł on 40-krotnie skuteczniej rozkładać etanol niż u innych naczelnych. Możliwość bezpiecznego konsumowania sfermentowanych owoców stanowiła pewną przewagę ewolucyjną, bo *scrumping* dostarczał kalorii z cukrów i etanolu, pozwalał też uniknąć wspinaczki po drzewach i konkurencji z małpami nadrzewnymi, jadającymi chętniej niedojrzałe owoce. Był to zatem rodzaj niszy ekologicznej dla części wielkich małp, wpływający być może również na ich życie społeczne, bo – jak czytamy w lipcowym „BioScience” – naczelne dzielą się sfermentowanymi owocami. Biolog ewolucyjny Nathaniel Dominy pisze, że *scrumping* może okazać się nie tylko ciekawostką etologiczną, lecz także kluczem do zrozumienia, jak dieta i zachowania społeczne kształtowały ewolucję naszych przodków.

Swoją drogą, według niektórych naukowców alkohol – obniżający poziom lęku, rozluźniający i zwiększający gotowość ▶

► do kontaktu z innymi – stanowił jedną z sił napędowych rozwoju cywilizacji. Edward Slingerland, kanadyjski filozof i historyk idei z Uniwersytetu Kolumbii Brytyjskiej, przekonuje, że umiarkowane spożycie alkoholu pełniło ważną funkcję adaptacyjną, pomagając ludziom się integrować, ufać sobie nawzajem i współpracować w coraz większych grupach. Patrick E. McGovern, antropolog z Muzeum Uniwersytetu Pensylwanii, twierdzi wręcz, że ludzie zaczęli uprawiać rośliny, by produkować alkohol, a nie chleb (*beer before bread*). Mało kto się z nim zgadza, ale pewne jest, że korzenie wspólnotowego odmienniania stanów świadomości mogą sięgać czasów sprzed opanowania ognia. Z tym że ci, których natura nie obdarzyła mutacją w genie ADHD, sięgali po inne używki, a ci, którzy alkohol lepiej tolerowali, mogli rozwinąć skrzydła, gdy uzyskał płynną formę i stał się mocniejszy. Szkopuł w tym, że pierwsze znane ślady produkcji wina i piwa nie są aż tak stare.

W jaskini Raqefet w Izraelu badacze znaleźli liczące 13 tys. lat resztki miazgi sfermentowanych zbóż, bulw i trzcin, z której prawdopodobnie przygotowywano napój przypominający piwo. Co ciekawe, odkryto go w zagłębieniach przy grobach, co sugeruje, że „prapiwa” używano podczas pogrzebów, być może do budowania wspólnoty w obliczu śmierci. Najstarsze znane ślady produkcji wina pochodzą natomiast z Gruzji i datowane są zaledwie na 8 tys. lat.

Kwaśna miłość

W przeciwieństwie do gotowania fermentacja nie wymagała żadnych specjalnych umiejętności ani narzędzi. Kiszzenie roślin to jedna z najstarszych i najbardziej rozpowszechnionych kulinarnych sztuczek człowieka. Dziś kojarzy się z ogórkami w słoikach, ale w przeszłości wystarczyło zebrać owoce, liście czy bulwy, umieścić je w dole wyłożonym skórą lub w wydżonym pniu albo zanurzyć w wodzie w pęcherzu zwierzęcym lub skórzanym bukłaku i zostawić na jakiś czas. Zabieg był prosty, bezpieczny i tani, ponieważ w odpowiednich warunkach bakterie i drożdże robiły swoje: zmieniały smak, strukturę i wartość odżywczą pożywienia. Takie „nadpsute” jedzenie można długo przechowywać. Było pożywne i zdrowe, zwiększając wchłanianie witamin z grupy B, żelaza czy cynku. Korzystnie wpływało też na trawienie i mikrobiotę jelit.

Kiszono na całym świecie: Ajnowie na Hokkaido – żółędzie, liście roślin leczniczych i korzenie w przechowanych pod ziemią workach ze skóry; ludy w Amazonii i Oceanii – maniok; w Afryce Wschodniej – dzikie sorgo. Etnografowie opisują te praktyki jako zaskakująco wyrafinowane, ponieważ fermentacja była celowo prowokowana, nadzorowana i powtarzana zgodnie z porami roku i miejscową wiedzą przekazywaną ustnie.

Fermentacji poddawano nie tylko warzywa. Inuici w dołach wyłożonych skórą fok konserwowali ryby metodą fermentacji beztlenowej. Łowcy-zbieracze ze stanowiska Norje Sunnansund w Szwecji 9,2 tys. lat temu zakopywali w ziemi leszcze, by uległy kontrolowanemu rozkładowi. W surowym klimacie północy, gdzie trudno było o roślinne źródła błonnika, cukrów i mikroelementów, aby uzupełnić niedobory witamin i enzymów, sięgano po treść żołądków upolowanych zwierząt: w paleolicie – mamutów, a w czasach historycznych – karibu czy fok. Zjadano mięso i częściowo strawione rośliny zalegające w żwaczku, gdzie zachodziła naturalna fermentacja wewnętrzna. Brzmi drastycznie, ale był to sprytny sposób na przetrwanie bez soli i warzywnika.

Wielkie cywilizacje nadrzeczne nie musiały uciekać się do takich trików, bo miały do dyspozycji mnóstwo roślin. W Mezopotamii badacze zidentyfikowali w naczyniach ślady solonych i fermentowanych ogórków i dyni sprzed ok. 4,4–4 tys. lat. Kiszonki były częścią codziennej diety mieszkańców miast sumeryjskich, a z tekstów na tabliczkach klinowych wiemy, że polecano je jako lekarstwa na trawienie. Egipcjanie kisili cebule i pory w zakopanych glinianych dzbanach. Ślady fermentacji roślinnych osadów są też na ściankach naczyń z miast Harappa i Mohendżo Daro w Indiach. W Chinach tradycje kiszenia kapusty, rzepy, bambusa i gorczycy sięgają ponad 4 tys. lat, co potwierdzają źródła pisane oraz osady po *suān cài* – „kwaśnej zieleninie”, powstającej przez zalanie warzyw solanką i przechowywanie w zamkniętych glinianych naczyniach – dokładnie tak, jak robi się to do dziś na wsiach. Podobnie w Korei, gdzie kimchi z rzodkwi, liści i łodyg miało dawniej kwaśno-słony smak i stało się pikantne dopiero w XVII w., gdy z Ameryki dotarło chili.

Antyk też kochał kiszonki. Doceniano ich prozdrowotne działanie (o czym pisali Hipokrates i Galen) i smak, co wiemy z pozostałości archeologicznych oraz z traktatu agronomicznego Kolumeli z I w., w którym pojawiają się przepisy na kiszzenie kapusty i kalafiorów, niemal identyczne ze współczesnymi. Antyczni Grecy i Rzymianie robili też słynne *garum* – aromatyczny sos rybny, powstający z długo fermentujących w specjalnych basenach resztek rybnych zmieszanych z solą. Przyprawa ta była sposobem na przedłużenie trwałości białka w ciepłym klimacie.

Kiszone dziedzictwo

Wspólnym mianownikiem tych praktyk była chęć uczynienia pokarmu bardziej przyswajalnym, bezpiecznym i trwałym. Fermentacja stanowiła też sposób na budowanie więzi społecznych, stanowiąc rodzaj globalnej strategii przetrwania – być może jednym z najstarszych przykładów „cywilizowania” pożywienia. Zakwaszone rośliny pojawiają się w tropikach i na północy, u rolników i łowców-zbieraczy, w świątyniach i ziemiankach.

Fermentacja nie wymagała ognia, tylko zrozumienia cykli natury i cierpliwości. Kiszonki mogły być oprócz suszenia na słońcu i zamrażania w lodzie jednym z pierwszych sposobów na ujarzmienie czasu – pozwalały zachować nadmiar jedzenia z sezonu urodzaju na czas głodu, dając poczucie kontroli nad chaosem przyrody. Nic dziwnego, że u Bantu w Afryce, Jorubów w Nigerii czy ludów Amazonii stanowiły one część rytuałów inicjacyjnych i pogrzebowych.

I właśnie dlatego przetrwały takie symbole domowego przetwórstwa jak nasza kiszona kapusta czy ogórki, śródziemnomorskie oliwki, żydowskie pikle. Co ciekawe, to właśnie dziś – w epoce probiotyków, diet roślinnych i mikrobiomu – kiszonki przeżywają swój wielki powrót. Są uznawane za *superfood* wspomagający odporność, trawienie i zdrowie psychiczne. W Korei Południowej działa World Institute of Kimchi – rządowy instytut badawczy powstały w 2010 r., który zajmuje się wyłącznie tym rodzajem pożywienia. A państwo finansuje jej promocję jako kulinarnego dziedzictwa i zdrowotnego eksportowego hitu. Tymczasem na Zachodzie trwa moda na kiszzenie wszystkiego – od cytryn po rzodkiewki, od kalafiorów po grzyby. Jakbyśmy podświadomie wracali do praktyk starszych niż ogień – i tak samo genialnych w swojej prostocie.

AGNIESZKA KRZEMIŃSKA

Gdy śledztwo sięga DNA



Popularne seriale true crime stworzyły wyidealizowany obraz kryminalistyki. W rzeczywistości testy genetyczne nie zawsze przesądzą o winie.

KAMIL NADOLSKI

Wyobraźmy sobie, że podejrzamy na stację paliw, wkładamy pistolet dystrybutora do wlewu, tankujemy, płacimy i odjeżdżamy. Za chwilę tej samej pompy używa mężczyzna, który zaraz po napełnieniu baku pojedzie w ustronne miejsce, by dokonać brutalnego morderstwa. Na narzędziu zbrodni obok materiału genetycznego sprawcy i ofiary technicy kryminalistyki znajdują jeszcze jeden, niepasujący do nikogo profil DNA. Nasz. Komórki naskórka pozostawione przez nas na zimnym metalu pistoletu rozpoczęły własną niekontrolowaną

podróż, którą zakończyły na miejscu zbrodni, przeniesione tam przez samego zabójcę. My zaś, nieświadomi niczego, trafiamy do grona głównych podejrzanych. Scenariusz rodem z filmu? Niekoniecznie. To realne ryzyko, które naukowcy nazywają „transferem wtórnym” (*secondary transfer*) i które każe dziś na nowo ocenić rolę dowodów DNA w sądzie.

Tragiczna pomyłka

Podobna sytuacja do tej opisaney powyżej przydarzyła się w 2012 r. Lukisowi Andersonowi, młodemu mężczyźnie z Kalifornii. Jego życie rozsypało się w jednej chwili. Został aresztowany i oskarżony o zamordowanie milionera Ravesha

Kumry. Dowód wydawał się nie do podważenia – profil DNA Andersona znaleziono na paznokciach ofiary. Dla prokuratury sprawa była jasna – ślad wprost wskazywał na sprawcę. Anderson protestował, twierdząc, że jest niewinny, ale jego tłumaczenia brzmiały jak desperacka próba obrony. Miał jednak żelazne alibi: w momencie popełnienia zbrodni znajdował się – z powodu upojenia alkoholowego – pod opieką medyków w szpitalu, a jego pobyt został skrupulatnie udokumentowany.

Jakim cudem jego DNA znalazło się więc na ciele ofiary oddalanej o wiele kilometrów? Okazało się, że ci sami ratownicy medyczni, którzy kilka godzin wcześniej udzielali pomocy Andersonowi, zostali później wezwani na miejsce zbrodni. Nieświadomie, na swoim sprzęcie lub ubraniu, przenieśli materiał genetyczny jednego człowieka na ciało drugiego. Anderson został oczyszczony z zarzutów, choć spędził kilka miesięcy w areszcie. ►

► Znacznie dłużej, bo aż dziewięć lat, za kratkami przesiedział Emanuel Fair, młody Afroamerykanin oskarżony w 2008 r. o brutalny gwałt i zamordowanie inżynierki Arpany Jinagi. Kobieta zginęła tuż po imprezie halloweenowej, na której bawiła się wraz z oskarżonym. Dowodem w sprawie było jego DNA na szczoteczce do zębów w łazience ofiary. Nie odnaleziono jednak materiału genetycznego Faira ani na ciele zamordowanej, ani na narzędziach zbrodni, ani w innych kluczowych miejscach. W 2018 r. eksperci zakwestionowali wagę dowodu DNA, tłumacząc, że ślady na szczoteczce mogły być skutkiem transferu wtórnego, np. poprzez wspólne ręczniki, dotyk innych osób lub przypadkowy kontakt w ciasnym mieszkaniu.

W ostatnich latach takich przypadków ujawniono kilkadziesiąt. Najsłynniejsza medialna sprawa dotyczyła oskarżenia amerykańskiej studentki Amandy Knox o zabójstwo swojej koleżanki Meredith Kercher (2007 r.). Okazało się, że DNA tej pierwszej oraz jej ówczesnego chłopaka na miejsce zbrodni przenieśli sami pracownicy techniczni. Czy zatem testy DNA, powszechnie uważane za złoty standard kryminalistyki, zawsze wyznaczają prawdę? – *Dziś ważniejszym pytaniem od tego, z czym DNA mamy do czynienia, jest to, jak znalazło się na miejscu zbrodni. Bez odpowiedzi na to drugie samo dopasowanie profilu może prowadzić do tragicznych pomyłek* – ostrzega prof. Ruth Morgan, dyrektorka Centre for the Forensic Sciences przy University College London.

Nieoczywista rewolucja

Zanim pojawiły się wątpliwości, była rewolucja. Prawdziwa i dająca ogromną nadzieję. Aby zrozumieć jej skalę, musimy cofnąć się do lat 80. XX w., do hrabstwa Leicestershire w Anglii. Miejscową społecznością wstrząsnęła śmierć dwóch nastolatków, Lyndy Mann i Dawn Ashworth, brutalnie zgwałconych i zamordowanych. Mimo intensywnego śledztwa policja błędziła po omacku. Co prawda aresztowano 17-letniego pracownika szpitalnego Richarda Bucklanda, który przyznał się do winy w sprawie drugiej zbrodni, ale coś się nie zgadzało. Wówczas na scenę wkroczył dr Alec Jeffreys, naukowiec z University of Leicester. W 1984 r. opracował metodę umożliwiającą tworzenie unikalnych profili genetycznych, swoistych „odcisków palców” zapisanych w naszym DNA.

Bezradna policja zwróciła się do niego o pomoc. Wyniki analizy zszokowały wszystkich. Po pierwsze, dowiodły ponad wszelką wątpliwość, że Buckland jest niewinny, a jego DNA nie pasowało do śladów zabezpieczonych na ciałach ofiar. Po drugie, potwierdziły, że obu zbrodni dokonał ten sam nieznany mężczyzna. Sprawcą okazał się miejscowy piekarz Colin Pitchfork. Kryminalistka zyskała narzędzie, które wydawało się nieomyślne.

Testy genetyczne szybko stały się jednym z najczęściej wykorzystywanych narzędzi dowodowych na całym świecie. Rozwój technologii, miniaturyzacja sprzętu i cyfryzacja danych pozwoliły na analizę coraz mniejszych śladów, czasem zaledwie kilku komórek. Dowód z opinii biegłego z zakresu genetyki sądowej jest jednym z filarów postępowania karnego na całym świecie. W Polsce profilowanie genetyczne prowadzi Komenda Główna Policji w ramach Krajowego Systemu Informacyjnego. Zgodnie z ustawą o policji (art. 20) funkcjonariusze mogą pobierać materiał biologiczny „w celach identyfikacyjnych” od osób podejrzanych, skazanych, a także – w szczególnych przypadkach – od świadków.

Kraje wypracowały własne ścieżki postępowania. Wielka Brytania jako pionier stworzyła gigantyczną National DNA Database (NDNAD), która przechowuje miliony profili genetycznych i budzi podziw śledczych, ale też ciągłe kontrowersje etyczne związane z masową inwigilacją. W Stanach Zjednoczonych o tym, czy dany dowód naukowy może trafić przed ławę przysięgłych, decyduje tzw. standard Dauberta. Nakłada on na sędziego obowiązek oceny, czy metoda badawcza jest sprawdzona, recenzowana i akceptowana przez środowisko naukowe.

Przez lata wierzyliśmy, że podwójna helisa nie kłamie, a jej odczyt jest obiektywny jak wynik dodawania. Jednak rewolucja, jak każda, z czasem zaczęła odsłaniać swoje drugie, bardziej skomplikowane oblicze. Zaczęły się pojawiać wątpliwości dotyczące nie samej technologii, lecz interpretacji jej wyników.

Najslabsze ogniwo

– *Dawniej badania genetyczne dotyczyły klasycznych śladów kryminalistycznych, takich jak krew, ślina czy nasienie. Łatwo było je zobaczyć i zrozumieć mechanizm ich przeniesienia. Obecnie dzięki nowym*

narzędziom możliwe jest badanie śladów kontaktowych, których nie widać gołym okiem. Wystarczy dotknąć przedmiotu, a pot z komórkami i molekułami DNA na nim zostaje. Problemem jest interpretacja, w jaki sposób ślad się tam znalazł: przypadkowo w trakcie zdarzenia czy przed zdarzeniem – tłumaczy dr Tomasz Kupiec, kierownik Pracowni Genetyki Sądowej w krakowskim Instytucie Ekspertyz Sądowych.

Wątpliwości potwierdziło Centre for the Forensic Sciences, które w 2019 r. przeprowadziło prosty eksperyment. Poproszono grupę ochotników, by dobrali się w pary i przez dwie minuty trzymali za ręce. Następnie jedna osoba z każdej pary chwyciła rękę drugiej. Po wszystkim z noża pobierano próbki. Aż w 85 proc. przypadków na nożu znajdowano również DNA tej drugiej osoby, która go nigdy nie dotknęła. Co więcej, w co piątym przypadku jej profil genetyczny był dominujący, sugerując, że to ona była głównym użytkownikiem narzędzia.

– *To, co uznaje się dziś za jeden z najmocniejszych dowodów, może w rzeczywistości pochodzić od osoby, która nie miała ze sprawą nic wspólnego* – podsumował dr Peter Gill, jeden z autorów eksperymentu, który potwierdził zresztą niemal te same wnioski, do których trzy lata wcześniej doszli badacze z University of Indianapolis.

Fundamentalny błąd

Tego typu analizy, jedne z wielu prowadzonych w ostatnich latach, udowodniły potęgę transferu wtórnego. Każdego dnia zostawiamy za sobą biologiczną smugę: na klamkach, poręczach w autobusie, banknotach czy terminalach płatniczych. Te ślady mogą być przenoszone dalej, przez innych ludzi, na inne przedmioty i w inne miejsca. Niedawne odkrycia potwierdziły, że nie wszyscy zostawiają ich tyle samo, a ilość pozostawianego przez nas materiału biologicznego może zależeć np. od częstotliwości mycia rąk czy chorób skóry. „Zbyt często DNA traktuje się jak dowód absolutny. Tymczasem to tylko jeden z elementów układanki. Istotny, ale wymagający ostrożnej interpretacji” – pisze na łamach „Forensic Science International” prof. Charles Brenner, analityk profili genetycznych.

Istotnym elementem jest tu praca i funkcjonowanie samych laboratoriów diagnostycznych. Te również nie są wolne



Amerykanka Amanda Knox, w 2009 r. skazana we Włoszech na 26 lat więzienia za zabójstwo współlokalki. W 2015 r. została uniewinniona. Okazało się, że policjanci technicy nieświadomie przeniesli jej DNA na miejsce zbrodni. Ślady faktycznego sprawcy zlekceważono.

od błędów. W 2021 r. National Institute of Standards and Technology postanowił sprawdzić, jak z interpretacją dowodów radzą sobie same laboratoria. Do 105 placówek w USA i 3 w Kanadzie rozesłano identyczną próbkę materiału dowodowego. Była to skomplikowana mieszanina DNA pochodzącego od trzech osób, mająca symulować ślady z hipotetycznego napadu na bank. Eksperci mieli za zadanie porównać ją z profilami genetycznymi ofiary oraz dwóch podejrzanych i wskazać, kto mógł być sprawcą.

Wyniki były alarmujące. O ile z prostymi próbkami laboratoria radziły sobie świetnie, o tyle przy złożonej mieszaninie wkradał się chaos. Tylko niewielka część placówek poprawnie wykluczyła z grona sprawców osobę niewinną (której profil celowo wmieszano w materiał dowodowy jako profil ofiary). Aż 74 laboratoria (bliżej 70 proc. badanych) popełniły fundamentalny błąd, wskazując niewinną osobę jako potencjalnego współsprawcę.

Najbardziej nieprawdopodobna sprawa dotyczyła „Ducha z Heilbronn”, rzekomej seryjnej morderczyni, której DNA w latach 1993–2009 znalazło się w ponad 40 miejscach zbrodni. Okazało się, że materiał biologiczny należał do robotnicy z fabryki patyczków i wymazów, używanych przez techników do pobierania próbek DNA. Patyczki nie były sterylne, pakowane ani certyfikowane do użytku kryminalistycznego, przez co śledczy bezwiednie sami nanosili DNA kobiety na różne miejsca zbrodni.

Aby nie popełniać takich błędów, laboratoria, także polskie, starają się ponad wszelką miarę minimalizować ryzyko zanieczyszczenia próbek. – Wszyscy technicy policyjni są w bazie eliminacyjnej, co oznacza, że znany jest ich profil genetyczny. Jeśli ich ślady pojawiają się na miejscu zdarzenia, wiadomo, że pochodzą z nieostrożnej pracy, a nie od poszukiwanego sprawcy. Laboratoria mają podobne zabezpieczenia. Wszyscy pracownicy, łącznie z personelem

sprzątającym, są w naszym wewnętrznym zbiorze profili, który porównuje się z każdym uzyskanym wynikiem. Jeśli profil się zgadza, oznacza to kontaminację, a taki wynik nie może opuścić laboratorium – uspokaja dr Kupiec.

Wyciągnięto również wnioski z pomyłki przy sprawie „Ducha z Heilbronn”, wprowadzając obowiązującą normę 18385 dla producentów odczynników. Nakłada ona na każdego producenta surowe restrykcje związane ze sposobem wytwarzania narzędzi stosowanych w kryminalistyce.

Serialowy mit

Historie pomyłek sądowych, niegdyś szeptane w kulisach, dziś stają się głośnym ostrzeżeniem. Droga od znalezienia śladu do wydania wyroku jest znacznie bardziej wyboista, niż nam się wydawało. Na ten problem od lat zwraca uwagę prof. Itiel Dror, ekspert w dziedzinie psychologii sądowej z University College London. Jego badania odsłoniły, że biegli – jak wszyscy ludzie – są podatni na sugestie, np. znajomość wcześniejszych dowodów czy oczekiwania śledczych. W jednym z badań ci sami eksperci otrzymali identyczną próbkę do analizy, ale w dwóch różnych kontekstach sprawy. Wyniki różniły się diametralnie, zależnie od oczekiwań śledczych. – Wierzymy, że DNA mówi prawdę, ale problem polega na tym, kto i jak tę prawdę odczytuje – tłumaczy Dror.

Swoją rolę ma w tym zjawisko, które socjologowie ochrzczili mianem „efektu CSI”. Popularne seriale stworzyły wyidealizowany i fałszywy obraz kryminalistyki. Prokuratorzy czują presję, by przedstawiać dowody genetyczne, a sędziowie i ławnicy, wychowani na medialnej fikcji, mają skłonność do traktowania opinii biegłego jak wyroczni.

Testy DNA, choć niezwykle użyteczne, nie są narzędziem nieomylnym. Co więcej, ich ogromna siła przekonywania sprawia, że błąd może mieć katastrofalne skutki. Dlatego tak ważne jest, by wyniki analizy materiału genetycznego nigdy nie były interpretowane w oderwaniu od szerszego kontekstu. Nie odpowiadają już na proste pytanie, „kto to zrobił?”. Jedynie podpowiadają, „kto mógł tu być?”. Bez zrozumienia, jak i kiedy dany ślad biologiczny znalazł się na miejscu zdarzenia, ryzykujemy, że los niewinnych ludzi będzie poddawany loterii.

KAMIL NADOLSKI



Biznes wspiera polskich polarników

Niemal dokładnie pół wieku temu polscy naukowcy pojawili się na antarktycznej Wyspie Króla Jerzego z zamiarem zbudowania tam stacji polarnej. Działa ona nieprzerwanie do dziś, a od tego roku jeden z zespołów IBB PAN wspierał będzie ORLEN.

Ta współpraca z całą pewnością przyczyni się do poszerzenia wiedzy na temat ekosystemu antarktycznego, a może doprowadzić do zwiększenia udziału i znaczenia Polski w ochronie tego wyjątkowego miejsca na Ziemi – mówi prof. Jarosław Poznański, dyrektor Instytutu Biochemii i Biofizyki PAN. Placówka ta od 2012 r. zarządza Polską Stacją Antarktyczną im. H. Arctowskiego. Poznański podkreśla, że współpraca z ORLENEM, w tym zakup specjalistycznego sprzętu, otworzy nowe możliwości przed naukowcami prowadzącymi badania na Wyspie Króla Jerzego. – *Pamiętajmy, że to dzięki aktywności naukowców społeczność*

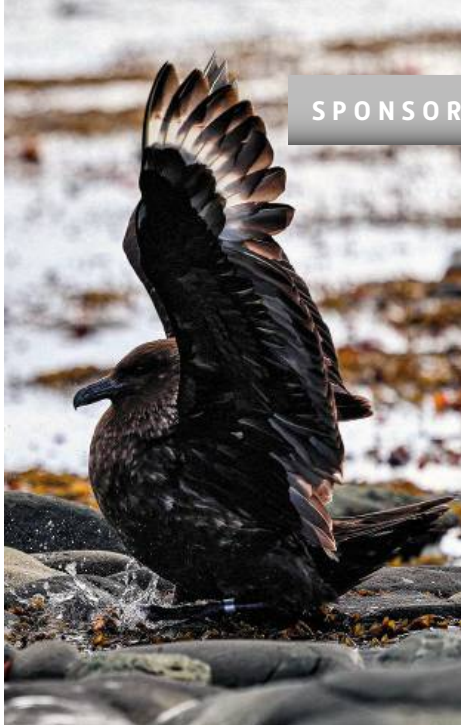
międzynarodowa otrzymuje bezcenne dane na temat tempa topnienia lodowców, zmian klimatycznych czy też kondycji antarktycznych gatunków zwierząt i roślin – dodaje.

Wyspa Króla Jerzego, odkryta ponad dwa wieki temu przez angielskiego żeglarza Williama Smitha, znajduje się około 120 km od brzegów Antarktydy. Jej bliskość czuć tu na każdym kroku. Wyspę o długości 95 km i szerokości 25 km niemal w całości pokrywa lód. To przyrodniczy raj pełen dziewiczych zakątków. Do najcenniejszych należy Zatoka Admiralicji ze swą urozmaiconą linią brzegową. Nikt nie zna lepiej tego antarktycznego eldorado niż polscy naukowcy, którzy wprowadzili

się tu jako jedni z pierwszych i od pół wieku badają jego środowisko naturalne. Przy okazji nadali nazwy setkom obiektów geograficznych w okolicy. Kto zerknie na mapę Zatoki Admiralicji, zobaczy na niej nazwiska dziesiątek polskich polarników przy rozlicznych lodowcach, cieśninach, przylądkach, zatokach, dolinach, czy wzgórzach. Odnajdzie też nazwy polskich miast, a nawet szczytów tatrzańskich, na czele z Kasprowym Wierchem (ang. *Kasprowy Hill*) i Giewontem. Można się poczuć jak w domu.

Jest to jednak dom nietypowy i niezwykle: w bezpośrednim sąsiedztwie stacji gniazdują tysiące pingwinów: białookich, białobrewych i maskowych. Znajdują się tu również tereny rozrodcze mirungi południowej – największego gatunku fok na świecie. Nie byłoby tego bogactwa ptaków i ssaków, gdyby nie obfitość kryla – drobnego skorupiaka morskiego, który stanowi podstawę diety większości zwierząt antarktycznych. Kryl z kolei korzysta z bujności fitoplanktonu w oceanie oblewającym archipeląg Szetlandów Południowych, w skład którego wchodzi Wyspa Króla Jerzego. Życie kwitnie także na dnie Zatoki Admiralicji – doliczono się w niej około 500 gatunków gąbek, koralu, ukwiałów, rozgwiazd, jeżowców i innych bezkręgowców. Wciąż zresztą odkrywane są nowe.

Wszystko zaczęło się pod koniec 1975 r., kiedy to w stronę odległego



i biorą odpowiedzialność za stan jej przyrody.

Przyszłość tej przyrody wielu niepokoi. Antarktyka słusznie uchodzi za najbardziej izolowany kawałek planety, ale ta izolacja jest coraz mniej szczelna. Na Szetlandach Południowych systematycznie rosną temperatury powietrza, ocean wokół nich jest coraz cieplejszy, a jego poziom powoli, lecz nieubłaganie się podnosi. Na dodatek coraz częściej docierają tu statki z turystami – ich celem jest również Zatoka Admiralicji. Wszystkie te procesy i presje dokumentują również naukowcy IBB PAN korzystający z polskiej stacji. Dobrze więc, że zyskali sojusznika w postaci ORLENU. W ramach wspólnej inicjatywy badawczej i edukacyjnej, „Antarktyka pod skrzydłami ORLENU” otrzymają na początek specjalistyczną łódź wraz z systemem wodowania oraz drony.

– Zaangażowanie w ten unikalny projekt odzwierciedla naszą strategię zrównoważonego rozwoju oraz nasze priorytety, takie jak wsparcie polskiej nauki, wdrażanie innowacyjnych technologii oraz działania z zakresu społecznej odpowiedzialności biznesu. Antarktyka ma ogromne znaczenie dla globalnej równowagi klimatycznej, a my chcemy wspierać badania, które pomagają ją chronić – mówi Lidia Kołucka, dyrektor wykonawcza ds. sponsoringu w ORLENIE. Sprzęt ma pomóc naukowcom między innymi w bezpiecznym dotarciu do miejsc, do których dotychczas nie mieli dostępu. – Chcielibyśmy, żeby niektóre z takich dziewiczych rejonów Wyspy Króla Jerzego zostały otoczone szczególną troską, aby uchronić je przed coraz intensywniejszą obecnością człowieka i zachować w naturalnej postaci dla przyszłych pokoleń – dodaje lider projektu, dr hab. Robert Bialik, prof. IBB PAN, który od dekady regularnie powraca na stację, aby prowadzić badania środowiska naturalnego Wyspy Króla Jerzego.

Partnerem publikacji jest ORLEN ART&SCIENCE



o kilkanaście tysięcy kilometrów Oceanu Południowego wyruszyły z Gdyni statki „Profesor Siedlecki” i „Tazar”. Pierwszy był jednostką badawczą, drugi – trawlerem. Głównym celem rejsu było zbadanie łowisk kryla, którym chciała karmić Polaków komunistyczna władza, ale przy okazji naukowcy rozglądali się za miejscem pod budowę stacji antarktycznej. Ich wybór padł na zachodni brzeg Zatoki Admiralicji. Rok później wyruszyła pierwsza ekspedycja z prawdziwego zdarzenia. Jej kilkudziesięciu uczestników postawiło w ciągu dwóch miesięcy pierwszy budynek stacji. Formalne jej otwarcie nastąpiło 26 lutego 1977 r.

Złożenie było takie, że od początku stacja będzie czynna przez cały rok. Już w pierwszym sezonie przetrzymało w niej 19 osób. Podczas inauguracji nadano jej imię Henryka Arctowskiego. Nieprzypadkowo. To on – wraz z drugim Polakiem, Antonim Henrykiem Dobrowolskim – wziął udział w słynnej i dramatycznej wyprawie statku „Belgica” zorganizowanej w latach 1897-99. Jej uczestnicy jako pierwsi w historii przetrzymali na południe od koła podbiegunowego południowego. Po powrocie Arctowski przedstawił projekt badań Antarktyki zakładający stworzenie sieci stałych obserwatoriów. Jego wizja doczekała się realizacji w drugiej połowie XX w., gdy w ramach Międzynarodowego Roku Geofizycznego,

zorganizowanego w latach 1957-58, w Antarktyce powstało około 40 stacji badawczych.

Udział Polaków w tej pierwszej dużej „inwazji” naukowców na Antarktydę był skromny. W 1959 r. dostaliśmy w darze od ZSRR niewielką bazę ulokowaną w pobliżu oceanu we wschodniej części kontynentu. Składała się z dwóch drewnianych domków. Jej patronem został Antoni Henryk Dobrowolski. Jednak nasi polarnicy pojawiali się tam sporadycznie. W 2022 r. kilkoro naukowców z Instytutu Geofizyki PAN odnowiło stację i ponownie przystosowało ją do pobytu ludzi w miesiącach letnich, jednak jak dotąd nie zorganizowano do niej kolejnej wyprawy.

O wiele lepiej los obszedł się ze stacją na Wyspie Króla Jerzego, choć i „Arctowski” ma za sobą trudne momenty. Na szczęście je przetrwał. Posiadanie własnej całorocznej stacji badawczej w Antarktyce to nie tylko kwestia prestiżu, choć i tego czynnika nie należy lekceważyć, ale też konkretnych korzyści politycznych. Kraj, który taką stację prowadzi, czynnie uczestniczy w zarządzaniu Antarktyką, jakby nie było obszarem zajmującym jedną dziesiątą powierzchni globu. Polska uzyskała taki status w lipcu 1977 r., zaraz po otwarciu „Arctowskiego”. W przypadku Antarktyki więcej do powiedzenia mają ci, którzy dokładają własną cegiełkę do prowadzonych w niej badań

PIOTR PANEK

Agent w zielniku

Czym się różni służba dla nauki od służby w wywiadzie?

Niektórzy przyrodnicy łączyli te zajęcia. Nie tylko w XIX-wiecznej Rosji.

Kilka lat temu, przy okazji budowy przekopu przez Mierzę Wiślaną, jedna z instytucji związanych z tą inwestycją opublikowała komiks, w którym przedsięwzięcie sabotują „zielone ludziki”. Trzeba przyznać, że jako propagandowa gra skojarzeń było to niezłe posunięcie. Inwestycja budziła sprzeciw miejscowej ludności, która widziała w niej zagrożenie dla turystyki, ale szerzej zauważalny był protest środowisk przyrodniczych – określanych jako zieloni. Z kolei propagatorzy idei przekopu najsilniej akcentowali sprzeciw strony rosyjskiej, dla której miał on stworzyć konkurencję gospodarczą. Pamiętano o nazwanych zielonymi ludzikami rosyjskich agentach udających wschodnio-ukraińskie siły paramilitarne biorące udział w odrywaniu „republik” Ługańskiej i Donieckiej. W jednym określeniu udało się zawrzeć kilka insynuacji.

Ochrona przyrody może być sprzeczna z rozwojem gospodarczym opartym na najprostszych, rabunkowych mechanizmach. Postrzeganie stanu naturalnego jako wartości samej w sobie bywa tak trudne do zaakceptowania, że łatwiej doszukać się w nim ukrytej agenturalnej motywacji. Historia zna jednak przypadki, kiedy działalność przyrodnicza naprawdę była przykrywką rosyjskiej agentury.

Aleksandr Karłowicz Boszniak był przyrodnikiem amatorem, który na marginesie pracy zawodowej opisywał mało jeszcze znaną naturę na poziomie wystarczającym do uznania przez ekspertów za wartościowy. Działał głównie w południowej Ukrainie, która – pod nazwą Noworosji – była dopiero kolonizowana przez imperium.

Urodził się w 1786 r. w Uszakowie w centralnej Rosji, w rodzinie wywodzącej się z Bałkanów. Był synem oficera i jako nastolatek dostał się do konnego pułku lejbgwardii. Tam w jego życiu pojawił się kilka lat starszy Iwan de Witt,



Aleksandra Boszniaka, botanika i donosiciela, upamiętniono w nazwie *Boschniakia rossica*, pasożyta z rodziny zarzawowatych

postać barwna, choć w znacznej mierze w ciemnej tonacji. Urodził się jako Jan de Witte, syn i wnuk dowódców twierdzy w Kamieńcu Podolskim o holenderskich korzeniach. Jego ojciec dobrze odnalazł się w zaborze rosyjskim. Pomógł mu fakt, że jego żona była kochanką Potiomkina, który z kolei był kochankiem Katarzyny II, co w XVIII-wiecznej arystokracji było dość typowym układem towarzysko-biznesowym. Iwan brał udział w wojnach napoleońskich jako oficer zarówno armii, jak i wywiadu (po obu stronach). Po ich zakończeniu trafił do Noworosji, gdzie osadzano kolonistów, także tych podejrzanych, choć nie na tyle, żeby trafiali na Syberię, a więc oba jego talenty mogły być przydatne.

Boszniak nie zrobił kariery wojskowej. Rozpoczął studia w Moskwie, gdzie zaprzyjaźnił się z poetą Wasylem Żukowskim, późniejszym autorem hymnu cesarstwa, co również miało wpływ na jego dalsze losy. Najwyraźniej umiał zjednywać sobie ludzi. Rozpoczął pracę w archiwum, później w ministerstwie spraw wewnętrznych w nadzorze manufaktur. Podczas najazdu Wielkiej Armii Napoleona złamał nogę, więc

uniknął najcięższych walk. Po zakończeniu wojen został wybrany do samorządu kostromskiej szlachty i zakończył również jawną karierę urzędniczą. W tym okresie więcej czasu poświęcił nowym zainteresowaniom, m.in. powieściopisarstwu.

W 1820 r. otrzymał w spadku posiadłość w Kateryniwce w ówczesnej guberni chersońskiej. Przeprowadził się do niej, odnawiając znajomość z de Wittem. Ten świeżo upieczony generał uznał, że towarzyskie talenty Boszniaka da się wykorzystać, i uczynił go swoim agentem do specjalnych poruczeń. Oficjalnie Boszniak był znudzonym ziemianinem z centralnej Rosji, który postanowił na wczesnej emeryturze poznać swoje nowe włości i rozwijać pasję przyrodniczą. Nie było to całkowicie zmyślane. Już wcześniej działał w Moskiewskim Towarzystwie Badaczy Przyrody. A w latach 1820–21 wydał dwa tomy dzienników z wypraw przyrodniczych po Ukrainie (opisywanej jako „różne obwody zachodniej i południowej Rosji”).

Pracą tajną, ale przyjaźnią jawną. Towarzyszył de Wittowi w służbowych podróżach, dzięki którym generał mógł się spotykać z Karoliną z Rzewuskich Sobańską, kolejną postacią o złożonej biografii. Była jego oficjalną kochanką i tajną agentką mieszkającą w przeżywającej młodzieńczy rozkwit Odessie. Trafiali tam zarówno przedstawiciele rodzącego się kapitalizmu, jak i niepokorni poeci wygnani z rodzinnych stron, np. Aleksander Puszkina. Sobańska wdawała się z nim w romans. Nie ma dowodów, żeby przekazywała pozyskane od niego informacje de Wittowi, ale biorąc pod uwagę związki Puszkina z dekabrystami, jest to możliwe.

Po opuszczeniu Odessy przez Puszkina pojawili się w niej kolejni wypędzeni poeci – Adam Mickiewicz i Józef Jeżewski. Trafili tam w ramach zesłania po procesie filomatów i filaretów. Polski wieszcz był zafascynowany twórczością brata Sobańskiej, Henryka Rzewuskiego, a także nią samą, więc spędził z nią kilka miesięcy w 1825 r.,

czego ślady można znaleźć w erotycznych motywach „Sonetów odeskich”.

Sobańska dzięki swoim układom z de Wittem miała Mickiewiczowi załatwić pracę w Moskwie. Wcześniej jednak poprosiła go, aby towarzyszył jej i generałowi podczas inspekcji Krymu. Oprócz de Witt, Sobańskiej, Rzewuskiego i kilku innych osób wziął w niej udział przyrodnik Boszniak. Mickiewiczowi został przedstawiony jako entomolog. Według anegdoty już po wyprawie autor „Pana Tadeusza”, zobaczywszy Boszniaka w mundurze, zdziwiony zapytał o to Witt, dodając: „Myślałem, że zajmuje się łapaniem muszek”. Na co generał miał odpowiedzieć, że to się zgadza, bo pomaga on w łapaniu muszek wszelkiego rodzaju.

Należy przyjąć, że Boszniak należy do „towarzyszy podróży krymskiej”, którym Mickiewicz zadedykował sonety, ale ten epizod nie zapisał się w jego szpiegowskiej biografii. Najwyraźniej uznał polskiego poetę za owada niezbyt groźnego dla imperium. Bardziej owocne w donosy okazały się kontakty z członkami Towarzystwa Południowego – grupy dekabrystów planujących liberalne powstanie rosyjskie przeciw caratowi, którym Mickiewicz poświęcił wiersz „Do przyjaciół Moskali”. Dzięki nim dostał od cara awans i dożywotnią pensję. Jako że de Witt wciąż podejrzewał Puszkina o spiskowanie, Boszniak dostał misję szpiegowania poety w okolicach jego aresztu domowego pod Pskowem.

Kiedy podczas wojny z Turcją (nawiązał do niej Mickiewicz w „Reducie Ordonu”) Rosja utworzyła na krótko marionetkowe państwo wołosko-mołdawskie, władze przypominały sobie o rodzie Boszniaków i mianowały Aleksandra wiceprzewodniczącym jego rady w Bukareszcie. W 1831 r. perwersyjnie zaś wysłały pamiętającego jeszcze polskie dzieciństwo de Witt do tłumienia powstania listopadowego. Towarzyszyli mu Sobańska i Boszniak. Generał siał terror, a jego pomocnicy próbowali wyciągać informacje od pojmanych, odgrywając „dobrych policjantów”. Agent, już coraz mniej tajny, zmarł w Barze „od gorączki” podczas powrotu z Polski do Ukrainy.

Zatem Boszniak, choć opisywany jako botanik (a u biografów Mickiewicza – entomolog), przede wszystkim był agentem. Jego wkład w poznanie flory wschodniej Europy był jednak zauważalny. Nawet jeśli kierował się innymi pobudkami



Gen. Iwan de Witt,
oficer prowadzący Boszniaka



Tajną policję interesował odeski salon
Karoliny Sobańskiej i jego goście



W sidła inwigilacji zaplątał się także
młody Adam Mickiewicz

(zbieżność dat i miejsc zbioru z miejscami pobytu Puszkina), przykrywką jego działalności przyniosła efekty. Nie odkrył nowego gatunku, ale jego zbiory zasiłowały zielnik Uniwersytetu Moskiewskiego. Po jego śmierci Moskiewskie Towarzystwo Badaczy Przyrody odkupiło jego zielnik i księgozbiór, jak również 335 niepublikowanych kolorowych ilustracji botanicznych. Najbardziej docenił go rosyjski botanik Carl von Meyer, nazywając jedną z odkrytych roślin *Boschniakia rossica*.

We współczesnej Rosji Boszniak jest z reguły postrzegany jako wzór patrioty. Legitymizował utworzenie protektoratu na obrzeżach imperium i dławienie powstania w kraju, który protektoratem nie chciał pozostać. Wykrywał też wrogów wewnętrznych i wydawał ich władzom. Głosy sympatyzujące raczej z dekabrystami niż z ich pogromcami są dziś na marginesie.

Na tym marginesie jednak pojawiają się zdania odrębne. Pewna rosyjska botaniczka zauważyła, że na jednej z wystaw jego zbiorów preparat zawilców wisi do góry korzeniami, co w XIX-wiecznej symbolice było złym omenem. A *Boschniakia* jest pasożytem. Nad ziemię wystaje pozbawiona liści błada łodyga z wielkim czerwonym lub fioletowym kłosem, pod ziemią zaś pozostają ssawki, którymi roślina pozbawia soków olszę. Najłatwiej ją spotkać na Syberii, dokąd trafili zadenuncjowani przez Boszniaka spiskowcy. Czy Meyer wybrał tę symbolikę nieprzypadkowo? Raczej się nie dowiemy – on sam zrobił w Rosji karierę uwieńczoną kierownictwem Cesarskiego Ogrodu Botanicznego w Petersburgu.

Może gdyby Boszniak zaszkodził Puszkiniowi, byłby wspominany gorzej. Ostatecznie to największy rosyjski poeta. Mimo bliskości z Mickiewiczem i dekabrystami na powstanie listopadowe zareagował, jak na wielkoruskiego nacjonalistę przystało. W jego wizji mieściła się liberalizacja rosyjskiej władzy, ale nie było mowy o uniezależnieniu się od niej.

I dziś są rosyjscy badacze, którzy próbują lawirować między lojalnością wobec władzy a utrzymaniem kontaktów ze światowym środowiskiem naukowym. Są jednak i tacy, którzy jeszcze kilka lat temu współpracowali z biologami z Europy Zachodniej, a dziś wysyłają do nich listy potępiające zachodnią naukę i popierają odzyskanie Noworosji. Pewne mechanizmy mimo upływu wieków są podobne. ■

Strażnicy sekretarzy

Jeden panicznie unikał przypadkowych spotkań, drugi kazał zatrzymać auto w ruchliwym miejscu, żeby porozmawiać z ludźmi.

Jak partyjnych przywódców Władysława Gomułkę i Edwarda Gierka zapamiętał ich osobisty ochroniarz.

MARCIN ZAREMBA



Od lewej: Władysław Gomułka z odwiedzającym Polskę pierwszym sekretarzem KC KPZR Nikitą Chruszczowem w rządowym Buicku, za nimi auto z ochroną, 1959 r. Edward Gierek podczas wizyty w obozie harcerskim w Bieszczadach, 1979 r.

„G

dy ojciec i pan Trąba postanowili zabić I sekretarza Władysława Gomułkę, panowały niepodzielne upały, ziemia trzeszczała w szwach” – rozpoczął swoją powieść osadzoną w 1963 r. Jerzy Pilch. Narzędziem mordu spiskowców miała być kusza.

W rzeczywistości plan był inny – Gomułka miał wylecieć w powietrze. W przededniu Barbórki, górniczego święta, na które pojechał na Śląsk, 3 grudnia 1961 r. w Sosnowcu doszło do zamachu

na trasie kolumny aut z I sekretarzem. Nie odniósł obrażeń, ponieważ bombę odpalono zbyt późno. Poważnie ranne zostały przypadkowe osoby.

Milicyjne śledztwo ustaliło, że sprawca musiał znać się na elektromechanice oraz mieszkać w pobliżu miejsca zamachu. Okazał się nim Stanisław Jaros, elektryk, mający już na swoim koncie próbe wysadzenia dwóch sekretarzy, Nikity Chruszczowa i Gomułki, gdy odwiedzili Śląsk w lipcu 1959 r. Został skazany na śmierć i powieszony 5 stycznia 1963 r. Okoliczności zamachu oraz informacje o wyroku i jego wykonaniu przez wiele lat utrzymywano w tajemnicy.

Jesienią 1964 r. Stanisław Sątowicz, funkcjonariusz Biura Ochrony Rządu, został skierowany do osobistej ochrony Władysława Gomułki. W kaburze pod pachą miał polski pistolet P64, w kieszeni małą włoską berettę. W samochodzie, w którym wożono I sekretarza, był jeszcze czeski karabinek automatyczny wzór 58.

W latach 60. BOR liczył ok. 100 osób, formalnie ochraniał: premiera Józefa Cyrankiewicza, ministra spraw wewnętrznych Mieczysława Moczara, przewodniczącego Rady Państwa Aleksandra Zawadzkiego (później Edwarda Ochaba i Mariana Spychalskiego) i I sekretarza KC PZPR Władysława Gomułkę. Na dobrą sprawę z tego grona należałoby wyłączyć Cyrankiewicza, bo lubił prowadzić auto sam. Bywało, że wymykał się ochronie, czasami swoim Mercedesem podrzucał autostopowiczów. Z tych powodów miał tzw. dyskretną ochronę.

Dziwna była to zresztą ochrona, przynajmniej jak na dzisiejsze standardy. Towarzysz Wiesław (pseudonim Gomułki z czasów wojny) podróżował Mercedesem 300 „Adenauerem”. Pilnujący jego bezpieczeństwa jechali drugim wozem. Samochody nie miały telefonów, więc kierowcy dawali sobie znaki światłami, a nawet odkręcali szyby, by móc się porozumieć. Nie miały też specjalnej sygnalizacji dźwiękowej i wizualnej. Kolumna aut rządowych, jeśli nie wyprzedzał jej milicyjny pilot, karnie zatrzymywała się na czerwonym.

Gomułka kursował między domem a miejscem pracy – Komitetem Centralnym w Alejach Jerozolimskich – z punktualnością cesarsko-królewskiej kolei. Zawsze o godz. 8.07, ostatecznie minutę później, wychodził z mieszkania na trzecim piętrze przy ul. Na Skarpie w Warszawie. Po zajęciu miejsca w samochodzie zagłębiał się w lekturze. Rzadko się odzywał.

Biuro miał na pierwszym piętrze. Do gabinetu I sekretarza wchodziło się z dwóch stron: od sekretariatu i od sali konferencyjnej. Ochrona też znajdowała się po obu stronach. Borowcy, poza rzadkimi sytuacjami, kiedy musieli wrócić do mieszkania Gomułki po coś, czego zapomniał, nudzili się niemiłosiernie. „Prawie codziennie graliśmy (...) w karty. Pokerek, tysiąc. Oczywiście tak, żeby nikt nie widział. Gdy ktoś szedł, to przykrywaliśmy karty gazetą” – wspomina Sątowicz w swojej książce „Byłem gorylem Gomułki i Gierka”.

Gabinet Gomułki liczył jakieś 6 x 6 m. Pośrodku stało duże biurko, ciemny mahoń. I sekretarz siedział na wygodnym skórzanym fotelu, przed biurkiem stały jeszcze mały stolik z dwoma fotelami. Pod ścianami szafy z książkami.

W Komitecie Centralnym PZPR była stołówka. Jednak Gomułka preferował tradycyjną kuchnię. Zwykle jeździł do domu na obiad, który gotowała bądź żona, bądź pochodząca ze wsi kucharka. Menu skromne: kotlety mielone z kaszą, kartofle ze skwarkami i zsiadłym mlekiem, z zup: pomidorowa, kartoflanka. Do nich zawsze chleb. Wiedział, co to głód. Przeżył go w czasie pierwszej wojny światowej, gdy jako dziecko z matką szabrował z bocznic kolejowych mienie pozostawione przez rosyjskie bądź austriackie wojsko. Widział niedożywione dzieci w Ukrainie podczas Wielkiego Głodu. Nic dziwnego, że kolektywizacja rolnictwa kojarzyła mu się jak najgorzej.

Z usposobienia był ascetą, nie podzielał konsumpcyjnych aspiracji Polaków. Symptomatyczny był jego sprzeciw wobec importu kawy. Jej picie uważał za niepotrzebny zbytek, inteligentką zachciankę, na którą państwo nie powinno łożyć. Wpadł

węściekłość, gdy dowiedział się, że pracownicy KC zażyczyli sobie dmuchaw do suszenia dłoni w toaletach. Do końca jego rządów musieli zadowolić się ręcznikami. Antycypując jego alergie na luksusy, najbliżsi na uroczysty obiad z okazji jego 60. urodzin w 1965 r. zaserwowali jemu i gościom dewolaje.

Mieszkanie też miał skromnie wyposażone, dziś byśmy powiedzieli: minimalistycznie. „Żadnych drogich mebli, żadnych obrazów ani drogich dywanów”. Zofia i Władysław Gomułkowie mieli jeden pokój z telewizorem, prostokątnym stołem z krzesłami, dwie sypialnie, kuchnię, małą łazienkę. „Kiedy zacząłem ochraniać Gomułkę – wspomina Sątowicz – już spalili oddzielnie, każde w swojej sypialni”. Zofia chrapała.

W salonie było kilka szafek z książkami: polityka i historia. „Żadnej beletrystyki, żadnych powieści, literatury”. Zdaniem historyka Roberta Spałka Gomułka inteligentów humanistów nie cenił, intelektualistów – wręcz nie znosił. Prawdopodobnie słynne zdanie, które wygłosił na XIII Plenum KC PZPR o pisarzu Ireneuszu Iredyńskim: „Osiągnął on dno rynsztoku”, ktoś mu podsuflował.

Gomułka potrafił sam napisać przemówienie, ale pomagali mu ghostwriterzy z KC. Na półkach piętrzyły się też wydania Marksa i Lenina. Teza, że Gomułka był ostatnim prawdziwie wierzącym komunistą na stanowisku Pierwszego, nie jest bezzasadna. „Najważniejsze, że po naszej stronie jest słuszość” – mawiał. Wrogów też czytał. Na półkach w rzędach stały więc roczniki paryskiej „Kultury”. Czasem w jej zeszytach coś notował, wtedy pani Zofia pytała: „No, co te pismaki tam znowu wypisują, Wiesław?”.

Pierwsze spotkanie z I sekretarzem ochroniarz zapamiętał jako dziwne. „Patrząc na zegarek, jest osiem po ósmej i Gomułka z wolna schodzi z pierwszego piętra. (...) No to ja się wyprostowuję i mówię: dzień dobry. (...) Gomułka się zatrzymuje, nic nie odpowiada, patrzy spode łba na mnie.

– Do dupy z taką ochroną – mówi.

Ja: – Przepraszam, ale czy coś się stało?

On: – Całą noc pługi odśnieżały ulicę, chociaż śniegu było tyle, co kot napłakał. Mogliście się tym zająć, bo ludziom spać nie dają od nocy do świtu, a nie tak stać na baczność”.

Niewyspaniu można przypisać opisane zachowanie. Gomułka łatwo wpadał w gniew, zdarzało mu się kłąć. Ale było coś jeszcze. Prawdopodobnie dał o sobie znać zespół Aspergera. Pierwszy zwrócił na to uwagę historyk Konrad Rokicki. Chodzi o deficyty z szerokiego spektrum autyzmu prowadzące do trudności w kontaktach międzyludzkich, nierozumienia sytuacji społecznych oraz myśli i uczuć innych ludzi, skupienia się niekiedy maniakalnie na konkretnym zagadnieniu. Partyjny przywódca nie rozumiał, że funkcjonariusz BOR nie odpowiada za odśnieżanie stolicy. Nawet się z nim nie przywitał.

Tylko z kilkoma osobami był po imieniu. Nie miał przyjaciół, osób, przy których mógłby się odprężyć, porozmawiać o życiu. We wspomnieniach, które po sobie pozostawił, nie znajdziemy empatycznych, emocjonalnych opisów innych ludzi. Interesowała go „partyjna robota”, po wojnie budowa socjalizmu w Polsce. Relacje z synem miał chłodne. Sątowicz opisywał: „Przyjeżdżał, czy to do Juraty, czy do Łańska, ale nigdy nie widziałem i nie słyszałem, żeby ze sobą rozmawiali. Siadali w dwóch fotelach, poważnie coś czytali. Zachowywali się, jakby drugiego w ogóle nie było. Dziwne te ich relacje”.

► Także w związku z żoną brakowało ciepła, serdeczności. Sątowicz wspominał: „Nie pamiętam, żeby towarzysz »Wiesław« kiedykolwiek zrobił coś takiego, wykonał jakiś gest, cokolwiek, co by świadczyło o tym, że się o nią troszczy”.

Ludzie go średnio interesowali. Spotkania na stopie towarzyskiej, których nie brakuje także w kontaktach międzynarodowych, uważał za stratę czasu. Charakteryzował go brak poczucia humoru, autorefleksji, słabo czytał ludzkie zachowania i emocje. Szefem był oziębłym, nie pytał współpracowników, co u nich w domu, jak dzieci. „Nie interesowało go w ogóle moje życie, życie człowieka, który miał dla niego nadstawić w razie czego swoją głowę” – podsumował jego ochroniarz. Gomułka najlepiej czuł się w swoim gabinecie, rzadko wyjeżdżał w teren, by nawiązać kontakt z obywatelami Polski Ludowej. Unikał możliwości przypadkowych z nimi spotkań.

Wychodził ze swojej strefy komfortu jedynie podczas dożynek. Poniekąd musiał, prowadził bowiem osobistą wojnę z prymasem



Stanisław Jaros i miejsce, w którym podłożył ładunek wybuchowy w Sosnowcu w 1961 r.

Stefanem Wyszyńskim, który w okresie obchodów Milenium Chrztu Polski niemal codziennie spotykał się z wiernymi. Na zdjęciach widać rozanielonego Cyrankiewicza tańczącego z ubranymi na ludowo młodymi kobietami i Gomułkę, który drobi z wyraźną niechęcią.

Miał jednak prawo odczuwać fizyczny dyskomfort, nawet ból, ponieważ lewą nogę miał krótszą. Efekt postrzału przez policjanta w 1932 r. Od tego czasu kulął.

Autorytaryzm I sekretarza nie wynikał z internalizacji ideologii marksizmu-leninizmu ani surowego ojcowskiego wychowania. Gomułka nie był też – na co ostatnio zwrócił uwagę Adam Michnik – antysemitą. On po prostu źle funkcjonował w grupie. Edward Ochab, I sekretarz PZPR w 1956 r., twierdził, że Gomułka miał odrazę do działań zespołowych. Pod koniec swoich rządów praktycznie przestawał zwoływać Biuro Polityczne. Wolał podejmować decyzje bez zbędnej gadaniny.

Jego przemówienia były nudne i długie. Tak jakby musiał wszystkim wszystko wytłumaczyć, bo nie rozumieją. Nie zważał na reakcje słuchaczy. „Gomułka – zapamiętał go Sątowicz – był jak robot, zafiksowany, jak bokser na ringu, jedynie na walkę”. Podczas słynnego przemówienia 19 marca 1968 r. w Sali Kongresowej nie dotarło do niego, że zgromadzony aktyw partyjny chce antysemickiego linczu. 8 września tego samego roku podczas dożynek na Stadionie Dziesięciolecia nie zauważył samopodpalenia Ryszarda Siwca. „Wiele razy pytano mnie, jak Gomułka zareagował na widok palącego się człowieka. Stałem najbliżej

niego (...) nie zareagował w ogóle, bo tego nie widział. Spokojnie siedział, popijał wodę ze szklanki i patrzył na występy zespołów folklorystycznych”.

Gomułkowie mieli psa rasy chow-chow. Wabił się Misiek. Wyglądał jak mały niedźwiedź. Podobno lubił Gomułkę.

Pod koniec lat 60. zawsze mało mówny Gomułka jeszcze bardziej zamknął się w sobie. Zdaniem ochroniarza doskwierała mu niewdzięczność rodaków, którzy nie dostrzegali jego wysiłków w budowie socjalizmu w Polsce. Od rana do nocy przesiadywał w KC, wzywając od czasu do czasu współpracowników. „Kiedy go przywoziliśmy i odwoziliśmy do domu, miałem wrażenie, że za chwilę eksploduje”.

Nowy I sekretarz Edward Gierek był przeciwnostwem swojego poprzednika. Zajął jego miejsce w wyniku robotniczej rewolty na Wybrzeżu. W grudniu 1970 r. pierwszą po swoim wyborze Wigilię Gierek spędził z żoną nad Czarną Przemszą niedaleko Zawiercia, w ośrodku należącym do komitetu wojewódzkiego partii. Dojechał także jego najbliższy ówczesny współpracownik Franciszek Szlachcic. Na stole ryba, pierogi, kompot z suszu, ciasto, „ale bez opłatka”. Przy stole również dwaj ochroniarze. „Trochę skrępowani jesteśmy, bo Gomułka nigdy nie zapraszał do stołu, tym bardziej na Wigilię. Jest wódka, jakieś wino. Gierek wylewny. Prosi, żeby jeść i pić, rozmawia ze mną i z moim kolegą z BOR. Pyta o rodzinę, o dzieci, czy już mamy. Z Gierkiem i Szlachcicem wnosimy toast. – Za pomyślność, wszystkiego dobrego, towarzysze – mówi Gierek”.

Zakazał wystawiania swoich portretów (te z Gomułką wisiały w każdym sklepie, urzędzie, szkolnej sali). Pisarz Paweł Huelle, wówczas 13-latek, zapamiętał: „Po grudniu paliliśmy portrety Gomułki i Cyrankiewicza. Ze dwieście ich było”.

Druga zmiana, która od razu rzuciła się w oczy, to wyjazdy i spotkania. Gierek był typem polityka wiecowego, nie gabinetowego. Czuł się w swoim żywiole, gdy mógł się z kimś spotkać, porozmawiać. Już dwa dni po wyborze odwiedził płocką Petrochemię. Była to pierwsza z typowych dla dekady „gospodarskich wizyt”. Stawał się ludziom bliższy dosłownie i w przenośni. Sątowicz, który z nim jeździł do 1974 r., zapamiętał: „Gierek lubi się zatrzymywać po drodze. Zatrzymywaliśmy się przy sklepach, przy polach, na których ludzie pracowali, czy po prostu w jakimś ruchliwym miejscu (...). Gierek wysiadał, pytał ludzi, jak im się żyje, jakie mają problemy”. Rodziła się nowa kultura polityczna. Żartowano: „Dlaczego w Polsce nie ma masła? Bo Gierek nie rozmawiał jeszcze z krowami”.

W odróżnieniu od Gomułki prawie nic nie czytał. I to był chyba jego największy deficyt.

Nie było na niego prób zamachu. Sam dla siebie stanowił zagrożenie, choćby wybierając samochody. Nie chciał jeździć Mercedesami. Zażył sobie Fiatów 125, którymi i ochrona miała jeździć. Zimą w drodze do Łańska w Fiacie ochroniarzy najpierw zepsuło się ogrzewanie, później przestały działać spryskiwacze do szyb. Padał śnieg z deszczem, więc borowcy niczego na drodze nie widzieli. Ratunkiem okazał się wieziony przez nich spory zapas ulubionej gruzińskiej wody Gierka, borżomi. Polewali nią szybę. Innym razem w czasie jazdy otworzyła się nagle na sztorc kłapa silnika, zasłaniając przednią szybę. Komuś w końcu udało się przekonać Gierka, by kupić Peugeoty. Jeździł nimi później również Wojciech Jaruzelski.

MARCIN ZAREMBA

Wakacyjne rozrywki dla dzieci?
Jeszcze nie tak dawno temu zamiast nich
była praca. W fabryce, na służbie, na roli
i na ulicy, o czym opowiada Magdalena Kopeć.

Raz, dwa, trzy, do roboty idziesz ty!



Chłopcy z kopalni węgla w Pensylwanii, 1890 r.

AGNIESZKA KRZEMIŃSKA: – **Francuski historyk Philippe Ariès napisał w latach 60., że dzieciństwo nie jest naturalną formą biologiczną. To konstrukt kulturowy, który pojawił się dopiero w oświeceniu.**

MAGDALENA KOPEĆ: – Jego praca była przełomowa i to dzięki niemu historycy zaczęli badać dzieciństwo. Ale jego teza, że w średniowieczu dzieci traktowano jak małych dorosłych, że rodzice się do nich emocjonalnie nie przywiązywali, bo szybko umierały, została podważona przez mediewistów. Na pewno kiedyś do dzieciństwa podchodzono inaczej, ale przecież już w XVII w. istniały podręczniki dla rodziców, choć oczywiście czytane tylko przez tych, którzy mieli zasoby i otwartą głowę. John Locke twierdził, że dziecko rodzi się jako czysta karta, a zadaniem rodziców i społeczeństwa jest uformowanie go w dorosłego. Potem Jean-Jacques Rousseau pisał, że dziecko rodzi się moralne i z wielkim sercem, a rodzice i nauczyciele nie powinni tego w nim zabijać. Koncepcji wychowawczych było i jest wiele.

W tym również wychowania przez pracę.

Oczywiście! Kiedy zbierałam materiały w jednej z instytucji, spotkałam pracownika w starszym wieku, który stwierdził, że on się nie zgadza z tym, że dzieci zmuszono do pracy. On w dzieciństwie pracował i był z tego dumny. Doświadczenia były bardzo różne, dlatego w książce wspominam o dzieciach zadowolonych, że pracowały, bo chciały być jak rodzice, przydatne. Wśród robotników rozpowszechniona była idea, że praca definiuje człowieka, a dzieci to przekonanie chłonęły od najmłodszych lat.

Gdzie w XIX i XX w. pracowali najczęściej?

W miastach – w fabrykach i mniejszych zakładach rzemieślniczych, a na wsiach w gospodarstwach rodzinnych albo u bogatszych gospodarzy, zazwyczaj za wikt i opierunek. Zresztą w fabrykach też nie zawsze im płacono, zwłaszcza gdy przychodziły tam z rodzicami, którzy mieli dopiero je wyszkolić. Ponieważ pracowano na akord, dzięki pomocy rodzic zarabiał więcej. Gdy dziecko zostawało robotnikiem, dostawało wynagrodzenie, choć znacznie niższe niż dorośli. Dlatego tak chętnie zatrudniano nieletnich. Taka Michalina – jedna z moich bohatererek – poszła do pracy w tkalni w Łodzi ►

© UNIVERSAL/GETTY IMAGES

► w okresie międzywojennym, w wieku 13 lat miała przejść kilkutygodniowe przeszkolenie przy skręcarce nici, ale już po kilku dniach postawiono ją samą przy maszynie, gdy inna robotnica zachorowała. Obsługiwała więc tę ogromną maszynę i przenosiła 200 szpul dziennie, każda po ok. 2 kg. Michalina była z tego dumna, ale przecież pracowała jak dorosły za „dziecięcą” stawkę.

Dziewczynki ze wsi rodzice wysyłali często do miasta na służbę, by pozbyć się „gęby do wykarmienia” albo podreperować budżet gospodarstwa.

A czasami, by po prostu przeżyła, bo nie mieli za co utrzymać gromadki dzieci. Wyśłanie syna jako parobka do bogatego gospodarza, a córki do miasta na służbę dawało nadzieję, że dziecko jakoś przetrwa. Dobrostan tych dzieci zależał od tego, do kogo trafiały. Służącymi też często były sieroty, trafiały na służbę poprzez pośredników. Niestety nie znalazłam pamiętników służących. Jeżeli były młode, to być może parę lat pracowały, a jeżeli miały szczęście, wychodziły za mąż i wypierały z pamięci okres służby. A te, które pracowały całe życie – zazwyczaj krótkie – nie miały czasu na pamiętniki. Były zajęte od świtu do nocy, ręcznie piorąc, maglując, prasując, sprzątajac, gotując, paląc w piecu, robiąc zakupy, nosząc wodę do kąpieli dla państwa.

W Prusach i Austrii obowiązek szkolny dla dzieci wprowadzono w końcu XVIII w., ale przestrzegano go tylko w zaborze pruskim. W Polsce pojawił się po odzyskaniu niepodległości 7 lutego 1919 r. Respektowano go?

Nie do końca. Jeśli dziecko miało za daleko do szkoły, było z obowiązku szkolnego zwalniane. Ale kiedy już weszły w życie przepisy próbujące normalizować pracę dzieci, pojawił się zapis, że jeśli pracodawcy zatrudniają tzw. terminatorów, to muszą pozwolić im chodzić do szkoły w trybie wieczorowym. To ładnie wyglądało na papierze, ale jak chłopak, który na piątą rano biegł do fabryki, ciężko pracował, potem po południu miał iść do szkoły? Jak miał się czegoś nauczyć? System dopiero kiełkował. Proszę pamiętać, że to był czas scalania ziem po trzech zaborach, w których były inne systemy prawne, mentalność, przyzwyczajenia. Musiało potrwać, zanim udało się wprowadzić działające rozwiązania.

Czyli w okresie międzywojennym praca dzieci była nadal normą?

Tak, jeśli mówimy o tej legalnej dla młodzieży od 15. roku życia. Ale pracowali i młodszy – szara strefa była ogromna. Już w XIX w. powoływano inspektorów fabrycznych, by sprawdzali nieprawidłowości, co budziło ogromny opór przemysłowców. Po pierwszej wojnie światowej w Polsce utworzono inspekcję pracy. Wprowadzona w 1924 r. ustawa o ochronie pracy małoletnich i kobiet zakazała dzieciom np. pracować w nocy. Ale gdy inspektorka – bo zwykle prawami dzieci zajmowały się kobiety – wchodziła do fabryki główną bramą, małoletnich wprowadzano tylną, by przeczekali na mrozie lub w deszczu, aż urzędniczka opuści zakład. W dodatku inspektorek było mało, więc nie były w stanie sprawdzić wszystkich zakładów i fabryk.

A czy fabrykanci nie nękali takich urzędników?

I to jak. Inspektor pracy Ilia Mołosow zaszczyty przez fabrykantów z Łodzi i Tomaszowa Mazowieckiego popełnił samobójstwo. W latach 30. XX w. niby doszło do emancypacji kobiet, ale gdy do fabryki przychodziła inspektorka, pracownicy patrzyli na nią z góry, nie pozwalali jej wypełniać obowiązków, okazywali wrogość, więc niektóre z nich brały ze sobą na inspekcję kolegę, żeby się czuć bezpiecznie. Jestem pełna podziwu dla nich, bo wykonały ogromną robotę. Oprócz tego, że zajmowały się inspekcjami, to jak Maria Kirsztowa i Halina Krahelska pisały urzędowe raporty i artykuły, zwracając uwagę na patologię. Z ich pism najwięcej dowiadujemy się o pracy dzieci w przemyśle.

Magdalena Kopeć jest historyczką i pisarką, muzealniczką w Muzeum Wsi Kieleckiej, autorką właśnie wydanej książki „Pastuszkowie, gazeciarze, tkaczki. Jak zmuszano dzieci do pracy”.



Gorzej miały te pracujące na wsi czy w miastach?

Jeżeli dziecko pracowało w gospodarstwie rodzinnym albo u sąsiada, było w jakiś sposób pod opieką rodziny lub znajomych. Gdy oddawano dziecko na służbę, najbliżsi niejako tracili swoje prawa – to pracodawca miał prawo karać i wychowywać. Jak trafiało do terminu, to mistrz przejmował obowiązki ojca. Bywało różnie. Pomimo że rodzice dawali łapówki, żeby rzemieślnik uczył ich dziecko, nie gwarantowało to, że będzie zadbane. Często przez kilka lat służyło jako pomocnik w warsztacie i domu, a tuż przed wyzwolinami, gdy miało stać się rzemieślnikiem i trzeba by mu było więcej płacić, było wyrzucane.

Przemysł fizyczna też pewnie wchodziła w rachubę?

Uważano ją za oczywistą. Pamiętam opowieść Teodora, który jako 14-latek poszedł do pracy w jednej z kopalń na Śląsku. Bardzo chciał tam pracować. Zaczął na powierzchni, a gdy zszedł pod ziemię, miał segregować urobek na wagonach. Był niezwykle dumny, gdy dostał „w pysk” od starszego górnikarza za to, że nie odróżnił kamienia od węgla. Dla nas to przemoc, ale nasze oceny trzeba odsunąć na bok i patrzeć na przeszłość taką, jaka ona była – z jej mentalnością, systemem społecznym i ekonomicznym.

Może i dzieci były dumne, ale nie zmieniało to faktu, że ciężka fizyczna praca niszczyła ich ciała. Przebadane przez archeologów szczątki mających od 8 do 18 lat dzieci zatrudnionych w XIX w. w młynie w wiosce Fewston w North Yorkshire miały nieprawidłowości rozwojowe. Wskazywały na zbyt niski wzrost, niedobory witamin i choroby układu oddechowego. Te dzieci były niedożywione i zmarły przedwcześnie.

Nie dziwię się. W XIX w. zaczęto ograniczać pracę dzieci w przemyśle, ale jej nie zniesiono. Nikt nie zapewniał dzieciom opieki zdrowotnej, a w fabrykach nie było znanych nam dziś zasad BHP. Sytuacja zmieniała się, wprowadzano nowe przepisy mające polepszyć warunki pracy w ogóle, ale szło to mozolnie. W okresie międzywojennym, kiedy powstawały kasy chorych, a inspekcja pracy próbowała nad wszystkim zapanować, przeprowadzono specjalne badania – zmierzono i zważono pracujące dzieci i określono, na co chorują. Okazało się,



W kuźni. Najmłodszy pracownik trzyma miotkę do odganiaania much, Włochy, koniec XIX w.

że ich organizmy są wycieńczone, źle odżywione, a przez to nieodporne. Młodzi robotnicy masowo zapadali na choroby związane z daną pracą – w górnictwie chorowali na pylicę, krawcowe i tkaczki miały problemy ze wzrokiem, dzieci z kręgosłupem, ze słuchem. Młodzi drukarze wystawieni na działanie różnych chemikaliów mogli mieć anemię, zatrucia, a nawet choroby układu nerwowego. Jedną z inspektorek napisała, że gdy weszła do fabryki grzebienni, unosiły się tam opary kwasu wywołujące u niej łzawienie, a pracownice zakładu śmiały się, bo one były do tego przyzwyczajone.

A wypadki w pracy?

Mnóstwo, i to tak dramatyczne, że trudno się o nich czyta w raportach. Na przykład dziewczyna, której włosy wciągnął pas transmisyjny i zerwał skórę z głowy. Były ucięte palce, dłonie, zmiażdżone stopy, rany i oparzenia. Proszę pamiętać, że znamy tylko te przykłady, które doszły do uszu inspektorek albo pojawiły się w oficjalnych raportach. Wcześniej, w XIX w. w ogóle się tym nie przejmowano – kalekiego dziecka jako nierokującego pracownika po prostu się pozbywano. Mnóstwa wypadków nie zgłaszano, by zachować posady.

To co robiło dziecko, które straciło palce i wyrzucono je z pracy, albo dziewczyna, którą zgwałcił pan, zaszła w ciążę i została wyrzucona ze służby?

Wracały pod opiekę rodziny, jeśli mogły, albo trafiały na ulicę. To trudny wątek dotyczący dziecięcej prostytucji, żebractwa, włóczęgostwa, przestępczości. Te dzieci próbowały sobie radzić na różne sposoby. Wszystko zależało od tego, na kogo trafiły. Dziewczynki często wpadały w ręce stręczycieli, trafiały do domów publicznych, gdzie najpierw sprzątały, a potem zmuszano je do nierządu. Dzieci, które w młodym wieku znalazły się na ulicy, stawały się przez nią napiętnowane. Opisuję los kilku dziewczynek, które trafiły do domów pomocy, ale i tak wracały do prostytucji, bo mogły lepiej zarobić, znały środowisko. Choć zdarzały się i takie, którym udało się wyrwać i ułożyć sobie życie.

Czy władze w okresie międzywojennym radziły sobie z prostytucją małoletnich?

Nie bardzo, i to pomimo prób instytucjonalnego nadzoru i zwalczania tego procederu. Co z tego, że w domach publicznych nie mogły pracować kobiety poniżej 21. roku życia, skoro z meldunków policyjnych wynika, że gdy wchodził do takich miejsc, to znajdowali tam 13-latkę. Wstrząsająca była dla mnie historia chłopca, który trafił na ulicę, mając zaledwie 11 lat. Znalazł się w środowisku prostytutek – zajęły się nim, a on im pomagał, np. nagał klientów lub ostrzegał przed policją. Tak dobrze sobie radził w tym światku, że mając 14 lat, sam już był stręczycielem.

Pisze pani, że pewną renomą na ulicy cieszyli się gazeciarze.

To była specyficzna profesja, dzieci się w niej sprawdzały doskonale, bo były sprytnie, szybkie i sprostregawcze. Każdy gazeciarz miał swoje rejony i nie lubił konkurencji, musiał też wykazywać się sprytem – największe cwaniaki potrafiły sprzedawać poranne gazety wieczorem albo wieczorną gazetę następnego ranka. Musieli doskonale znać wszystkie uliczne układy – żebraków, prostytutki, rzemieślników, bandziorów, by wiedzieć, jak między nimi lawirować, gdzie i o której będą klienci, bo wychodzą z teatru albo restauracji. To była szkoła przetrwania, by zarobić jakiś grosz.

W tym kontekście gdy ktoś dzisiaj gloryfikuje okres międzywojenny, to znaczy, że wybiórczo postrzega tamtejszą rzeczywistość.

Łatwo dać się porwać złudnej kreacji międzywojnia jako okresu rozwoju, emancypacji kobiet, urody art déco i nonszalanckiej bohemy artystycznej i literackiej. Ale okres międzywojenny to czas niezwykle złożony – czas zespalania, budowania, zmian, rozwoju przemysłu i zwyczajnej biedy. A w tym wszystkim żyły i pracowały tysiące dzieci oraz nastolatków.

Z tym że dzieci pracują na świecie i dzisiaj.

Niestety. Według statystyk z 2020 r. ok. 160 mln w rolnictwie, usługach, przemyśle, rozrywce i górnictwie. Małoletni szyją ubrania, które nosimy, zbierają kawę, którą pijemy, wydobywają kobalt, dzięki któremu korzystamy z komórek i laptopów. U nas są pod opieką prawną, choć jeszcze niedawno normą było, że dziewczynki opiekowały się młodszym rodzeństwem, a chłopcy pomagali w polu. W ciągu ostatnich lat perspektywa zmieniła się diametralnie – dziś 10-latek sprzedaje ciastka na ulicy najczęściej dla funu. Jako historyczka wiedziałam, że dzieci pracowały w trudnych warunkach, ale nawet mi trudno było przyjąć do wiadomości, jak często wpadały w szpony prostytucji albo traciły życie i zdrowie w wyniku wypadków w pracy. Fakt, że na świecie nadal tak się dzieje, jest przerażający. Tymczasem gdy spoglądam na moją kilkuletnią córkę, zastanawiam się, jak to było możliwe, że sześciolatka opiekowała się dwulatkiem i gotowała obiad, wchodząc na stołeczek, bo nie dosięgała do kuchni.

ROZMAWIAŁA AGNIESZKA KRZEMIŃSKA

serial

Sukcesja na Helu 4/6

Scheda, scen. Bartosz Janiszewski, reż. Anna Kazejak, 7 odc., HBO Max, od 22 sierpnia

Ostatnio Warner Bros. Discovery częściej kojarzyło się z chaotycznymi ruchami jego szefa Davida Zaslava niż – poza kilkoma wyjątkami – z porywającymi produkcjami, a najnowszym pomysłem jest kolejna zmiana nazwy serwisu streamingowego, tym razem z Max na HBO Max. Czy powrót do marki kojarzonej z serialami premium oznacza zwrot w sprawie jakości? „Scheda”, nowy polski serial, oceniany na podstawie czterech udostępnionych do recenzji odcinków, to realizacyjna perełka. Zdjęcia Helu, plaż i Bałtyku – z perspektywy pieszego, z samochodu, z kutra czy z drona – robią piorunujące wrażenie. To zarazem obraz dzikiego piękna, pociągającego i przerażającego, jak i izolacji, zamknięcia. Buduje atmosferę i kontekst dla emocji, motywacji i działań bohaterów. Wspierana naturą psychologia wydaje się najmocniejszą stroną serii, sensacyjna fabuła skupiona wokół znalezionej w morzu ciała bez głowy już może taka oryginalna nie jest. Głowa rodu Mrozów, Jan (Jacek Koman), choć od początku serii martwy (akcja zaczyna się od przygotowań do pogrzebu, a tytuł odnosi się do spadku), jest centralną postacią, wokół której toczy się życie jego dzieci, niezależnie od tego, jak bardzo by chciały się uniezależnić. Grane przez **Grzegorza Damięckiego**, **Magdalenę Popławską** i Bartosza Gelnera rodzeństwo to ludzie dorośli, część ma nawet własne rodziny, ale psychicznie wciąż są dziećmi skrzywdzonymi przez ojca manipulatora. Rozgrywanymi przeciw sobie, co świetnie pokazują retrospekcje, ale też uzależnionymi finansowo, bo patriarcha nie bez kozery zwany był królem Helu. Brawo dla aktorów za wykorzystanie w pełni danej szansy, ale warto też docenić scenarzystę za nieszablony wybór śledczego – nie zdradzam więcej, żeby nie popsuć widzom zabawy. Zapowiada się produkcja markowa, z wyższej półki HBO!

ANETA KYZIOŁ



film

Nierozłączni 4/6

Together, reż. Michael Shanks, prod. Australia, USA, 102 min, w kinach od 22 sierpnia

Jak bardzo przytłaczająca może być miłość? Millie i Tim (**Alison Brie** i **Dave Franco**, para także w prawdziwym życiu) będą mieli okazję się o tym przekonać. Ich związek właśnie zaczyna się psuć: nie są pewni, czy łączą ich jeszcze prawdziwe uczucie, czy to już tylko przyzwyczajenie. Ona jest ambitna i przebojowa, on wycofany i zamknięty w sobie, nieustannie rozpamiętuje nieudaną muzyczną karierę i przeżywa niedawną śmierć ojca. Przeprowadzka na prowincję – dla Millie spełnienie marzeń, dla Tima kolejne trudne do udźwignięcia wyzwanie – nie

pomaga. Jednak przypadek, woda wypita z podziemnego źródła w ruinach tajemniczej świątyni, sprawia, że oboje znów stają się nierozłączni. Całkiem dosłownie: ich ciała zaczynają się ze sobą stapiać i zraszać w procesie, który trudno powstrzymać. Pełnometrażowy debiut Michaela Shanksa sprawnie łączy body horror z czarną komedią, nawet jeśli jako metafora toksycznej relacji, w której każde z partnerów walczy o dominację i uwagę, bywa chwilami zbyt dosłowny. Lecz jednocześnie jest całkiem sensowną refleksją na temat związków, dynamiki między partnerami, zależności i wzajemnego zagarniania przestrzeni życiowej. Shanks umie równoważyć emocje: najbardziej drastyczne sceny potrafi rozładować absurdalnym dowcipem, groza zaś nie zasłania realnego dramatu bohaterów. A bardzo dobra rola Brie równoważy mniej udany występ Franco, co tylko dodatkowo podkreśla ich trudną ekranową relację.

JD



film

Mikrokosmos w wędzarni 4/6

Bałtyk, reż. Iga Lis, prod. Polska, 66 min, w kinach od 22 sierpnia

Tytuł przywołuje skojarzenia z bezkresem morza i wakacyjną sielanką, jednak „Bałtyk” koncentruje się na małym skrawku nadmorskiego krajobrazu: budce z wędzonymi rybami, prowadzonej przez panią **Miecię** od 40 lat. Oblegana przez turystów wędzarnia stała się niemal symbolem Łeby – zdecydowanie lepszym niż pływający wzdłuż wybrzeża piracki statek wycieczkowy, wykrzykiwane przez wodzireja „I tak się bawi Łeba” powraca w filmie niczym refren – lecz film Igi Lis daleki jest od fetyszowania lub z drugiej strony demonizowania nadmorskich atrakcji. Nie wpisuje się w trwającą od dawna dyskusję o tym, czy nad Bałtykiem da się

jeszcze normalnie wypoczywać i czy turystów nie odstraszą paragoni grozy. Młoda reżyserka nie wydaje się zainteresowana polsko-polską przepychanką, za to bardzo lubi ludzi. W jej filmie Wędzarnia u Mieci to mikrokosmos emocji, uczuć, doświadczeń. Rubaszna właścicielka ma olbrzymią charyzmę i poczucie humoru, lecz poznajemy ją również jako kontrolującą wszystko pracoholiczkę, która płaci zdrowiem za cztery dekady roboty w niesprzyjających warunkach. Iga Lis potrafi słuchać

(udowodniła to już krótkometrażowym debiutem dokumentalnym „Za moich czasów”) i – podobnie jak kilka lat temu Łukasz Kowalski w świetnym „Lombardzie” – wie, jak portretować swoich bohaterów z empatią, lecz bez fałszu i czułościowości. Pani Miecia, jej rodzina i pracownicy tworzą galerię fascynujących, barwnych postaci. Odsłaniają przed kamerą swoje marzenia, lęki i nadzieje, aż chciałoby się z nimi spędzić nieco więcej czasu.

JAKUB DEMIAŃCZUK



Samotność jako szansa 5/6

Death Stranding 2: On The Beach, Kojima Productions, Sony IE, PlayStation 5

Udana i nowatorska kontynuacja opowieści Hideo Kojimy o kurierze Samie Porterze Bridgesie (znany z serialu „The Walking Dead” Norman Reedus), przemierzającym umierający świat przyszłości. Śmierć jest tu wszechobecna w formie zmarłych, bytów tyleż metafizycznych, ile fizycznych i niebezpiecznych, przenikających do naszego świata z równoległego metawersum. Sam dostarcza rozszanym po wyludnionej Ziemi niedobitkom niezbędne towary i podłącza ich do sieci chiralnej, mającej się do internetu tak, jak internet miał się do radiofonii. Kojima znów stworzył grę na kształt filmu drogi, celebrując doświadczenie samotności jako szansę na kontemplację. Nie brak tu też dynamicznych epizodów wpisanych w intrygującą fabułę. Powraca zjawiskowa w roli Fragile Léa Seydoux („Spectre”, „Nie czas umierać”), brawa należą się też Elle Fanning („Predator: Badlands”) jako Tomorrow, show kradnie jednak Troy Baker („The Last of Us”) ponownie jako antagonistą Higgsa.



Mafia bez iskry 3/6

Mafia: The Old Country, Hangar 13, Cenega, PlayStation 5, Windows, Xbox Series X/S

Pierwsza „Mafia” (2002) była objawieniem. Opowieść o amerykańskich gangsterach w czasach prohibicji imponowała wartką fabułą, wiarygodnością protagonistów, profesjonalnie wyreżyserowanymi parafilmowymi epizodami. Pod wieloma względami gra studia Illusion Softworks wyprzedzała epokę. Zazdrościliśmy Czechom takiej perły – „Wiedźmin” trafił do sprzedaży dopiero pięć lat później! Stworzona przez już inne studio, Hangar 13, „Mafia: The Old Country” jest prequelem tamtej historii. Przenosi nas na Sycylię początku XX w., gdy mafia zaczynała krzepnąć. Protagonista Enzo przebywa drogę od prostego wyrobnika w kopalni siarki po znaczącą postać w cosa nostrze. Niestety ta opowieść nie przykuwa do ekranu tak, jak pierwsze gry cyklu. Jest poprawna, ale banalna, bez iskry. Mimo niemal ćwierćwiecza, które upłynęło od premiery dzieła Illusion Softworks, pod pewnymi względami „Mafia: The Old Country” jest krokiem wstecz. Zabrakło talentu scenarzysty i reżysera Daniela Vávry, dziś spełniającego się przy świetnej serii „Kingdom Come: Deliverance”.



Z tarczą 4/6

Titan Quest II, Grimlore Games, THQ Nordic, Windows, PlayStation 5, Xbox Series X/S

Od premiery „Titan Quest” (2006) najpoważniejszy wtedy epigon gier z cyklu „Diablo” zdążył obrosnąć legendą, a nostalgia i marzenie o następcy spęczały wśród miłośników gatunku do gargantuicznych rozmiarów. Twórcy „Titan Quest II” mieli zatem niełatwe zadanie zmierzenia się z mitem, a nawet z całą mitologią, bo gra znów przenosi nas do antycznej Grecji zaludnionej przez stworzenia mityczne i wyobrażone. I jak dotąd wszystko wskazuje na to, że wyszli z tego ambarasu z tarczą. „Jak dotąd”, bo gra trafiła do sprzedaży w wersji jeszcze niepełnej, bez ostatecznych poprawek. Zawartość będzie sukcesywnie rozwijana, aż do formalnej premiery w 2026 r. Na razie dostajemy to, co chcieliśmy – wartką grę akcji, w której protagonista stawia czoło niezliczonym monstrom, zdobywa i ulepsza ekwipunek, rozwija unikalne zdolności, wyrusza na misje, także opcjonalne. „Titan Quest II”, co szalenie ważne w takich produkcjach, jest nie tylko wizualnie atrakcyjny, ale też nienagannie czytelny, pozwalając łatwo spostrzegać na ekranie to, co istotne.

OLAF SZEWCZYK



książki Fragmenty książek na stronie: www.polityka.pl/czytelnia

Anatomia zniknięcia 5/6

Angie Kim, **Iloraz szczęścia**, przeł. Rafał Lisowski, wyd. Filtry, Warszawa 2025, s. 527

Pewnego dnia znika tata. O tym, co się stało, wie tylko syn Eugene, który nie mówi (ma zespół Angelmana). Od tej zagadki zaczyna się opowieść amerykańsko-koreańskiej pisarki, która trzyma w napięciu, choć nie jest typowym thrillerem, lecz raczej powieścią psychologiczną. W trakcie lektury przypomina się słynny fragment z „Anny Kareniny”: „Wszystkie szczęśliwe rodziny są do siebie podobne, każda nieszczęśliwa jest nieszczęśliwa na swój sposób”. Poszukiwanie rozwiązania zagadki prowadzi do rozmaitych odkryć. Jednak to nie zwroty akcji są tu najistotniejsze, lecz działanie ludzkiego mózgu i komunikacji. Mia, starsza siostra Eugene’a i narratorka opowieści, idzie śladem zapisków ojca, jego prób porozumiewania się z synem. Cała ta



historia podważa głęboko zakorzenione społecznie przekonanie, że sprawność mowy i inteligencja to jedno i to samo. Mia odkrywa też teorie ojca dotyczące szczęścia. Próbował znaleźć prawidłowości i wzory, które pozwoliłyby mu zaprogramować pragnienia. Dlaczego nie czujemy się szczęśliwi, kiedy powinniśmy być? Od czego to zależy? Co to znaczy pragnąć tego, co już się ma? Mia znajduje inne odpowiedzi niż ojciec. Powieść zgrabnie łączy z jednej strony filozoficzno-naukowe dociekania, a z drugiej śledztwo i poszukiwanie tropów, często fałszywych. I wnikliwie pokazuje rodzinę, te drobne zjawiska, które ją tworzą, piosenki przy myciu zębów, niewidzialne i niewerbalne połączenia i podobieństwa.

JUSTYNA SOBOLEWSKA



Od słowa do słowa 5/6

Antoine Wilson, **Usta-usta**, przeł. Łukasz Witczak, Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2025, s. 248

Anonimowy narrator, pisarz, leci do Niemiec z przesiadką na lotnisku JFK w Nowym Jorku. To pierwszy plan tej szkatułkowej powieści, przy czym słowo „szkatułka” dobrze oddaje jej rozmiary. Bohater w oczekiwaniu na lot wpada na Jeffa Cooka, znajomego ze studiów. Nie byli sobie bliscy, a teraz „nadrabiają zaległości” w sali dla VIP-ów.

Jeff ma wejściówki, nosi się schludnie i „dorośle”, najwyraźniej powiodło mu się w życiu. To pierwsza zagadka: jak tego dokonał? Druga to opowieść, którą snuje nieproszony. Wyznaje, że przed laty uratował komuś życie, wyciągnął topielca na brzeg. Wcale się z tego nie cieszył, czuł, że nie miał wyboru. To zdarzenie, w gruncie rzeczy traumatyczne, wywróciło jego świat. Człowiek, którego ocalił, okazał się zamożnym handlarzem sztuki. Jeff obsesyjnie podążał jego tropem, aż wreszcie się u niego zatrudnił. „Nie chcę zdominować tej rozmowy” – mówi na lotnisku, gdy czytelnik dawno zapomina, że jest tu jakiś pierwszoosobowy narrator i słuchacz. Jego fiksjacja na marszandzie niepokoi coraz mocniej z każdą nową odsłoną tej historii. Jeff szuka potwierdzenia, że jest dobrym człowiekiem i postąpił, jak należy, ocalając cudze życie. Jednak nie jest to takie oczywiste. Antoine Wilson pogrywa z moralnością czytelnika i gra konwencjami. Pod płaszczykiem thrilleru utkał przypowieść o tym, jak niezbadane są wyroki losu.

ALEKSANDRA ŻELAZIŃSKA



Przekleństwo nieśmiertelności 3/6

Keanu Reeves, China Miéville, **Księga innych miejsc**, przeł. Tomasz Wilusz, Prószyński i S-ka, Warszawa 2025, s. 484

Nazwiska autorów powinny być wystarczającą rekomendacją: Reeves dostarczył pomysł i koncepcję świata, zapożyczone z pisanej przez niego serii komiksowej „BRZRKR”, Miéville, który jeszcze kilka lat temu należał do najważniejszych autorów literatury fantastycznej, ubrał to w słowa. Ich wspólne dzieło budzi jednak mieszane uczucia. Stworzony przez Reevesa bohater, znany jako B lub Unute, to obdarzony potężną mocą wojownik, który od 80 tys. lat przemierza Ziemię. Jedni widzą w nim boga, inni diabła, on sam szuka już tylko wytchnienia. Podejmuje więc współpracę z amerykańskim rządem: wykonuje zadania, jakich nie podjęliby się zwykli ludzie, a jednocześnie wierzy, że badania naukowców pozwolą mu zrzucić klątwę nieśmiertelności. „Księga innych miejsc” sprawnie przetwarza rozmaite fantastyczne i superbohaterskie schematy, a Miéville między gwałtownymi i bardzo brutalnymi scenami akcji zostawia czytelnikom przestrzeń do rozważań na temat człowieczeństwa, czasu, trwających ludzkość obsesji. Nie ułatwia przy tym zadania – to akurat zaleta – zmieniając plany czasowe, punkty widzenia, nawet styl narracji. Niestety niezbyt wiele z tego wynika: fabuła meandruje, mąci obraz, wraca uporczywie do tych samych tematów, lecz rozwija je powoli. Był w „Księdze innych miejsc” potencjał wielkości – z intrygującym głównym bohaterem i precyzyjnie zbudowanym światem. Lecz ostatecznie z każdą kolejną stroną w czytelniku – niczym w Unute – wzbiera pragnienie, by wreszcie nadszedł koniec.

JAKUB DEMIAŃCZUK

Wystawa jednopłciowa 3/6

Joanna Fluder. Śluz, Narodowa Galeria Sztuki Zachęta, Warszawa, do 19 października

Zacznijmy od atutów. Bohaterce wystawy nie można odmówić paru cech ważnych, gdy się uprawia sztukę, takich jak podszyta surrealizmem wyobraźnia, wrażliwość, uważność w patrzeniu na świat, pewien rodzaj delikatności, a także poczucie humoru. To sporo, ale czy wystarczająco, by doczekać się paromiesięcznej indywidualnej wystawy w czołowej galerii kraju? Szczególnie gdy lista wybitnych artystów, którzy tego zaszczytu nie dostąpili, jest długa jak warkocz komety. A zadaniem Zachęty być nie powinno promowanie nieznanych, lecz raczej celebrowanie prawdziwie zasłużonych. Czymże więc Joanna Fluder zasłużyła się, by trafić od razu na Parnas? Przede wszystkim jednym – jest jak wzorzec z Sèvres tzw. sztuki kobiecej. Malowała, heroicznie, między opieką nad dziećmi, prasowaniem i gotowaniem. Jej ukochany kolor (ok. 80 proc. powierzchni obrazów) to róż. Wycofana, przytłoczona, niezdolna przebić się przez opresyjne reguły rządzące „art worldem”. Ale oto dostrzeżona i wyniesiona na piedestał. Bo dziś sztukę kobiecą hołubi się pod każdą postacią, przynajmniej od razu na wstępie dodatkowych 100 punktów. Nawet jeśli maniera malarska, polegająca na naśladowaniu dzieci lub malarzy prymitywistów, wydaje się pozbawiona świeżości. Wszystkim, którzy oburzają się na dzielenie sztuki na męską i kobiecą, odpowiem: ta wystawa jest kobieca na wskroś i do cna.

PIOTR SARZYŃSKI



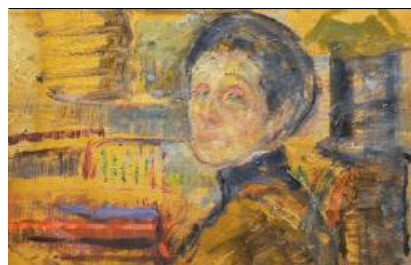
W salonie Chopina

VII Festiwal Romantycznych Kompozycji. Elsner i jego następcy: Salon Chopina, Warszawa, pałac Na Wyspie, 29 sierpnia–3 września

Miesiąc przed konkursem chopinowskim można będzie posłuchać w Łazienkach dzieł Chopina i jego przyjaciół. Paru uczestników tegorocznych zmagnię (Jan Widlarz, Yehuda Prokopowicz) powtórzy sobie repertuar, ale pojawią się też pianiści znani z poprzednich konkursów: Krzysztof Książek, który na fortepianie historycznym będzie grał utwory m.in. Juliana Fontany, Józefa Nowakowskiego oraz Belliniego i Liszta, a Tymoteusz Bies zaprezentuje rzadko dziś wykonywane utwory wirtuozów z epoki (Friedrich Kalkbrenner, Sigismund Thalberg), jak też Liszta, Schuberta i Schumanna. Wystąpi też młody pianista amerykański wykształcony w Paryżu Arthur Hinnewinkel, który zestawi Chopina nie tylko z Lisztem, ale też z Ravellem, Bartókiem i Beethovenem, a prawdziwym ewenementem będzie recital Ewy Leszczyńskiej, świetnej sopranistki i pianistki zarazem, która zaśpiewa romantyczne pieśni polskie, sama sobie akompaniując. Inny klimat wniesie występ Piotra Orzechowskiego (Pianohooligana) „24 Preludia i Improwizacje”.

DOROTA SZWARCMAN

Szczegóły: lazienki-krolewskie.pl/wydarzenia/vii-festiwal-romantycznych-kompozycji



Olga Boznańska i... malarstwo polskie XIX i początku XX wieku z kolekcji Muzeum Narodowego w Gdańsku, Pałac Opatów w Oliwie, do 29 marca 2026 r.

B rzmiały jak szkolne wypracowanie tytuł wystawy wyjaśnia praktycznie wszystko. Króluje rzecz jasna Boznańska, ale kuszą też inne wielkie nazwiska, od Michałowskiego i Matejki, poprzez Wyspiańskiego i Malczewskiego, po Fałata i Weissa. Nie są to zbiory tak okazałe i rozległe jak w Muzeach Narodowych w Warszawie czy Krakowie, ale parę perełek się znajdzie. Wystawa z gatunku „Znacie? Znamy! No to obejrzyjcie”. P. S.



Hommage à Kieślowski, Sokołowsko, 29–31 sierpnia

P oświęcony pamięci Krzysztofa Kieślowskiego festiwal to jak zawsze okazja, by jeden z ostatnich letnich weekendów spędzić w doborowym filmowym towarzystwie. Tegoroczna edycja odbywać się będzie pod hasłem „Końce i początki”, a w programie – obok najciekawszych polskich premier sezonu – znalazły się m.in. specjalne pokazy „Trzech kolorów: Niebieskiego”, „Krzyku” Barbary Sass oraz „Fanny i Aleksandra” Ingmara Bergmana, a także retrospektywa dzieł czeskiej reżyserki Drahomíry Vihanovej. JD



Kneecap, Warszawa, Klub Stodoła, 1 września

D okładnie miesiąc po gorącym przyjęciu na OFF Festiwalu wraca do Polski irlandzkie rapowe trio Kneecap. Najbardziej polityczny zespół tego festiwalowego lata pierwotnie miał wystąpić w Wiedniu, koncert jednak odwołano z powodu towarzyszących grupie kontrowersji (m.in. poparcia dla Hamasu). W Warszawie na pewno nie zabraknie płynącej ze sceny energii i wyrazistych deklaracji. W Katowicach chóralnie skandowano „Fuck Orbán”, teraz czekamy na słowo na temat Putina. MK

Filmowanie przez promptowanie

Filmowcom coraz trudniej ignorować swobodę, jaką dają im narzędzia AI, zarazem radykalnie obniżając koszty i skracając czas tworzenia. Czy Hollywood powinno się bać?

MARIUSZ HERMA

W połowie sierpnia w Nowym Jorku, San Francisco i ośmiu innych amerykańskich metropoliach w kinach IMAX wyświetlano dziesięć filmów, które trwały zaledwie po kilka minut, ale oferowały przebogate wrażenia. Od historii o upadku Ziemi i ucieczce na inną planetę, poprzez „odważną, surrealistyczną

opowieść o kobiecości”, aż po efektowną sensację anime i próbę spojrzenia na świat oczami kury. Wszystkie powstały dzięki AI.

Najważniejszym punktem pokazu była projekcja filmu „Total Pixel Space”, zwycięzcy nowojorskiego AI Film Festival (pozostała dziewiątka to wyróżnieni), dostępnego także na YouTube. Oglądamy tu sceny z codziennego życia zwykłych ludzi, żyjących dziś i w poprzednich dekadach, przeplatane spektakularnymi ujęciami kosmicznych mgławic, księżycowych kraterów, górskich szczytów i gejzerów. Jakieś amerykańskie miasteczko zalewa tsunami, a rzeka przechodniów – japońską metropolię. Wszystko to nieco w duchu „Koyaanisqatsi”.

Realizacja tak monumentalnego filmu jeszcze kilka lat temu wymagałaby zaangażowania niezliczonych aktorów, realizatorów, scenografów oraz wielu podróży, także pozaziemskich. Tymczasem w napisach końcowych „Total Pixel Space” pojawia się tylko jedno nazwisko: amerykańskiego reżysera Jacoba Adlera. To samo dotyczy większości z 6 tys. filmów, które nadesłano na trzecią już edycję AI Film Festival (na pierwszą przyszło 300). Imprezę zorganizowano w prestiżowym Lincoln Center, gdzie od ponad 60 lat odbywa się New York Film Festival. W jury

konkursu zasiedli m.in. reżyserzy Gaspar Noé i Harmony Korine oraz Jane Rosenthal, współzałożycielka Tribeca Festival.

– *Filmy AI zaczynają być traktowane bardziej serio* – mówi Adler, zwycięzca przeglądu. Jako reżyser pracujący także tradycyjnymi metodami zauważa, że pierwsza fala filmów generowanych przez sztuczną inteligencję stawiała na efekciarstwo, szokowanie. Obecnie przybywa takich, w których technologia służy do tworzenia zniuansowanych opowieści, pokazywania osobistych perspektyw. – *Dlatego coraz więcej festiwali, krytyków i widzów zaczyna interesować się filmami AI z takim samym nastawieniem jak do innych kinowych form. Oceniają rzemiosło, narrację, ciężar emocjonalny, zamiast skupiać się na narzędziach, których użyto* – tłumaczy.

O narzędziach trudno jednak zapomnieć, skoro „Total Pixel Space” i wszystkie inne tytuły z festiwalu z perspektywy technologicznej należą już do poprzedniej epoki – powstały wszak co najmniej kilka miesięcy temu.

W tempie kultury

W połowie lipca brytyjski prezenter telewizyjny Richard Osman, gospodarz popularnego podcastu kulturalnego „The Rest is Entertainment”, stwierdził w nim: „Właśnie zakończyła się pewna era w historii branży rozrywkowej i zaczęła nowa. TikTok, reklamy, trailery – do 2027 r. większość takich rzeczy będzie generowana przy użyciu AI”. Jego zdumienie wywołały możliwości nowego modelu Google do generowania klipów wideo o nazwie Veo 3 – tworzy obrazy o niespotykanym dotąd realizmie.

– *Rewolucją bym tego nie nazwał, raczej kolejnym krokiem w ewolucji AI, ale jej możliwości rzeczywiście zmieniają się niemal z miesiąca na miesiąc* – przyznaje Yonatan Dor, szef studia Dor Brothers, słynącego z przewrotnych klipów z udziałem znanych





„Total Pixel Space”,
reż. Jacob Adler, zwycięzca
nowojorskiego AI Film Festival



Filmowy realizm
wygenerowany
w modelu Veo 3

światowych polityków. Najpopularniejszy z nich, w którym Donald Trump i Elon Musk imprezują w limuzynie z kuso odzianymi dziewczynami, tylko na YouTube wyświetlono 16 mln razy. W najnowszym filmiku obok tych samych postaci, wrzuconych w środek krwawych ulicznych zamieszek, pojawia się Greta Thunberg zjadająca się mięsiwem. W autentyczność tych scen nie uwierzy chyba nikt, ale bez względu na ich treść samej jakości obrazu trudno wiele zarzucić.

Podobnie jak dziełom reżyserów Samira Mallala i Bouhy Kazmiego ze studia OneDay, którzy też inspirowali się newsami. Ich najnowsza produkcja to 12-minutowy film „Midnight Drop” dotyczący ataków USA na instalacje atomowe Iranu. Wszystkie jego sceny – od amerykańskich bombowców wylatujących w kierunku Iranu po kobietę, która karmi koty na opustoszałych ulicach Teheranu – bazują na doniesieniach mediów, którymi twórcy nakarmili AI. Kilka tygodni wcześniej w podobny sposób ►



Inny, kosmiczny obraz stworzony przez Veo 3

Możliwości narzędzia Aleph start-upu Runway: ta sama scena w różnych wariantach

► zrelacjonowali atak dronowy ukraińskich służb na rosyjskie bombowce stacjonujące na lotniskach w głębi kraju.

Mallal i Kazmi wymyślony przez siebie format nazywają „filmowymi newsami”. „Nigdy wcześniej nie dostaliśmy thrillera opartego na aktualnych wiadomościach, który by powstał w ciągu dwóch tygodni” – mówił ten pierwszy. Według niego każdy z tych filmów bez AI kosztowałby miliony dolarów i wymagał co najmniej dwóch lat pracy. Tymczasem pomiędzy tymi dwoma projektami zrealizowali jeszcze trzeci: tym razem o podróży międzygwiazdowej komety 3I/ATLAS przez Układ Słoneczny. Jego premiera miała miejsce na antenie BBC News.

Wszystkie te obrazy powstały przy użyciu wspomnianego modelu Veo 3 i wielu innych narzędzi, jak Sora firmy OpenAI czy Midjourney. Korzystanie z nich to koszt rzędu dziesiątek, w porywach setek dolarów miesięcznie. „Staramy się udowodnić, że można stworzyć materiał na naprawdę wysokim poziomie, ale szybko, w tempie obecnej kultury. Tymczasem Hollywood działa niebywale powoli” – tłumaczył Mallal. Tylko na czym to tworzenie w praktyce polega?

Surowy materiał

– Proces powstawania filmu AI diametralnie różni się od tradycyjnego. Tam pracujesz z kamerami, aktorami, lokacjami. Wszystko fizycznie znajduje się przed tobą, a ograniczenia wynikają z logistyki i budżetu. W przypadku AI „ujęcie” wydarza się w komputerze, ograniczenia dotyczą zaś języka, iteracji, nieprzewidywalności modelu. Zamiast reżyserować aktorów, reżyserujesz prompty – opowiada Jacob Adler, mając na myśli słowne polecenia wydawane sztucznej inteligencji. Według niego obie metody łączy jednak rzecz najistotniejsza: udana produkcja wymaga jasnej wizji, która poprowadzi cały proces. – W tradycyjnym filmie próbujesz nagiąć do tej wizji istniejący świat. W przypadku AI naginasz do niej nieskończoną, chaotyczną przestrzeń możliwości – mówi.

Za najważniejsze zalety korzystania z AI uznaje ogromną swobodę twórczą i szybkość eksperymentowania. Pozwala ona sprawdzać pomysły, których dotąd realizować się nie dało lub byłyby zbyt kosztowne. Ale AI wciąż z trudem utrzymuje spójność pomiędzy kolejnymi scenami, gubi niuanse ruchu, subtelne ludzkie zachowania.

Poza tym wygenerowanie jakiejś sceny to zaledwie początek pracy nad materiałem, który wymaga tysięcy iteracji – dopracowywania promptów, poprawiania parametrów, dodawania detali. Za każdą klatką i każdą sceną „Total Pixel Space” stoją dziesiątki wersji pośrednich, które dopiero na końcu mozolnego procesu

osiągnęły oczekiwaną przez reżysera kompozycję, ton, emocje.

– To także niezliczone godziny spędzone na gromadzeniu pomysłów, rozwijaniu koncepcji, pisanu scenariusza, który powiąże te wszystkie obrazy w spójną narrację. Maszyna może wyprodukować surowy materiał, ale to człowiek zamienia go w sztukę – zaznacza Adler.

Także Yonatan Dor podkreśla ten ludzki wkład w filmy AI i podobieństwo pracy nad jej wsadem do tradycyjnej postprodukcji.

– Niemal wszystkim moim postaciom muszę ręcznie kolorować twarze, aby wyglądały wiarygodnie. Dodaję mnóstwo detali, inne usuwam. Dostosowuję oświetlenie, dodaję ziarno, poprawiam tempo – wylicza. Nad swoim ostatnim trailerem nieistniejącego filmu spędził ponad 200 godzin. W napisach końcowych „filmowych newsów” Mallala i Kazmiego także pojawiają się pewne tradycyjne role: scenarzysta, reżyser, dyrektor kreatywny, osoby odpowiedzialne za montaż, barwy, edycję dźwięku czy efekty specjalne.

– W przypadku filmów AI można stracić też coś nieuchwytnego – nieprzewidywalność ludzkich interakcji na planie, niefortunne wypadki, jakie zdarzają się, gdy pracujesz z prawdziwymi ludźmi i miejscami. Dlatego dla mnie AI nie stanowi następcy tradycyjnych metod, lecz poszerzenie dostępnych narzędzi – mówi Adler. Te uspokajające słowa nie wszystkich jednak przekonują i codziennością stają się protesty rozmaitych twórców przeciw AI. Ale coraz więcej powodów do irytacji mają również zwykli odbiorcy.

Potop bobasów

Za organizację AI Film Festival odpowiada start-up Runway, jeden z czołowych producentów modeli AI do generowania i edycji wideo – korzystano z nich m.in. przy produkcji oscarowego filmu „Wszystko wszędzie naraz”, serii „Top Gear” czy teledysków Kanye’ego Westa. Najnowszy, czwarty model AI udostępniony przez firmę lepiej niż poprzednie radzi sobie z zachowywaniem spójności postaci i obiektów pomiędzy kolejnymi scenami. Wartość Runway szacowana jest na 3 mld dol., a wśród jej inwestorów są Google i Nvidia.

Rok temu portal technologiczny 404 Media napisał, że Runway w sekrecie pobierało z YouTube tysiące materiałów, aby szkolić swój trzeci model, choć sama firma zapewniała, że korzysta z „wewnętrznych zbiorów danych”. Tego rodzaju zarzuty dotyczą w zasadzie wszystkich firm rozwijających narzędzia AI. Dlatego także w Unii Europejskiej narastają apele, by chronionymi prawnie treściami nie można było karmić AI bez zgody autorów – uznawanej obecnie za domyślną.

Ograniczeń wobec sztucznej inteligencji podczas wielomiesięcznych strajków domagali się także pracownicy Hollywood,



Filmowy news „Midnight Drop” Samira Mallala i Bouhy Kazmiego ze studia OneDay dotyczący ataków USA na instalacje atomowe Iranu

od scenarzystów po aktorów. Ci pierwsi obawiali się, że zamiast zamawiać u nich oryginalne scenariusze i adaptacje, studia filmowe zaczną używać AI do generowania pomysłów na filmy czy serie. Z kolei związki zrzeszające aktorów określiły ekspansję AI mianem kryzysu egzystencjalnego, szczególnie obawiając się tego, że ich wygląd, głos i talent aktorski zostaną zreplikowane przez AI i będą używane bez ich zgody.

Ekspansja AI na razie najbardziej dotknęła jednak nie twórców, lecz odbiorców. Najpierw internet zalały artykuły, a wydawnictwa całe książki generowane przy użyciu ChatGPT. Później z podobnym problemem zderzyli się słuchacze – serwis streamingowy Deezer ujawnił, że codziennie usuwa 20 tys. utworów stworzonych przez AI. W końcu przyszedł czas na treści wideo. Już cztery z 10 czołowych kanałów na YouTube oferują generowane tak klipy, na TikToku również roi się od przesłodzonych wirtualnych bobasów, fikcyjnych katastrof naturalnych czy sportowców bardziej ekstremalnych od tych prawdziwych.

O tym, jak łatwo obecnie wygenerować sobie popularność, świadczy kanał Masters of Prophecy, który na YouTube oferuje proste animowane wideoklipy z muzyką w syntezatorowym duchu lat 80. Wystarczyło to, by przyciągnąć ponad 30 mln obserwujących i wygenerować setki milionów odsłon. Choć istnieją podejrzenia, że za część tego ruchu odpowiadają krewniacy AI – boty. Z tym amokiem pustych treści najpewniej w końcu będą musiały sobie poradzić wystarczająco inteligentne filtry, inaczej całe połacie sieci mogą się stać bezużyteczne. Na razie wróćmy jednak do prawdziwego kina.

Młodzi geniusze

Jako że film to jedna z najbardziej zespołowych dziedzin sztuki, mogło się wydawać, że dłużej niż inne będzie się opierać AI – wszak trudniej dorównać kompetencjom całej ekipy filmowej niż pojedynczego pisarza czy nawet kilkorga muzyków. Tymczasem paradoksalnie właśnie ten nakład pracy i pieniędzy, niezbędny do stworzenia filmu, czyni z AI pokusę coraz trudniejszą do zignorowania. Dowodzi tego przypadek Netflix, który przyznał, że twórcy serialu science fiction „Eternauta” wygenerowali całą scenę walącego się budynku, dziesięciokrotnie skracając czas pracy nad takim ujęciem. „Koszt takiego czegoś byłby poza zasięgiem serialu o tak małym budżecie” – tłumaczył szef platformy.

Z narzędziami firmy Runway eksperymentuje już studio Lionsgate, odpowiedzialne za blockbustery „Igrzyska śmierci”, „Sage: Zmierzch” i „Johna Wicka”. Rozważają takie pomysły, jak zamiana hitów studia na filmy animowane albo „dostosowanie

ich do młodszej publiczności”. Z narzędzi AI ochoczo korzysta znany z „Requiem dla snu” i „Czarnego łabędzia” reżyser Darren Aronofsky, który współpracuje w tej dziedzinie z Google. James Cameron w podobny sposób zbrał się z firmą Stability AI. „Zyśki spadają, widzów w kinach ubywa, jeszcze nigdy nie było tak trudno robić filmy. Jeśli publiczność chce hitów, musimy znaleźć sposób, by ich koszty obniżyć o połowę” – tłumaczył Cameron.

Według części filmowców przyszłością są hybrydowe produkcje łączące materiał AI i ten nagrany na żywo. Runway pod koniec lipca udostępniło narzędzie Aleph do edycji istniejących nagrań wraz z klipem prezentującym jego możliwości. Najpierw na tradycyjnym filmiku widzimy rowerzystę, który radosnym slalomem przemierza most w jakimś amerykańskim mieście. Cięcie: ta sama scena, ale na niebie za rowerzystą wybuchają fajerwerki. Kolejna iteracja: wpadamy w środek zimy, wszędzie białe, koła roweru zostawiają na śniegu szeroki ślad. I kolejny wariant: burza piaskowa, w pomarańczowym pyłe ledwie widać zarys sylwetki bohatera.

Tego rodzaju ingerencje AI publiczność przyjmie zapewne bez zastrzeżeń, bo w praktyce nie różnią się zbyt od efektów specjalnych. Ale nie chodzi tylko o zastąpienie ich znacznie tańszą i szybszą alternatywą (ani o uniknięcie czekania miesiącami na odpowiednie warunki pogodowe). – Dzięki nieskończoności możliwości, jaką oferuje AI, powstaną nowe formy filmowej ekspresji, które wcześniej nie miały szans zaistnieć. W tym sensie nie dojdzie do zastąpienia dotychczasowego typu kinematografii jakimś nowym, tylko do poszerzenia definicji tego, czym kino może być – ocenia Jacob Adler.

– Sztuczna inteligencja demokratyzuje tę dziedzinę, wkłada zdolności wytwórcze w ręce jednostek – zauważa z kolei Dor. – Gdzieś na świecie jest nastolatek, który ma fenomenalny pomysł na film, ale nie ma milionów dolarów, by go zrealizować. I takich młodych geniuszy mogą być dziesiątki, setki. On sam, choć dobija trzydziestki, ponieważ znajduje się w sytuacji takiego nastolatka. Trailery nieistniejących filmów, które publikuje, mają przyciągnąć inwestorów, którzy umożliwiliby realizację jego pomysłów... w starym stylu. – Na razie robienie pełnometrażowego filmu za pomocą AI byłoby koszmarem. Ta technologia musi dojrzeć, może za kilka lat będzie się do tego nadawać – przyznaje Dor.

Gdyby pojawił się w Lincoln Center na otwarciu AI Film Festival, usłyszałby obietnicę, jaką złożył obecnym jeden z założycieli firmy Runway: „Naszym celem jest sprawić, byście mogli tworzyć filmy pełnometrażowe. Jesteśmy już blisko”.

MARIUSZ HERMA

Jesteśmy młodym krajem, a broń ukształtowała to, jak się zachowujemy. Teraz stoimy na krawędzi – mówi Kevin Costner przed premierą dokumentalnego serialu „Kevin Costner: jak zdobywano Dzikie Zachód” na HISTORY Channel.

Zachód od spodu



Kevin Costner (ur. w 1955 r.)

– amerykański aktor, reżyser, producent i muzyk. Gwiazda takich hitów, jak „Bodyguard” czy „Robin Hood: Książę złodziei”, ale jego ukochanym gatunkiem jest western: za reżyserię i produkcję „Tańczącego z wilkami” (1990 r.) zdobył Oscara, serial „Yellowstone” (2018–24) z jego główną rolą przeszedł do historii telewizji, za to jego westernowe opus magnum – saga „Horyzont” – okazało się klapą. Ale nie składa bronii. Serial dokumentalny „Kevin Costner: jak zdobywano Dzikie Zachód” („Kevin Costner’s The West”), którego jest współproducentem i narratorem, będzie miał premierę 1 września na History Channel.

ARTUR ZABORSKI: – Akcja pańskiego serialu rozgrywa się w XIX w., ale oglądając go, miałem wrażenie, że zapuszcza się pan w przeszłość po to, żeby skomentować teraźniejszość. Odnajduje pan w niej mechanizmy, które rządzą też współczesną Ameryką. Jakby powtarzał pan za klasykiem: „Kto nie zna historii, skazany jest na jej powtarzanie”.

KEVIN COSTNER: – Prawda jest taka, że kiedy zaczynasz się przyglądać uważniej historii, zdajesz sobie sprawę, że Ameryka rozwijała się bardzo powoli. Najpierw dotarliśmy na Wschodnie Wybrzeże, którego kurczowo się trzymaliśmy. Mówiliśmy do ludzi mieszkających głębiej w lasach: „Prosimy, nie krzywdźcie nas, my tu tylko sobie żyjemy”. Oczywiście wcale nie chodziło nam o to, żeby tylko sobie gdzieś na uboczu pożyć, bo zaczęliśmy podbijać cały kontynent. Planowaliśmy, jak usunąć z niego ludzi, których wcześniej prosiliśmy, żeby zostawili nas w spokoju. To, co jest fascynujące w Ameryce, to że ten nasz marsz na Zachód trwał 400 lat! Tak naprawdę dopiero w ostatnim stuleciu wysunęliśmy się na czołówkę światowej sceny, zaczęliśmy mieć znaczenie dla innych państw.

Pan w serialu pokazuje, jak to było możliwe, tłumaczy, co było siłą napędową Ameryki.

Imigranci. To oni – przybywający z najsłynniejszych miejsc świata – wypchnęli



Kevin Costner w swoim filmie „Tańczący z wilkami” z 1990 r. – przełomowym w opowiadaniu o rdzennych Amerykanach

nas do przodu. Połączenie różnych ludzi, którzy zaczęli się dzielić ze sobą swoją wiedzą, ciekawością i inteligencją, doprowadziło do tego, że przez ostatnie 100 lat zaczęliśmy się rozwijać w niewiarygodnym tempie. Zyskaliśmy pozycję w świecie właśnie dzięki naszej różnorodności. Jeśli zrezygnujemy z tego podejścia, nie utrzymamy tego samego kursu, którym podążaliśmy przez ostatni wiek. A jesteśmy teraz w takim momencie naszej historii, w którym zmienia się nastawienie do imigrantów przybywających do naszego kraju.

„Kevin Costner: jak zdobywano Dziką Zachód” mówi też o tożsamości Amerykanów, która jest wypadkową wielu czynników. Nie sprowadza się do miejsca urodzenia ani jednej kultury.

Przybywały tutaj różne kultury, przynosząc swoje pieśni, swoją poezję, swoje wartości. Łączyliśmy się w jedną wspólnotę i w ten sposób stawaliśmy się narodem. Musimy o tym pamiętać, mierząc się teraz z kryzysem migracyjnym, w którym się znaleźliśmy.

Zachód Ameryki jest często romantyzowany. Jak udało się panu zachować balans pomiędzy mitem a prawdą w serialu?

Filmy – i te, w których zagrałem, i te, które wyreżyserowałem – pozwoliły mi zrozumieć, że romantyzm, którym otoczony jest Zachód, przykrywał ciągłe

konflikty, jak i to, że każdy dzień był fizycznie niezwykle wymagający. Ważne jest, by zrozumieć, jak to wyglądało, kiedy żyli tam pierwsi osadnicy. Gdy zaczęliśmy kręcić o tym westerny, widzowie zakochiwali się w ekranowej rzeczywistości, bo filmy pomagały im zrozumieć, jak ogromny i piękny jest nasz kraj. Do tego dochodziła nastrojowa muzyka i ktoś na koniu, co razem dawało niezwykle urzekający widok. Patrzyliśmy na miasteczko, nie zastanawiając się, jak powstało. Nie myśleliśmy o trudach, tylko romantyzowaliśmy to, co widzieliśmy: piękno Ameryki. Nie dostrzegaliśmy eksploracji ani konfrontacji, procesów, które toczyły się krok po kroku i zwykle kończyły się rozlewem krwi. Ludzie nie chcieli – co w pełni rozumiem – oglądać w telewizji samej rzezi, strachu i wszystkiego, co wiązało się ze zderzeniem kultur. Myślę, że woleliśmy od tego po prostu odwrócić wzrok. Romantyczna wizja, oparta na bohaterstwie, była o wiele bardziej akceptowalna i pociągająca.

Pański serial jest bliższy prawdzie.

Jaka ona była?

W tym serialu zobaczycie nie tylko prototyp szeryfa, banity i kowboja. Pojawiają się kobiety, które będą się osiedlały w tych społecznościach. Będą też żołnierze wracający po wojnie secesyjnej. I oczywiście rdzenni Amerykanie, którzy żyli tam od zawsze, a konflikt o ziemię, którą kolonizatorzy chcieli zdobyć, to ogromna część

tej historii. Wydaje mi się, że w pierwszych dekadach westernu to w ogóle nie było pokazywane, w zasadzie aż do „Tańczącego z wilkami”. To właśnie dlatego ten film stał się ikoniczny, bo opowiadał historię tak, jakby widział sam tam mieszkał. Mamy tendencję do romantyzowania, kiedy patrzymy tylko z zewnątrz. Kiedy wejdziemy głębiej, zaczynamy dostrzegać dwie rzeczy: że to nie było łatwe i że oni, rdzenni mieszkańcy, byli ludźmi takimi jak my.

Co nam daje taka świadomość?

Prowokuje nas do zadania sobie pytania, jak sami byśmy się zachowali, mieszkając w otwartej przestrzeni, gdzie musisz polegać na własnym sprycie i chronić rodzinę przez 24 godziny na dobę przez całe życie. Patrząc na drugiego człowieka, możemy pomyśleć: „wow, jest taki czarujący” albo „przystojny”, „piękny”, „zabawny”. Jeśli zatrzymamy się na tym etapie, będziemy mieli romantyczny obraz tego, kim on według nas jest. Ale gdybyśmy obserwowali tę osobę przez pięć czy dziesięć lat, pewnie przestalibyśmy ją idealizować, bo zobaczylibyśmy, do czego jest zdolna np. pod presją. Dla mnie historie wierne faktom są zawsze najciekawsze. Dlatego mamy w serialu historyków i ekspertów, którzy opowiadają, jak to naprawdę wyglądało, a my to uzupełniamy obrazami i staramy się udramatyzować. Kiedy o tym mówię, przypomina mi się historia Cynthia Ann Parker. ▶

► **Chodzi o córkę amerykańskich osadników z Teksasu, która w XIX w. została porwana przez Komanczów i przez nich wychowana. Po 20 latach żołnierze teksańscy ją odbili, ale nigdy nie przystosowała się do życia wśród białych, tęskniła za Komanczami.**

Warto dopowiedzieć, że podobne przypadki zdarzyły się setki tysięcy razy. Cynthia Ann Parker nie była jedyną więźniarką, która przeżyła coś takiego. Jeśli się to zrozumie, można lepiej pojąć, o co naprawdę chodziło na Zachodzie. A w tym, co spotkało Cynthię Ann Parker, nie było nic romantycznego. To było tragiczne.

Pański „Tańczący z wilkami” stał się przełomem w opowiadaniu o rdzennych Amerykanach w hollywoodzkim kinie. Tamten film przesunął punkt ciężkości w przedstawianiu dobrych i złych w westernach.

Czy pan się nie obawia, że dzisiaj progresywne podejście do opowiadania o przeszłości Ameryki jest zagrożone? Może powrócą dawne narracje, które kształtowały stare westerny i historie o Dzikim Zachodzie?

Obecnie istnieje silna tendencja, żeby pokazywać wyłącznie osiągnięcia Ameryki, a nie jej zmagania, bo przywoływanie zmagania mogłoby sprawić, że ludzie poczuć się źle. Ale jeśli chcemy zrozumieć historię, musimy wiedzieć, jak wyglądało prawdziwe życie, nawet jeśli ta świadomość jest bolesna i niewygodna. Tylko z takich doświadczeń czerpiemy naukę, rozwijamy się. A tymczasem pojawia się tendencja, żeby mówić: „Nie chcę studiować wojny secesyjnej. Nie chcemy uczyć się o prawach Jima Crowa. Bo będziemy się czuli winni z powodu tego, jak traktowaliśmy rdzennych Amerykanów”. Tak nie może być. Musimy badać historię w całej jej okazałości. „Tańczący z wilkami” jest tu rzeczywiście doskonałym przykładem ogromnego kroku w dobrym kierunku. Kiedy coś – także w kinie – wydaje się prawdziwe, intuicyjnie się do tego zbliżamy, a gdy wydaje się fałszywe, odsuwamy się. Gdy czujemy, że nie mówi się nam prawdy, zaczynamy obojętnieć.

Westerny opowiadano z perspektywy białych osadników lub kowbojów. Rdzenni Amerykanie byli zazwyczaj spychani do ról drugoplanowych albo wręcz przedstawiani jako bandyci. Kiedy zdał pan sobie sprawę, że istnieje inna perspektywa?

Myślę, że w chwili, gdy zobaczyłem rdzennych Amerykanów przedstawionych we właściwy sposób – mam na myśli choćby to, jak się ubierali. Gdy zobaczyłem ich dzikie, egzotyczne stroje, uświadomiłem sobie, że to są prawdziwi ludzie, a nie wymyślone przez nas postaci. A potem dotarła do mnie pewna oczywistość: że ci ludzie – tak samo jak wszyscy inni na świecie – kochają swoje dzieci i miejsc, w którym mieszkają, chcą chronić sąsiadów i rodzinę. Dlaczego mieliby tego nie robić? Dlatego w serialu chciałem wyjść właśnie od tego punktu: przedstawić kogoś, kto kocha rodzinę, nie chce być zmuszany do obcinania włosów i zmiany religii, nie chce, by nim pomiatało ani wypychano go z jego miejsca życia, a w pewnym momencie będzie musiał o to miejsce zawalczyć.

Kowboje walczyli z Indianami, bo nasi przodkowie wypychali całe narody z mapy. Wyniszczyliśmy ich. Kino pokazywało tych, którzy przepłynęli Atlantyk i szli naprzód, bo mieli wielkie marzenie. W pewnym momencie dotarło do mnie, że pora pokazać tę drugą stronę. Nie udaję, że jestem rdzennym Amerykaninem. Nie udaję, że jestem czymkolwiek autorytetem. Ale wiem, jakie historie lubię – takie, które opowiadają o prawdziwych ludziach. Mamy w serialu kobietę, która jest rdzenną Amerykanką, a jej rodzina była zaangażowana w niektóre z historii, które opowiadamy. Dla wielu z tych osób historia Zachodu to część ich tożsamości. A nic nie uczy młodych ludzi lepiej niż opowieść kogoś, kto kocha swój temat i potrafi zarazić nim innych. Mam nadzieję, że dzięki temu dokument pokaże wszystkie strony konfliktów – między żołnierzami, rdzennymi Amerykanami, misjonarzami, osadnikami – i pozwoli uzyskać pełniejszy obraz tego, czym naprawdę była Ameryka i Zachód.

Jakie cechy osadników, którzy kolonizowali Zachód, wciąż charakteryzują amerykańskie społeczeństwo?

Nadal łączy nas poczucie, że możemy robić, co chcemy, jeśli tylko mamy wystarczająco dużo ambicji, jeśli potrafimy po prostu się spakować i zacząć od nowa. A Ameryka to było ciągłe zaczynanie od nowa setek tysięcy ludzi. Podróżowanie na Zachód o tym właśnie jest. Powiedziałbym też, że broń była naprawdę bardzo ważna w historii Ameryki. Pamiętajmy, że Europa była niezwykle rozwinięta.

Budowano miasta, które stoją do dziś jako świadectwa naszej architektury. My tego nie mieliśmy. Przybyliśmy z bronią, żeby się chronić. Przez 400 lat pozwalała nam podróżować po tym kraju, służyła do jego podboju. Jesteśmy młodym krajem, a broń ukształtowała to, jak się zachowujemy. Teraz stoimy na krawędzi. Nie wiem, w jaki sposób użyjemy naszej broni.

Pan ma broń?

Mam wiele rodzajów broni. Jestem myśliwym i wędkarzem. Kocham przebywać na świeżym powietrzu, potrzebuję tego. Jesteśmy narodem naznaczonym wiarą, że wszystko jest możliwe, że jeśli ciężko pracujesz i masz trochę talentu, możesz osiągnąć to, o czym sobie zamarzysz. Nie jestem pewien, czy to zawsze prawda, ale wiem, że właśnie to miało nas odróżniać od bardziej hierarchicznych społeczeństw, z których się wywodziли. Dziś jednak żyjemy w świecie, w którym jeśli urodzisz się w biedzie, to jest duże ryzyko, że w niej umrzesz. Jeśli należysz do określonych grup rasowych, nie będzie ci łatwo awansować w systemie. Lincoln wierzył, że demokracja zależy od ludzi, którzy mogą wznieść się na wyżyny swojego talentu. Nie możesz dać komuś więcej talentu, niż ma, ale możesz wymagać dyscypliny, gotowości do pracy. Dlatego musimy się zastanowić, co robi z nami nasz system edukacji. Czy pozwala nam ruszać do przodu, czy też nas spowalnia.

Gdyby żył pan na Zachodzie w czasach osadników, to jaką pełniłby pan funkcję w społeczeństwie?

Często, gdy oglądamy filmy i widzimy kogoś bohaterskiego, myślimy: „Mam nadzieję, że jestem tą osobą”. Zawsze jestem podejrzliwy w stosunku do tych, którzy są pewni, że byliby odważni w trudnych sytuacjach. Chcemy myśleć, że bylibyśmy dzielni, ale nie dowiemy się tego, dopóki nie przejdziemy tej próby. Chciałbym myśleć o sobie, że gdybym przyszedł na świat na Zachodzie, to miałbym odwagę, żeby tam wytrwać i wychować tam dzieci. Ale chciałbym też przynieść tam ze sobą kilka rzeczy – głównie książki. Założyć małą bibliotekę w każdej społeczności, do której bym przynależał, bo książki uczą ludzi empatii, bo pozwalają nam sobie wyobrażać nas samych w innym trybie życia. Książki to mój świat, świat emocji. Chciałbym nosić walciki pełne książek wszędzie tam, dokąd bym dotarł.

ROZMAWIAŁ ARTUR ZABORSKI



Chłopki o sobie

Kozia Wólka, 1980 r.

Ludowość stała się kolejnym fetyszem klasy średniej. Daliśmy się uwieść jaskrawym i prostym rekwizytem. Znika miejsce na różnorodność, niuanse, kontekst historyczny – mówi Antonina Tosiek, autorka książki „Przepraszam za brzydkie pismo. Pamiętniki wiejskich kobiet”.

MICHAŁ R. WIŚNIEWSKI: – Jonathan Franzen w wykładzie mistrzowskim powiedział, że każdy nosi w sobie jedną książkę. Może miał na myśli właśnie pamiętnik?

ANTONINA TOSIEK: – Z pewnością wszyscy nosimy opowieści, którym literackość byłaby zupełnie zbędna. Granice między literaturą fikcyjną a pamiętnikiem nie są wcale oczywiste – to gatunki przenikające się, pamiętnik także w dużym stopniu jest tekstem kreatywnym. Gdy byłam na początku studiów polonistycznych, chciałam się zajmować wizerunkami kobiet w prozie nurtu wiejskiego. W 2016 r.

przypadkiem trafiłam na egzemplarz „Pamiętników chłopów”, teksty konkursowe z lat 30. w wyborze Leonory Stróżeckiej. Okazały się znacznie ciekawsze od fikcji, życie przerosło wyobraźnię. Dla mnie jako literaturoznawczyni świadomość autokreacyjności jest kluczowa, podczas lektury każdego tekstu auto/biograficznego trzeba mieć w sobie tę czujność. Dlatego tak ważna była dla mnie weryfikacja faktów: jeśli bohaterka pisała o rzece, sprawdzałam odległości i realność opisu. Książka powstała na podstawie 840 przebadanych pamiętników z lat 1933–95, ale do publikacji weszła tylko część – te, które mogłam

uznać za rzetelne. Po mnie sprawdzała je jeszcze redaktorka Magdalena Błędowska. Dzięki temu naddatek stylizacji i pozy w wybranych przeze mnie pamiętnikach jest ograniczony, choć oczywiście są i takie, które mają rozmach niemal literacki.

Pisanie pamiętnika to coś innego niż spowiadanie się reporterowi lub etnografowi?

Myślę, że tak – opowiadanie o sobie w rozmowie i w tekście to zupełnie różne doświadczenia. W historii mówionej dystans jest mniejszy: język potrafi nas wyprzedzić, zdradzić, zanim myśl się w pełni uformuje. Na papierze dystans rośnie, ►

► w analizach rozróżniam bohaterkę od autorki – często to dwie odmienne postaci. Kobiety piszące pamiętniki nie-rzadko po raz pierwszy traktują siebie jako postać wartą opowiedzenia, jako uczestniczkę historii. Piszą, czyli także wykonują pracę pamięci, obserwują swoje życie z szerszej perspektywy. Gest autobiograficzny to zawsze wybór – kuratorowanie własnej historii, tworzenie kolażu znaczących elementów.

Przeciwieństwem zdystansowanej pamiętnikarki wydaje mi się sypiący anegdotami chłop gawędziarz.

Autorki bardzo często nie opowiadają wprost o sobie, lecz o rodzinie czy najbliższym otoczeniu. Siebie wpisują w tło. Gdy pojawia się trudny temat, np. strata dziecka, od razu przenoszą narrację na podobne wydarzenie w życiu kogoś innego. To forma transpozycji, która pomaga im ośwoić ból, a zarazem przełamać barierę wstydu i zbytnej intymności; wychowania w przekonaniu, że nadmierna wylewność czy okazywanie emocji „po prostu nie wypada”, są oznaką słabości albo czymś zbędnym. Samo podjęcie się pisania wymagało odwagi. Niekiedy mogło się dla nich wiązać z niebezpieczeństwem, karą albo krytyką ze strony męża czy lokalnej wspólnoty. Większość z nich pisała więc w sekrecie.

U mężczyzn jest odwrotnie – w pamiętnikach częściej stawiają siebie w centrum, opowiadają o swoich dokonaniach i doświadczeniach, rzadko zagłębiając się w życie najbliższych, jeśli już, to najczęściej na prawach rysu socjologicznego czy politycznego, jako próba syntezy historii. Badaczki form lifewritingowych (tekstów stanowiących „zapis życia”) od dekad zwracają uwagę, że wynika to z powodu narzucanego kobietom przekonania o własnej niższości, o tym, że nie zasługują na to, by zostały wysłuchane.

Ludowe powiedzonka są pełne upomnień: „Wyżej sra, niż dupę ma”.

Wielu bohaterów i bohaterek ciągle za coś przeprasza, ale kobiety znacznie częściej niż mężczyźni – i to one w większości proszą o wycofanie tekstu z konkursu. Ich pamiętniki rzadko wynikają z potrzeby udowodnienia czegośkolwiek czy zdobycia nagrody; częściej są aktem przełamania milczenia. Piszą: „Jeszcze nigdy nikomu o tym nie powiedziałam, ale...”, i dopiero wtedy zaczynają naprawdę mówić o sobie. W tym momencie potrafią porzucić konwencję, zrzuć z siebie ciężar wewnętrznych wymagań i powinności.

Nie chodzi już o ocenę czy odbiór – ważne jest samo wyrzucenie z siebie historii. Takie fragmenty mają zupełnie inny charakter: są najbardziej poruszające, szczere i często wstrząsające.

Czasem próbują coś załatwić i niekiedy im się nawet udaje.

Tak, niektóre miały bardzo konkretne rzeczy do zrobienia. Na przykład chciałyby zakazu otwierania sklepów w niedziele i dni wypłacania pensji w PGR-ze, bo ich mężowie i ojcowie upijają się do nieprzytomności. Alkohol to w pamiętnikach główna plaga.

Nic się nie zmieniło.

W latach 60. w pamiętnikach często pojawiały się prośby o pomoc w zdobyciu wykształcenia, np. namówienie rodziców na wysłanie do liceum. W latach 30. dominowały dramatyczne opisy skrajnego ubóstwa i problemów wynikających z przeludnienia wsi. Pamiętniki z lat 50. – ze względu na strach przed stalinowskimi represjami – są mniej wiarygodne, choć trafiały się prośby o odnalezienie zaginionych z czasów wojny. Najbardziej poruszają mnie jednak teksty z lat 90. Autorki opisują likwidację żłobków, szkół, bibliotek, zamknięcie ośrodków zdrowia, problemy ze spłatą kredytów na kombajny. W takich momentach spiętrzenia polityczno-historycznego pamiętniki stają się interwencyjne, pisane w imieniu wspólnot, z wyraźnym poczuciem misji. Ale narrację i kolektywne wyobrażenia o latach 90. na polskiej wsi zdominowała popkultura, jak paradokument „Arizona” i inspirowana nią komedia „Pieniądze to nie wszystko” Juliusza Machulskiego. Skupiano się na zapaści PGR-ów, bierności ich byłych pracowników i pracowniczek, przy jednoczesnym pominięciu dramatu małych gospodarstw indywidualnych. Nie przypominam sobie hitowych filmów w ramówce TVN o nieopłacalności produkcji rolnej i zapaści systemu tanich kredytów na sprzęt rolniczy.

Te filmowe obrazy zbudowały fikcję ludu. W książce pisze pani też o „témicznej chłopce”, homogenicznym wyobrażeniu, jak na zdjęciu z okładki „Chłopiek” Joanny Kuciel-Frydryszak.

Mamy poważny problem z definicją klasy ludowej. Jeśli wciąż się spieramy, jak ją opisać w PRL – bo literaturoznawcy, socjologowie i antropologowie widzą to inaczej – to jakimi definicjami mamy sobie opowiedzieć społeczeństwo na przełomie XX i XXI w.? Gdzie przebiega granica między

modernizacją a profesjonalizacją zawodu rolnika? Kim są chłopci, kim rolnicy, a kim klasa robotnicza po awansie społecznym? Obecnie fascynuje mnie powrót narracji o „Polsce B” i „zaścianku” – stereotypach utrwalanych od początku lat 2000. Analiza elektoratu PiS czy Konfederacji pokazuje, że klasyczny marker klasowości, czyli kapitał, przestaje działać. Wśród wyborców są też zamożni unijni producenci rolni. Łączy ich raczej deklarowana religijność, przynależność do Kościoła katolickiego. To może mieć wymiar klasowy, ale nie daje jednoznacznej definicji. Kim jest dziś lud i klasa ludowa? – na to pytanie zwrot ludowy wciąż nie odpowiedział.

Politycy wypominają sobie w internecie, kto się wstydzi chodzić do marketu Dino.

Z tożsamości klasowej i doświadczenia społecznego zrobiliśmy dziś symbol estetyczny i produkt. Powrót do „ludowych korzeni” bywa sprowadzany do kupna domku na wsi, zakopiańskiej willi w Beskidach, ahistorycznego filmu animowanego jako kandydata do Oscarów czy modowej sesji w strojach ludowych bez względu na ich pochodzenie. W efekcie opowiadamy historię w sposób ujednolicony: jeden PRL, jeden awans, jedna „chłopka”, choć realia w różnych zaborach czy regionach były przecież skrajnie odmienne. Ten schemat wchodzi w rezonans z kulturą terapii, przetwarzowaniem rodzinnych traum, co samo w sobie może być wartościowe, ale coraz częściej także kończy jako towar – film, książka, grafika – kapitalizujący emocje. Znika miejsce na różnorodność, niuanse, kontekst historyczny. Daliśmy się uwieść kolorowym, jaskrawym i prostym rekwizytem. „Ludowość” stała się kolejnym fetyszem klasy średniej. Mam wrażenie, że w dyskusji medialnej o zwrocie ludowym powinniśmy zrobić krok wstecz i wrócić do wielości oraz różnorodności doświadczeń. Dopiero wtedy można wybierać na sztyndary pojedyncze postaci czy symbole, które będą te historie organizować i opisywać.

„Przepraszam za brzydkie pismo” opowiada o różnych losach, łącząc kobiety na zasadzie podobieństw i kontrastów, skacze w czasie i przestrzeni.

Miałam problem z podziałem materiału na dekady, bo na konkursy pamiętnikarskie odpowiadały różne grupy wiekowe. Kobiety, które najliczniej były aktywne w latach 70., często pochodziły z pokolenia przełomu XIX i XX w. – w rzeczywistości powinny były pisać pół wieku

wcześniej. Ich perspektywa była zupełnie inna. Układ pokoleniowy również okazał się mylący – inaczej pisało się w wieku dwudziestu paru lat, a inaczej po siedemdziesiątce. Ostatecznie uznałam, że lepsze będzie pokazanie procesów w długim trwaniu. Starałam się jednak, by bohaterki powracały w tekście, były rozpoznawalne i zapamiętane jako indywidualne autorki, a nie anonimowa masa.

Ważne było też zachowanie oryginalnej formy pamiętników.

Sięgałam po oryginały, bo to, co wyszło drukiem, było w większości redagowane i cenzurowane, momentami na absurdalną skalę. Teksty bywały infantylizowane – dodawano zdrobnienia („kościół” zamieniano na „kościółek”) czy zmieniano ton emocji: autorka pisała, że jest dumna z najlepszego wyniku w klasie, a w druku stawała się „wesoła”. Tymczasem „dumna” miała w jej opowieści istotne znaczenie. Podobne zniekształcenia pojawiły się także w późniejszych opracowaniach, np. w książce Piotra Nesterowicza „Każdy został człowiekiem”, opartej na konkursie z 1961 r., dotyczącym wspomnień z lat 1946–60. Autor stworzył postaci zlepione z doświadczeń kilkorga pamiętnikarzy i pamiętnikarek, ignorując sprzeczności geograficzne czy biograficzne. Nieistniejący bohaterowie powołani zostali na użytek bardziej atrakcyjnej (i tendencyjnej) opowieści. Kiedyś zachwyliła mnie ta książka, dopiero później dostrzegłam, jak bardzo oderwała się od źródeł.

To nieco niepoważne, ale moje skojarzenie z piszącą dziewczyną ze wsi to Ania z powieści Lucy Maud Montgomery.

Osóbka bardzo czytana. Czy w pamiętnikach widać inspiracje literaturą?

Pamiętniki stylizowane pod czyjeś oczekiwania pojawiały się głównie w tekstach pisanych na konkursy, wtedy widać, jak autorki starają się trafić w konwencję, jak szacują, co może się spodobać jury. Na przykład dziewczyna, która przeczytała Reymonta, naśladowała jego język, mimo że to zupełnie nie odpowiadało jej naturalnemu stylowi. Wiele autorek inspirowała też „Siłaczka”, którą darzyły dużym sentymentem ze szkoły. Inaczej było z tekstami pisany po prostu z potrzeby opowieści czy takimi prowadzonymi przez kilka, czasem kilkadziesiąt lat. Najbardziej kocham jednak te pamiętniki, które najwięcej ode mnie wymagały, pisane fonetycznie, bez kropek, bez przecinków, bo autorka



Antonina Tosiek

(ur. 1996) – badaczka XX-wiecznej diarystyki ludowej, poetka i krytyczka. Doktorantka Szkoły Doktorskiej Nauk o Języku i Literaturze UAM. Członkini redakcji naukowej kwartalnika „Czas Kultury”. Autorka książki „Przepraszam za brzydkie pismo” oraz tomów poetyckich „storytelling” i „zertwy”.

skończyła dwie klasy i średnio pamięta literę. Sprawdzanie wyrazów gwarowych, nazw własnych, dialektów i zapożyczeń było czasochłonne, największą trudnością sprawiało mi odczytywanie odręcznego pisma, ale to właśnie w nich najsilniej widoczny jest niepojęty żywioł prawdziwego języka, opowieść, której nie da się upozorować.

Skąd autorki wiedziały, co to jest pamiętnik?

W dużej mierze czuły to intuicyjnie – choć różnie. Niektóre nie do końca wiedziały, w jaką formę ubrać swoją historię, więc pisały listy. Najczęściej były to listy do redakcji, ale jedna z moich ulubionych pamiętnikarek pisała listy do męża, których mu nigdy nie wysłała – to on był adresatem jej opowieści. Ale zdarzały się i tomy wierszy czy powieści. Konkursy z lat 30. miały dość precyzyjne wymagania: w odezwach pisano, żeby uczestnicy i uczestniczki opowiedzieli o konkretnych aspektach swojego życia, nacisk kładziono nie na literackość, tylko na autentyczność historii. To nadawało pewną ramę i konwencję tym tekstom. A później, jeśli konkurs organizowała na przykład „Filipinka” lub „Przyjaciółka”, wiele autorek zaczynało swoje teksty nie od formalnego „Szanowne Jury”, lecz od „Kochana»Przyjaciółko«” czy „Moja droga »Filipinko«”, co od razu nadawało im inny ton i styl.

Bratnia dusza, znowu jak w „Ani z Zielonego Wzgórza”.

Dla mnie szczególnie interesujące i nieoczywiste są w tych pamiętnikach właśnie relacje między kobietami. Ze strony mężczyzn najczęściej spotykały je doświadczenia trudne i krzywdzące, ale po lekturze wielu opowieści zastanawiała mnie samotność autorek, ich nieufność wobec innych kobiet. Chociaż tworzą wspólnotę, razem pracują, wspierają się w codziennych obowiązkach, to już emocjonalna bliskość, intymność i prawdziwe zaufanie jest zupełnie inną historią. Skupiają

się raczej na praktycznym rozwiązaniu współdzielonych kłopotów (jak cięża czy alkoholizm mężów), nie na emocjach, które wywoływały. Życie na wsi często było walką o przetrwanie, użyteczność była najbardziej pożądaną cechą. Mężczyzna reprezentował rodzinę na zewnątrz, kobieta strzegła domowej tradycji. Kultura patriarchalna skutecznie je alienowała, nie pozwalała sobie na zbyt bliską z innymi kobietami, bo wychowywano je w przekonaniu, że nie powinny ujawniać swoich sekretów, że to grzech. Wina za wiele doświadczeń skrycie przypisywały sobie. Moja babcia miała bardzo bliską znajomą, znały się kilkadziesiąt lat, a mimo to do końca życia pozostały przy oficjalnym „pani”. Koncepcja bliskich intymnych przyjaźni pojawia się dopiero w pamiętnikach kobiet urodzonych po 1945 r.

W dzisiejszych czasach mamy nieograniczone możliwości komunikacji, ale nie wpływa to na budowę więzi. Może pora wrócić do pisania pamiętników?

Ostatnio powróciły konkursy pamiętnikarskie, np. z czasów pandemii albo dla osób LGBT+. Monika Głosowicz, wspaniała badaczka ze Śląska, organizuje konkursy na pamiętniki z rodzin górniczych. Marzę o konkursie na bardzo trudny temat przemocy seksualnej ze strony Armii Czerwonej. To jedno z największych tabu XX w., a z badań wiadomo, że jest masowym doświadczeniem kilku pokoleń polskich kobiet. Pisanie pamiętnika to niezwykły przypadek pracy nad pamięcią, czasem jedyna okazja, żeby opowiedzieć o czymś trudnym, wywołującym wstyd albo poczucie winy, żeby skonfrontować się z emocjami, które często są niemożliwe do wypowiedzenia.

ROZMAWIAŁ MICHAŁ R. WIŚNIEWSKI

REKLAMA



LETNIA PROMOCJA

Kupując elementy legendarnego serwisu MARIA lub TAC za 2500 pln otrzymasz **BONUS 1000 pln!**



www.rosenthal.pl



Nieracjonalny Józef P.

Józef P. nie korzysta z komputera, nie używa smartfona, trzyma się z dala od internetu. Chodzi do biblioteki, wypożycza książki, studiuje mapy, robi ćwiczenia. Niemieckiego uczy się z kaset, słucha ich w starym samochodzie. Ma 86 lat i chce wreszcie zdać maturę. Wcześniej nie mógł. Urodził się w 1939 r. i jako dziecko znalazł się z matką w obozie. Po wojnie skończył zawodówkę, jeździł jako kierowca autobusu, a potem straży pożarnej. Był monterem. Rodzina, dzieci, kiedy tu się uczyć? A chciał. Marzył o pracy w drogówce. Tylko że tam trzeba było mieć maturę. Poszedł do szkoły średniej, ale dopiero na emeryturze. Skończył ją, gdy miał 70 lat. Koledzy namawiali: „Jak chcesz, to się ucz”. 15 lat po odebraniu świadectwa ze szkoły średniej przystąpił do matury. Po niej może pójść na studia.

Za pierwszym podejściem nie zdał, ale zaliczono mu ustne egzaminy. Ma słaby wzrok, jednak tego pod uwagę nie wzięto. Bo nie złożył wniosku z zaświadczeniem od lekarza, tak tłumaczyła się Okręgowa Komisja Egzaminacyjna. Za rok przyniósł. Znow przystąpił do egzaminów. I znow się nie udało. Postanowił zdawać poprawkę w sierpniu. Co o nim mówią? Że jest uparty. Że ten upór to remedium na apatię. Że chce sobie coś udowodnić. Albo i błyszczeć, za wszelką cenę, i tak mówią. I jeszcze, że to nieracjonalne, czyli emocjonalne, te przymiotniki, gdy mowa o Józefie P., nabierają zabarwienia pejor-

bo nie korzysta z internetu. A jak kończyło się szkoły przed wynalezieniem internetu? Oby więcej było ludzi, którzy uczą się języków, matematyki, historii, niezależnie od wieku, motywacji, za pomocą narzędzi, które im pasują, nawet bez internetu, smartfona, social mediów. A i tak wiedzą, bo mają wiele doświadczeń, swoje przeszli. Takich, którzy chcą robić nie tylko to, co się opłaca, co zaprocentuje czy przyniesie zysk. Wiele osób po odchowaniu dzieci decyduje się na kontynuację nauki, spełnia marzenia o tytule magistra, doktora, robi habilitację, choć inni pukają się w czoło i pytają: „Ale po co?”.

Słowo „wiedźma” pochodzi od wiedzy. Zanim powstały uniwersytety, ludzkość rozwijała się bez kwitków. Postęp cywilizacyjny nie miał znaku wodnego z Okręgowej Komisji Egzaminacyjnej, a Leonardo da Vinci nie skupiał się na pogoni za świadectwem z czerwonym paskiem. W świecie, gdzie relacje społeczne ułożone są na podobieństwo drabiny, zatracą się umiejętności dostrzeżenia prawdziwej mądrości. Małpia zręczność w drodze na szczyt nie oznacza, że ten ktoś ma dobrze w głowie. Wystarczy spojrzeć, kto obejmuje najwyższe stanowiska państwowe. Za to „na dole” kipi wielki potencjał ludzkości. To z niego wyrasta społeczeństwo obywatelskie, hamulec ręczny i kubek zimnej wody na pomysły tych „z góry”.

Regularnie, w okolicy maja, wracają dyskusje, jak ma wyglądać egzamin maturalny, przy czym najczęściej kontrowersji budzi matematyka. Powstała nawet petycja podpisana przez 25 tys. osób, żeby znieść egzamin z tego przedmiotu. Dyskutuje się również o samej koncepcji „egzaminu dojrzałości”. Pomijając pompatyczną nietrafioną nazwę (czym miałyby być ta mityczna dojrzałość?), podkreśla się ogromny stres, z którym nie wszyscy są w stanie sobie poradzić. Paradoksalnie tego samego argumentu używają ci, którzy przekonują, że matura powinna pozostać w obecnej formie. Ma niby uczyć planowania, dyscypliny oraz radzenia sobie w sytuacjach stresowych, co później przydaje się podobno w pracy.

Panu Józefowi Perudze życzymy, żeby spełnił swoje piękne marzenie. Oby mu się powiodło na maturze, a może i na studiach. Piszemy „Józef P.”, bo nie chcemy więcej „Józefów K.” niczym z powieści Franza Kafki, uwikłanych w biurokratyczny matrix, z którego nie widać wyjścia. Funkcjonariuszy, którzy błędząc wśród korytarzy, nie będą zdolni dostrzec jednostkowych historii. Choćby takiej jak ta, o której piszemy. Każda osoba zmagająca się ze swoją historią, próbująca wyjść poza banalny scenariusz, zasługuje na wyróżnienie. Marzy nam się, żeby takich postaw było więcej, więcej marzycieli, którzy idą po swoje. A świadectwo maturalne panu Józefowi Perudze po prostu się należy.

SYLWIA CHUTNIK, GRAŻYNA PLEBANEK

Oby więcej było ludzi, którzy uczą się niezależnie od wieku, motywacji, bez internetu, smartfona, social mediów.

tywnego. Ale ludzie go wspierają. Tylko po co staremu papierkowi maturalny?

Po przeczytaniu tekstu o Józefie P. („Gazeta Wyborcza”, 8 lipca) chciało nam się płakać. Emocjonalnie. A także gryźć, nieracjonalnie. Józef P. chce się rozwijać, przeżyć coś, czego nie miał szansy doświadczyć, bo miał ciężkie życie. Za to pragnienie wiedzy powinien dostać nie tylko maturę, tę normalną, ale i dodatkową, *honoris causa*. Nie tylko my tak uważamy, prezydent Kalisza wręczył maturzyście Honorowe Świadectwo Dojrzałości. To nie punkty „za staranie się”, tylko kwestia dostrzeżenia pojedynczych historii w natłoku statystyk i podsumowań.

Nasz felieton ukazuje się już po terminie poprawkowym, być może części osób uda się spełnić marzenia o nauce, dostaną się na wymarzone studia. Jakie historie stoją za kolejnymi podejściami do matury? Z czego wzięła się majowa porażka? Na Józefa P. kręć nosem,

OGRODY

POLITYKI
W ELBLĄGU

ELBLĄG, 5-7 WRZEŚNIA 2025

5 WRZEŚNIA
(PIĄTEK)

GODZ. 17:00 „KANON LEKTUR CZY KANON KULTURY?”: PANEL DYSKUSYJNY
PROWADZENIE: RED. MIROSLAW PĘCZAK / TYGODNIK POLITYKA

UCZESTNICY: PROF. IZOLDA KIEC, SONIA KISZA, PROF. GRZEGORZ LESZCZYŃSKI

⇒ SALA „U ŚW. DUCHA”, BIBLIOTEKA ELBLĄSKA, UL. ŚW. DUCHA 3-7 | WSTĘP WOLNY

GODZ. 19:30 KONCERT: ŁONA X KONIECZNY X KRUPA + SUPPORT: SENNY

⇒ DZIEDZINIEC MUZEUM ARCHEOLOGICZNO-HISTORYCZNEGO | BILETOWANE

6 WRZEŚNIA
(SOBOTA)

GODZ. 17:00 „WSZYSTKIE NASZE TRAUMY, CZYLI JAK PRZESZŁOŚĆ DETERMINUJE NAM PRZYSZŁOŚĆ”: PANEL DYSKUSYJNY

PROWADZENIE: RED. KAROLINA LEWICKA / RADIO TOK FM

UCZESTNICY: PROF. MICHAŁ BILEWICZ, PROF. PRZEMYSŁAW CZAPLIŃSKI

⇒ SALA „U ŚW. DUCHA”, BIBLIOTEKA ELBLĄSKA, UL. ŚW. DUCHA 3-7 | WSTĘP WOLNY

GODZ. 19:30 KONCERT: LECH JANERKA

⇒ DZIEDZINIEC MUZEUM ARCHEOLOGICZNO-HISTORYCZNEGO | BILETOWANE

GODZ. 21:00 PRZEDSTAWIENIE TEATRALNE: „SILENCE - CISZA W TROI”
W WYKONANIU TEATRU BIURO PODRÓŻY

⇒ PLAC PRZY MOŚCIE NISKIM, BULWAR ZYGMUNTA AUGUSTA | WSTĘP WOLNY

7 WRZEŚNIA
(NIEDZIELA)

GODZ. 16:00 „ROZMOWY PRZYŻYCIOWE O SŁOWACH I LUDZIACH”
Z PAWŁEM SOŁTYSEM: SPOTKANIE AUTORSKIE

PROWADZENIE: RED. BARTEK CHACIŃSKI / TYGODNIK POLITYKA

⇒ SALA „U ŚW. DUCHA”, BIBLIOTEKA ELBLĄSKA, UL. ŚW. DUCHA 3-7 | WSTĘP WOLNY

W TRAKCIE SPOTKANIA CZYTANIE PERFORMATYWNE FRAGMENTÓW PROZY PAWŁA SOŁTYSZA
W WYKONANIU AKTORÓW TEATRU IM. ALEKSANDRA SEWRUKA W ELBLĄGU.

GODZ. 17:00 KONCERT: BRASS FEDERACJA

⇒ START: BRAMA TARGOWA, PRZEMARSZ ULICAMI STAREGO MIASTA | WSTĘP WOLNY

GODZ. 18:00 KONCERT: JAZZ BAND MŁYNARSKI-MASECKI

⇒ DZIEDZINIEC MUZEUM ARCHEOLOGICZNO-HISTORYCZNEGO | BILETOWANE

BILETY I KARNET NA KONCERTY DOSTĘPNE NA WWW.KUPBILECIK.PL
ORAZ W BIBLIOTECE ELBLĄSKIEJ (UL. ŚWIĘTEGO DUCHA 3-7)



ORGANIZATORZY



PARTNERZY MEDIALNI



Biblioteka Elbląska | ul. św. Ducha 3-7, 82-300 Elbląg | www.bibliotekaelblaska.pl

Udział w wydarzeniu jest równoznaczny z wyrażeniem zgody na wykorzystanie wizerunku w materiałach promocyjnych i relacjach przygotowywanych przez organizatorów wydarzenia.

eprasa.pl/f897d8986c



Pokój bez widoku

Smiechom nie było końca, gdy księżniczka z rodu emirów kuwejskich samodzielnie uruchomiła pralkę. Seans „lekka bawełna” oglądałyśmy bez towarzystwa przystojnych wąsatych szejków, ale zapamiętałam go na wiele lat. Pod koniec liceum dorabiałam sobie jako koleżanka do towarzystwa dla córki szejka z Kuwejtu. Ród sięgał IV w. n.e., akurat zaczęła się operacja Pustynna Burza, a my kończyłyśmy liceum na przedmieściach Bostonu. Tatusz dziewczyny – matki nie widziałam; słyszałam, jak gdzieś szurają kobiece szaty – postanowił, że córka ma poprawić stopień z historii sztuki i przyda jej się taka au pair, którą już zna ze szkoły.

Dobrze mi szła w Stanach historia sztuki, bo nauczyciel pomijał dzieła asyryjskie, że dwa razy napomknął coś o Azji, bo był opętany Europą, zwłaszcza Italią, więc biedaczka kuła na pamięć golizny Michała Anioła, rotundy, kopuły, a na rzutnik wjeżdżało a to umywanie stóp Chrystusa, a to kolejna smutna pani z lilią. Po dłuższych wyjaśnieniach różnicy między Poland a Holland oraz moich dociekaniach, jak się udało tej emigranckiej rodzinie przebidować na pustyni, o której wiedzę czerpałam z lekcji geografii w PRL tudzież z Sienkiewicza i fińskiego „Egipcjanina Sinuhe”, stopniowo docierałyśmy się i leczyłyśmy niewiedzę.

Świat staje się „resortem”, a Palestyna, Zaporże, Kijów – psującym ładny widok problemem, który należy zasłonić.

Przepaść finansowa nie została zasypana, bo trudno kuwejckiej księżniczce wytłumaczyć, czym jest kupowanie pepegów na talon, osiem lat czekania na mieszkanie w wielkiej płycie, wielogodzinne kolejki w nocy na mrozie spędzane w nieogrzewanym Polonezie w celu zatankowania benzyny, a i w drugą stronę ciężko szło. „– Mój tata ma trzy żony. – Byłe? – Nie, obecnie. – A mój ma też trzy, ale po kolei. – No to podobnie. To z biedy? – Chyba z braku czasu”.

Bardzo się polubiłyśmy przez te dwa lata, tylko się martwiłam, co będzie, gdy wyląduje w akademiku i sama będzie musiała nastawić pranie. Niewiele w życiu osiągnęłam, ale mogę się poszczycić, że oprócz tego, że księżniczka otrzymała ocenę „A” na koniec liceum, to potrafiła włączyć pranie, odróżnić RFN od NRD, wskazać na globusie Polskę oraz robić notatki metodą Daniela

Passenta (po dwie linijki w zeszytce w linie), bo w ten sposób oszczędzamy papier, a nie wiadomo, jak się ta Pustynna Burza potoczy...

Naszym światem rządzą obecnie dwaj faceci, którzy mieszkają za murami pałaców, rezydencji, hoteli i złotych bunkrów. Innego świata już nie zdążą poznać, nawet gdyby zechcieli. Słuchając trumpistów w tej kadencji, mam wrażenie, że trafiłam nie na zatroskane gremium dyplomatów, mędrców, analityków geopolitycznych, specjalistów od pomocy humanitarnej, lecz na kongres branży HoReCa. Nie w wersji „Siedem dziewcząt z Albatrosa” czy „Chałupy welcome to”, ale w takiej, gdzie nawet super all inclusive to bida z nędzą.

Gdy urodzisz się w świecie za murem, gdzie nocleg nie oznacza taniego *last minute*, lecz pobyt we własnym hotelu, który zbudowali babcia z tatusiem; gdzie dzień w robocie to cztery połączenia w drodze na pole golfowe; a dieta w podróży nie oznacza napełniania menażki zupą w schronisku, lecz bezszmerowe kucharki wydające to, na co masz akurat ochotę – to trudno myśleć o świecie inaczej niż w kategoriach czystej plaży, tanich gruntów pod golfa. Świat staje się „resortem”, a Palestyna, Zaporże, Kijów – psującym ładny widok problemem, który należy zasłonić jakąś rabatą, ekranem, dopóki buldożery tego nie uprzątą, nie podciągnie się wody itd.

Brytyjskie media od lat donosiły o powodach, dla których prezydent Donald Trump zwalcza energię wiatrową. Jako że zainwestował w golfowe pola Szkocji, był wściekły, że wiatraki wyrosły akurat tuż obok jego „ogródka” (słynne hasło: *not in my backyard*). Władze lokalne nigdy się nie ugięły i tak to przez dekady dumna Szkocja regularnie zwiększa produkcję energii z wiatru.

No rzeczywiście, imaginujmy sobie, że ląduje jakiś *best friend* Trumpa, dajmy na to w Palestynie, żeby pograć w padla, ponurkować, poznać lokalne lolitki, a tu brzydkie widoki – dzieci głodują, kolejki jakieś długie po jedzenie. Albo z samolotu się wychyla: fabryki w Ukrainie jakieś rozklekotane, nie na czasie, a można by tu po prawej ładne *very big beautiful* centrum danych wałnąć, jeszcze by się te bidoki ucieszyły, nie jak lewaki z Kalifornii, co to protestują, że środowisko się niszczy. Po rundzie negocjacji wracamy do willi na Krym, a tam pod oknem jakieś osoby, a to bez nóg, a to w bandażach człapią, to może by się tu jakaś moja fabryka protez cieszyła powodzeniem? A ten cały Iran? Kto to widział, żeby zdrowy Pers cały dzień nic nie jadł i tygodniami pościł. Postawimy wszędzie stacje benzynowe ze smażonymi kurczakami, to ten cały senny, smutny ramadan będzie *happy*. Pokój musi być *great*. Z ładnym widokiem.

AGATA PASSENT



O szkodliwości pizzy

O tym, że internet nas ogłupia, napisałem więcej tekstów, niż barejowski reżyser Zagajny nakręcił filmów. A jednak wydarzenia zeszłego tygodnia nawet mnie zaskoczyły. Nagle niemal cała Polska oszałała na punkcie rzekomej „afery z KPO”. Takie afery żyją krótko, więc zapewne, gdy państwo będą czytali ten felieton, już będzie to wymagać drobnego przypomnienia. Otóż afera polegała na tym, że w ramach Krajowego Planu Odbudowy ok. 2 proc. przeznaczono na dofinansowanie sektora gastronomiczno-rekreacyjnego, tzw. HoReCa. Te pieniądze poszły zgodnie z przeznaczeniem, by zacytować Jarosława Kaczyńskiego, na „jachty, solaria, imprezy plenerowe, ekspresy mobilne”.

Gdzie tu afera? No właśnie – na razie nigdzie. W chwili pisania tego tekstu nie wykazano ani jednego przypadku wykorzystania tych funduszy niezgodnie z przeznaczeniem. Nikt sobie z tego dofinansowania nie kupił luksusowego jachtu oceanicznego à la Jeff Bezos, natomiast w istocie nad polskimi jeziorami istnieją wypożyczalnie jachtów, łódek i żaglówek. Należą do sektora HoReCa i jako takie zasługiwały na dofinansowanie z tej 2-procentowej puli. Kiedy jednak rusza twitterowa nagonka, samo zadawanie pytań i wyrażanie wątpliwości jest niewskazane. Kto tak robi, staje się wrogiem ludu. Nagle się dowiedzieliśmy, że samo istnienie tych branż

Kiedy rusza twitterowa nagonka,
zadawanie pytań jest niewskazane.
Kto tak robi, staje się wrogiem ludu.

jest szkodliwe społecznie. Browar dostał dofinansowanie na produkcję piwa bezalkoholowego? Przecież piwo bezalkoholowe „propaguje kulturę picia”! Hotel – na ekspres do kawy? Skandal, kawa to też narkotyk. Pizzeria? Pizza jest niezdrawa!

Tym razem pisowskim farmom trolli po raz pierwszy udało się ogłupić nie tylko wiernych wyborców Jarosława. Nagle fala skretynienia dopadła także lewe skrzydło, wliczając liderów Partii Razem, co było dla mnie ogromnym osobistym rozczarowaniem. Pewien lewicowy satyryk (będę tu unikać nazwisk, bo nie chodzi mi ani o promowanie kogokolwiek, ani tym bardziej o personalne złośliwości) poświęcił tej aferze dwa rysunki. Na jednym narysował „jacht z dofinansowania” – oczywiście nie taki jak w rzeczywistości, dostosowany do wymogów mazurskiej żeglugi szuwarowo-bagiennej, tylko luksusowy i oceaniczny. Na drugim – prywatny odrzutowiec.

Pewien lewicowy publicysta, którego kiedyś nawet szanowałem, w odpowiedzi na moje pytanie: „Gdzie tu widzisz aferę”, zaczął udawać publicystę ultralibertańskiego – że przecież wszystko powinno być wolnorynkowe. To też miał być żart, bo z innych jego artykułów wynikało, że akceptuje państwową obecność w gospodarce. Byłe nie polegała – broń Boże! – na wsparciu dla pizzerii. Postawa „ja tylko żartuję” to strategia obronna osoby, która wie, że twitterowa infekcja zamieniła ją w ogłupionego zombiaka, ale nie umie się już sama uwolnić, musi powtarzać te bzdury za wszystkimi. Więc udaje, że to tylko żart.

S kąd się bierze przymus dołączenia do nagonki pizzofobicznej? Wielu psychologów ewolucyjnych uważa, że jako stadne ssaki mamy wbudowaną w mózgu instynktowną potrzebę dostosowywania się do tego, co zbiorowo myśli stado. Nasze rozumienie dobra i zła („tak zwanego zła”, dodam za Konradem Lorenzem) sprowadza się do instynktownego wyczuwania, co stado w danym momencie uważa za dobro i zło. Nawet jeśli w skrytości ducha mamy wątpliwości, instynkt zmusza nas do dołączenia do stada, choćby wbrew sobie. Twitter jest tu szczególnie niebezpieczny, bo wykreowanie tam wrażenia, że „wszyscy internauci uważają, że pizza jest zła”, jest stosunkowo niedrogi. Farmy trolli takie jak z filmu „Hejter” istnieją naprawdę i mają przystępne stawki.

W rezultacie nawet człowiek, który wie, jak to działa, i wie, że media społecznościowe nie pokazują „głosu ludu”, tylko najwyżej „głos klienta, który zamówił kampanię”, też temu ulega. To silniejsze od nas. Kiedy Jarosław Kaczyński mówił do swoich zwolenników, że „ich nie przekonają ci, co mówią, że czarne jest czarne, a białe jest białe”, to nie musiało być przejęzyczenie. PiS ma tak sprawnych rozgrywaczy od mediów społecznościowych, że są już w stanie wmówić, że czarne jest fioletowe w pomarańczowe kropki.

Niestety, strona demokratyczna do dzisiaj tego nie rozumie. Gdy PiS uruchamia nagonkę, każdy w tamtym obozie dostaje „przekaz dnia” z wyraźną instrukcją, co mówić. We wszystkich wypowiedziach widzimy wtedy tę samą zbitkę, że „gigantyczny skandal, bo jachty, solaria i ekspresy”. A Platforma zachowuje się jak stado kur, w które wjechał traktor. Jedni przeczą, drudzy potakują, trzeci korzystają z okazji, by podstawić nogę koalicjantom. Nagle wszyscy zapominają, że literka „O” w KPO pochodzi od „odbudowy” branż najmocniej poszkodowanych przez lockdowny. Ba, zapominają, że ten plan przyjęto głosami PiS i lewicy, także Zandberga, który dziś gardłuje przeciw. Jak my to wszystko kiedyś wytłumaczymy wnukom? „Cóż, demokracja upadła, ale przynajmniej dokopaliśmy tym wrednym pizzeriom...”

WOJCIECH ORLIŃSKI



O jeden milion za daleko

Słuchając niektórych polityków, odnosi się wrażenie, że w polskiej polityce głupota ma się dobrze, a przykład Andrzeja Dudy pokazuje, że im głupiej się ktoś wypowie, tym bardziej jest z siebie zadowolony. Dlatego cieszy, że Konfederacja jako pierwsza partia zapowiedziała walkę z głupotami wypowiedzianymi w mediach przez swoich członków.

„Za głupoty w mediach będą bany i kary” zagroził Sławomir Mentzen. Najgłupsze są rzecz jasna wypowiedzi sprzeczne z przekazem i linią partii, dlatego szef okręgu białostockiego Konfederacji zapowiedział, że osoby głoszące takie głupoty będą miały zakaz występowania w mediach, „a jeśli ktoś pomimo bana pójdzie do mediów, udzieli jakiejś setki lub innej wypowiedzi, otrzyma karę finansową”.

Posel Łącki z PO w czasie kampanii prezydenckiej nazwał kandydata Nawrockiego „stręczycielem”, ale teraz za swoje słowa przeprosił, chociaż nie musiał, bo rzucanie głupich oskarżeń nie jest w PO karalne. Niektórzy uważają, że Łącki, najbogatszy poseł w Sejmie, powinien również przeprosić za swoją żonę, która wystąpiła o milion złotych dotacji z KPO i go dostała.

Trwa dyskusja, czy Łącka miała prawo o ten milion występować. Przeważa pogląd, że nawet jeśli miała, to jest tak bogata, że nie powinna. Czy wobec tego powinna go dostać? Osobiście

uważam, że nawet jeśli nie powinna, to zgodnie z prawem mogła. Mogła też nie dostać, z tym że byłoby to trochę dziwne, skoro spełniała warunki, żeby dostać.

A może to poseł Łącki powinien wyperswadować żonie, że ma się nie starać o milion, który mogła dostać? Pytanie, czy można powstrzymać kogoś przed otrzymaniem miliona? Poza tym, dlaczego Łącki i jego żona z tego powodu, że są bogaci, bo posiadają już trochę milionów, mają się ograniczać w swoim prawie do tego, żeby żona posła dostała dodatkowo milion bezzwrotnej dotacji z KPO? Wiadomo, że w biznesie nie ma sentymentów; każdemu przyda się każdy milion, także ten, o który nie powinien być występować.

Fakt, że Łącka zgłosiła się po dotację, oburza odpowiedzialną za unijne fundusze Katarzynę Pełczyńską-Nałęcz „czysto po ludzku, jako człowieka”, ale jako ministrowi – nie, gdyż jako ministra musi działać „bardzo ściśle zgodnie z regułami”. Sytuacja, gdy jako człowiek musi się oburzać skutkami działań, które jako ministra wykonuje zgodnie z regułami, jest oczywiście trudna i nie do pozazdroszczenia. Mimo to uważam, że dla nas wszystkich jest ona dużo lepsza od sytuacji odwrotnej, w której Pełczyńską-Nałęcz jako człowieka nie oburzałyby skutki działań, które jako ministra wykonuje niezgodnie z regułami.

G A L E R I A P O L I T Y K I



ISKRA, ZNANY JAKO AUTOR „SMUTNYCH HISTORII SPISANYCH NA KACU I TANIM PAPIERZE”

POLITYKA

WYDAWCA POLITYKA Spółka z o.o. SKA
ADRES ul. Stupecka 6, 02-309 Warszawa

RECEPCJA GŁÓWNA

tel. 22 451-61-33, 451-61-34

POCZTA ELEKTRONICZNA polityka@polityka.pl

PREZES I REDAKTOR NACZELNY

Jerzy Baczyński

tel. 22 451-60-00

CZŁONKOWIE ZARZĄDU

Mariusz Janicki (Wiceprezes, Pierwszy Zastępca Redaktora Naczelnego), Bartek Chaciński (Zastępca Redaktora Naczelnego), Katarzyna Białek (Dyrektor Zarządzający)

Z-CA REDAKTORA NACZELNEGO TYGODNIKA POLITYKA

Witold Pawłowski

SEKRETARZ REDAKCJI

Artur Podgórski tel. 22 451-60-22, 22 451-61-84

BIURO REKLAMY

tel. 22 451-61-36, e-mail: reklama@polityka.pl
Izabela Kowalczyk-Dudek (dyr.),

Za treść ogłoszeń redakcja ponosi

odpowiedzialność w granicach Ustawy Prawo Prasowe

PION WYDAWCZY

Piotr Zmleonek (dyrektor) 22 451-61-85

PION CYFROWY

Joanna Chmielecka (dyrektor) 67 210-86-30

ADMINISTRACJA

Jadwiga Kucharczyk (dyrektor)

PRENUMERATA PAPIEROWA

www.sklep.polityka.pl

Infolinia: tel. 67 210 86 30,

e-mail: infolinia@polityka.pl

tel. 22 451-61-00, 451-61-15

PRENUMERATA CYFROWA

www.polityka.pl/cyfrowa

Infolinia: tel. 22 336-79-16,

e-mail: cyfrowa@polityka.pl

SERWIS INTERNETOWY

www.polityka.pl

REDAKTOR NACZELNA

Aleksandra Żelazińska

PORTAL POPULARNONAUKOWY

projekt pulsar.pl

REDAKTOR NACZELNY

Karol Jałochowski

Konto: POLITYKA, Spółka z o.o. SKA

BNP Paribas Bank Polska S.A.

18 1750 0009 0000 0000 1004 2763

SWIFT: RCBWPLPW

Sprzedaż bezumowna numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez Wydawcę jest zabroniona.

COPYRIGHT © POLITYKA SPÓŁKA Z O.O. SKA

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Dalsze rozpowszechnianie

artykułów opublikowanych

w POLITYCE jest zabronione.

Przedruki: Justyna Sadowska,

tel. 22 451-61-50,

e-mail: przedruki@polityka.pl

DRUK Quad   passion
in news technology



Dobry zwierzak szuka
dobrego człowieka



Rachel

Warszawa, suczka, 10 lat, 23 kg,
średnio aktywna, zaszczepiona,
odrobaczona, wysterylizowana.

W życiu zaliczyła już schronisko dla psów, a wcześniej piekło w miejscu, w którym znęcano się nad zwierzętami. Bardzo skupiona na kontakcie z człowiekiem, umie spacerować na linie, a tempo spacerów dostosowuje do swojego przewodnika. Doskonale radzi sobie w towarzystwie innych psów – dla miłych jest grzeczna i przyjazna, agresywnie ignoruje. Choruje na nowotwór złośliwy. Ze względu na intensywne, celowane leczenie przedłużające życie w lecznicy w Warszawie, a tym samym konieczność częstych wizyt kontrolnych, podawaną chemię, przyszły opiekun musi mieszkać w Warszawie lub w pobliżu, by kontynuować rozpoczętą terapię.



Emil

Katowice, pies, 5 lat, 15 kg, średnio aktywny, odrobaczony, wysterylizowany.

Niewielki psiak o długim, pełnym trudnych momentów życiu. Boi się mężczyzny i nie lubi gwałtownych ruchów, ale jeśli już zaufa jakiemuś człowiekowi, staje się oddanym towarzyszem. Nieźle sobie radzi na smyczy. Z psami dogaduje się różnie, z suczkami lepiej. Lubi dzieci.



Fanta

Wrocław, suczka, 10 lat, 13 kg, średnio aktywna, zaszczepiona, odrobaczona, wysterylizowana.

Doskonała towarzyszka do domu, w którym nie ma dzieci i kotów. Świetnie odnajduje się w domowych warunkach, nie niszczy sprzętów, ale nie czuje się dobrze w towarzystwie innym niż ludzkie. Lubi się przytulać, okazuje czułość lizaniem po twarzy. Uwielbia spacerować, im dłuższe, tym lepsze.



Gruby

Warszawa, kot, 2 lata, 4 kg, średnio aktywny, zaszczepiony, wykastrowany.

Przyjazny, elegancki, bardzo czysty, zawsze korzystający z kuwety, piękny kot. Lubi aktywne zabawy, np. polowania na zabawki z piór, ale też chętnie się przytula, nadstawia do głaskania. Wnieście do domu dużo ciepła i radości. Mistrz zdobywania dodatkowych porcji jedzenia za pomocą wdzięku osobistego.



Simka

Łódź, kotka, 19 lat, 4 kg, mało aktywna, zaszczepiona

Niedawno straciła dom. Przeszła przez trudny psychiczny czas, ale ciągle jeszcze ma nadzieję na trochę radości na tym ostatnim etapie swojego życia. Jest przyjazna i wierna.



Za materiał do naszego kąciaka dziękujemy Adopcjakom, grupie wolontariuszy działających w ramach Fundacji Viva!

Kontakt w sprawie adopcji (za pośrednictwem Adopcjaków):
tel. 665 892 773 lub 574 186 683.

Adres mailowy: tpz.opoczno@gmail.com

Na naszej stronie internetowej utworzyliśmy również specjalną zakładkę, gdzie publikujemy historie tych i innych zwierząt szukających dobrego domu: www.polityka.pl/zwierzeta

**SALON
POLITYKI**



Jak nadążyć za starością

Serdecznie zapraszamy do Sopotu na kolejny już Salon POLITYKI – tym razem skupiający się na seniorach: ich problemach i niepokojach, ale i radościach, i refleksjach. Spotkanie odbędzie się w ramach

zainicjowanego przez nas w ubiegłym roku cyklu „Odchodzić po ludzku”, a gośćmi dziennikarki POLITYKI Katarzyny Kaczorowskiej będą: wybitna polska aktorka Emilia Krakowska oraz Marta Lau, autorka książki „On nigdy taki nie był”, opowiadającej o trudnych doświadczeniach bliskich i rodzin osób zmagających się z chorobą Alzheimera i demencją.

Dyskusja odbędzie się we wtorek **9 września o godz. 17 w Centrum Kultury Mamuszki 14** (Aleja Franciszka Mamuszki 14, sala na drugim piętrze). Wstęp jest wolny.

A wszystkie teksty i wywiady, które do tej pory ukazały się w cyklu „Odchodzić po ludzku”, znajdą Państwo w specjalnej zakładce na naszej stronie: www.polityka.pl/odchodzicpoludzku

Zachęcamy też do dzielenia się z nami swoimi doświadczeniami: akcja@polityka.pl



Parszywa dziesiątka

Zapraszamy do Australii. Wyjątkowo jednak opisujemy nie miejsca, ale mieszkańców. Których lepiej nie spotykać osobiście.

W Darwin, mieście nazwanym od znanego wszystkim przyrodnika Karola Darwina, w jego muzeum, a także w tamtejszym Museum and Art Gallery of the Northern Territory (MAGNT) można zapoznać się z rankingiem 10 najniebezpieczniejszych zwierząt na Terytorium Północnym, czyli w jednym ze stanów Australii – w strefie podzwrotnikowej. Do Muzeum trafiłem przez przypadek. Na lotnisku w Darwin witający mnie miły gospodarz zapytał o pierwsze życzenie. – *Wykąpać się w oceanie* – powiedziałem. Na co on, traktując mnie jak kogoś niespełna rozumu, odparł, że o tej porze roku sam wstęp na ogromne, szerokie piaszczyste plaże jest wzbroniony. I od razu skierował mnie do MAGNT.

Po pełną listę zagrożeń odsyłamy na polityka.pl, tu skupimy się na kilku. Na pierwszym miejscu zestawienia potworów zaskoczenie: żeglarz portugalski (*Physalia physalis*), po polsku zwany **bąbelnicą bąbelcową**, żywogłą lub aretuzą – gatunek rurkopława, czyli przypominająca wyglądem meduzę kolonia organizmów z długimi parzącymi mackami. Ich toksyny powodują silny ból, porażenie mięśni, a w skrajnych przypadkach śmierć przez zatrzymanie oddechu ofiary. Umiera od jednej do trzech osób rocznie, jednak mniej groźnych porażek odnotowuje się tysiące.

Dalej wykaz może nieco się różnić w zależności od kryteriów (liczba aktualnych ofiar, siła jadu, częstotliwość spotkań z ludźmi). Ale krokodyl, w popkulturze kojarzony z Australią za sprawą filmu „Krokodyl Dundee”, plasuje się dopiero na trzecim miejscu. Chodzi o krokodyla różańcowego, po angielsku nazywanego *saltwater*, czyli słonowodny. To największy współcześnie żyjący gad na świecie. Poluje z zasadzki niemal na każde zwierzę, siła jego zgryzu to 3,7 tys. psi (funtów na cal kwadratowy – dla porównania lew osiąga 1 tys. psi). Strategia ataku: ciągnie ofiarę pod wodę, rozrywa

PODRÓŻE

ją przez *death roll*. Na krótkie dystanse potrafi dogonić człowieka także na lądzie, ale zwykle atakuje z wody lub z brzegu.

Trzeba mieć wyjątkowego pecha, żeby na czwartego stwora nadebrać na plaży, ale wyczytałem, że może kryć się w piasku. To *stonefish* (*Synanceia verrucosa*), czyli **ryba kamień**. Według opisu – najbardziej jadowita ryba świata. Rzeczywiście wygląda jak kamień. Jej kolce mogą wprowadzić pod skórę neurotoksynę powodującą szok, paraliż i martwicę tkanek. Ranę trudno wygoić.

Na liście jest też rekin żarłacz tępogłowy (*bull shark*). Agresywny, wpływa do rzek i estuariów. Odpowiada za liczne ataki na ludzi. Zyskał wątpliwą sławę ze względu na tajemniczą śmierć samego premiera Australii. W grudniu (wówczas jest tam lato) 1967 r. podczas kąpieli przy Cheviot Beach w stanie Wiktorii zginął Harold Holt, szef rządu. Świadkowie widzieli, jak znika pod wodą, lecz ciała nigdy nie odnaleziono. Kilka dni wcześniej w okolicy zauważono duże rekiny. Pojawiły się od razu teorie spiskowe sugerujące, że Holt został uprowadzony lub zabity, ponieważ był zwolennikiem ściślejszych relacji Australii z Azją (co nie podobało się części establishmentu) albo też miał jakieś pozagabinetowe kontakty z CIA. Chociaż oficjalne śledztwo (w 1983 r.) potwierdziło utonięcie, cały incydent wszedł do języka codziennego. *Do a Harold Holt*, czyli „udać Harolda Holta”, zrobić jak on, oznacza w slangu „nagle zniknąć, wyparować”.



Marek Ostrowski
– komentator i publicysta, wieloletni szef działu zagranicznego POLITYKI. Prawnik z wykształcenia. Pracował w Wielkiej Brytanii, Francji, Szwajcarii i Rosji. Autor książek, m.in. „Co nas obchodzi świat. Ściągawka na czas chaosu” oraz „Teatr sprawiedliwości. Aktorzy i kulisy”.

Jak władze Terytorium Północnego zachęcają do turystyki mimo owych niebezpieczeństw? Cóż, balansują między promocją a ostrzeganiem. Można powiedzieć, że sprzedają kontrolowaną adrenalinę z naciskiem na „świadomą ostrożność”. Obszernie informują o zagrożeniach i zasadach bezpieczeństwa. Na stronach rządowych widnieją porady typu: „Przyjmij, że na każdym szlaku wodnym są krokodyle”. Są też zresztą baseny bezpiecznej kąpieli i platformy obserwacji krokodyli.

Poza tym sami lubimy paradoksy rankingów i statystyk: Terytorium odwiedza ok. 1,5 mln turystów rocznie, a śmiertelnych wypadków nie bywa w tym czasie więcej niż dwa. Pszczoły i osy zabijają w całej Australii nawet cztery osoby rocznie (głównie z powodu uczuleń na jad), czyli więcej niż rekiny czy jadowite ośmiornice. Jednak lista w muzeum przyjmuje za istotne kryterium potencjał toksyczny tych stworów i siłę ataku, a nie liczbę ofiar. Kto by tam narzekał na pszczoły! ■



Okulary do czytania

TECHNO

Sol Reader pozwala zanurzyć się w książce w zupełnie nowy sposób. Dla osób, które nie mogą się skupić podczas lektury, nieustannie kuszone przez leżący nieopodal smartfon z jego strumieniem treści i powiadomień, firma przygotowała czytnik e-booków zamontowany w okularach. Założenia są podobne jak w przypadku urządzeń do wirtualnej rzeczywistości, ale zamiast miniatury ekranów **Sol Reader** został wyposażony w e-papier (podobnie jak w czytnikach typu Kindle). Mała rozdzielczość nie stanowi problemu, ponieważ strona e-booka wyświetlana jest blisko oczu (wbudowane soczewki pozwalają na dopasowanie do wady wzroku). Okularami steruje się za pomocą dołączonego pilota. Urządzenie łączy się z aplikacją na smartfonie, która pozwala m.in. na zaimportowanie biblioteki Kindle'a.

„Sposób, w jaki czytamy, nieustannie się zmienia. Ale przez wieki jedno pozostaje niezmiennie: to, co czytanie potrafi zrobić z naszym umysłem. Porywa nas do innych światów. Rozpala nowe myśli i idee. Sprawia, że śmiejemy

się, płaczemy albo zatrzymujemy na chwilę refleksji” – pisze producent w swoim manifestie, przedstawiając okulary do czytania jako kolejną fazę ewolucji po glinianych tabliczkach, papirusach, ruchomych czcionkach i pikselach.



Czy rzeczywiście zdobędą popularność i zastąpią tradycyjne czytniki e-papieru? Recenzenci wskazują potencjalne zastosowania: wpisanie się w trend „leniwego czytania” (wylegiwania się z książką, które wcale nie jest aż tak wygodne z tradycyjnymi tomikami, tomiszczami i czytnikami), możliwość czytania w łóżku bez przeszkadzania zasypiającemu partnerowi czy też „przyjazność” dla osób z niepełnosprawnościami.

Okulary Sol Reader dostępne są na razie w USA i Kanadzie, warto jednak obserwować ten trend. Odpowiedzią na życie w przesyconym mediami świecie mają być urządzenia, które od niego odcinają. I choć trudno wyobrazić sobie całkowite odejście od smartfonów wyposażonych w szwajcarski szczyroryk, to gadżety skupione na jednej funkcji mogą zainteresować osoby troszczące się o swoją cyfrową higienę.

MICHAŁ R. WIŚNIEWSKI

Ofiary lajnapu

SŁOWO

W dyskusjach o letnich festiwalach zderzają się często ze sobą dwie oferty: bytowa i artystyczna. W ramach tej pierwszej wciąż straszą wprowadzić paragony grozy, zarówno w strefie gastro (gastronomicznej), jak i na stoiskach z merchem (produktami z marką festiwalu lub logotypami jego gwiazd), ale doszło też ostatnio do wielu przełomów, takich jak darmowa woda dostarczana w beczkowozach na teren imprezy albo nawet rollbary (wózki na kółkach) z wodą gazowaną, które promował niedawno BitterSweet Festival. Można wypełniać taką kranówką lub wodą gazowaną zabrane z domu bidony. Ale takie atrakcje nie zastąpią tej najważniejszej – jak to ujęli uczestnicy jednego z forów: „Fajnie, że mają designerski beczkowóz, ale line up się nie broni”.

„Line-up” (lub „line up”, czasem w spolszczonej wersji „lajnap”) to słowo kluczowe dla całej letniej oferty, którą w znacznej mierze budują makaronizmy. Bo niby polski wyraz

„program” niesie w sobie wszystko, o co chodzi, a układaniem godzinowego planu występów zajmują się po prostu dyrektorzy programowi, to jednak festiwalowe sloty (przestrzenie do wypełnienia, jak w kalendarzu marszałka Hołowni, o którym było w POLITYCE 29) wypełnione przez bookingi, czyli zaproszonych artystów, z headlinerem (główną gwiazdą) na czele, składają się razem na *line-up*.

I jest to element fachowego żargonu, tak jak *backstage*, miejsce za tym elementem przestrzeni festiwalowej, który nazywamy przecież sceną, a nie *stage*. „Chryste, co za line up, czy osoba go ustawiająca została przez kogoś skrzywdzona?” – pytano w czerwcu przy okazji influencerskiego Ekipa Festiwalu w Krakowie (to od słynnej Ekipy youtubera **Friza**). A ponieważ rzecz skierowana była do bardzo młodych, początkujących widzów, pojawiły się też naiwne pytania w rodzaju: „Będzie można wyjść wcześniej z festiwalu i pojechać do domu?”. Na co oczywiście posypały się ironiczne odpowiedzi: „Zakaz jest, nie można wychodzić, tak naprawdę Friz będzie ich więził i szkolił na swoich podwładnych minionków”.

Jest to, trzeba przyznać, wizja, którą można straszyć dzieci. Taka uwspółcześniona wersja chatki Baby Jagi: na zawsze zamknięci gdzieś między merchem, stoiskiem z matchą a rollbarem.

BARTEK CHACIŃSKI



MÓWIĄ RYMY

Pić, jeść, kochać, a ty wbić się w lokal,
Jak zobaczę na backstage'ach, zrobię wyjście smoka
Taconafide, Tamagotchi, 2018 r.
Wbić się – wejść

W reakcji na popularyzowane od lat rodzicielstwo bliskości coraz większą uwagę zaczyna zdobywać strategia przeciwna, czyli FAFO.

Znów zimny chów



To akronim od „fuck around and find out” i oznacza mniej więcej tyle: chciałeś, to masz. Kolacja ci nie smakuje? Następny posiłek dopiero rano. Zapomniałeś o pracy domowej? Dostaniesz pałę, trudno. Nie schowałeś zabawek przed deszczem i teraz nie nadają się do użycia? Takie są konsekwencje. I właśnie na nauce odpowiedzialności nam zależy – wyjaśniają rodzice cytowani przez „Wall Street Journal” w głośnym artykule pod tytułem „Goodbye Gentle Parenting, Hello F— Around and Find Out”.

Posypały się komentarze, zarówno krytyczne, jak i popierające ten model. „WSJ” sugeruje, że moda na FAFO wydaje się reakcją na popularyzowane od lat w USA *gentle parenting* (łagodne rodzicielstwo) – odmianę rodzicielstwa bliskości, metodę postulującą zrozumienie dla dziecięcych emocji i zachowań po to, by następnie nauczyć je empatii. Jednak zdaniem jej przeciwników metoda ta oznacza przede wszystkim brak granic i nadmierne pobłażanie. Według „WSJ” *gentle parenting* ma tworzyć kolejne pokolenie nieprzystosowanych do życia. Podobnie mówiło się lata temu o dzieciach rodziców helikopterów, kontrolujących każdy ruch pociechy, usuwających przeszkody spod nóg – to zjawisko zaczęło szczerzej opisywać jeszcze w latach 80.

Dr Becky Kennedy, amerykańska guru parentingu, w jednym ze swoich podcastów rozłożyła FAFO na czynniki pierwsze. Nie dziwi jej wcale popularność

TREND



Grażyna Morek – dziennikarka prasowa i radiowa, przez lata szefowa działu Zdrowie w miesięczniku „Twój Styl”, teraz w Radiu 357. Zajmuje się problematyką zdrowotną, psychospołeczną, pisze o zmianach stylu życia Polaków.

tego trendu – jej zdaniem to naturalna konsekwencja zmęczenia rodziców „mikrozarządzaniem” sprawami dzieci. Pozwalanie zaś pociechom na to, by same przekonały się o konsekwencjach swoich zaniedbań, to dobre podejście: uczy je rezyliencji (kolejny modny termin, oznaczający odporność psychiczną, łatwość adaptacji do zmiennych warunków). Nieakceptowalne natomiast, zdaniem dr Becky, jest unikanie rodzicielskiego zaangażowania i nie zawsze czyste pobudki, jakimi kierują się „FAFO-rodzice”. „Dziecko powinno czuć się przy rodzicach bezpiecznie. Czy zawstydzanie go za każdym razem, gdy przekona się, że zrobiło głupotę, buduje poczucie bezpieczeństwa? Przeciwnie” – zauważa nowojorska psycholożka.

Z perspektywy Polski, gdzie statystyki dotyczące wypalenia rodzicielskiego są najwyższe w Europie, wiralowy trend, jakim jest FAFO, nie odkrywa nomen omen Ameryki. Badający problem psychologowie podkreślają, że stan zmęczenia rolą rodzica skutkuje m.in. zubożeniem i zdystansowaniem się emocjonalnym wobec dzieci. Wypaleni rodzice przyznają, że budująca presję cukierkowa wizja rodzicielstwa rodem z Instagrama czy serwisów parentingowych zupełnie rozjeżdża się z obrazem rzeczywistości (pisała o tym m.in. Joanna Tracewicz w POLITYCE 24/23).

FAFO wpisuje się także w szerszy trend, backlashowy, związany z powrotem do tradycyjnych, autorytarnych metod wychowawczych i konserwatywnych wartości. Dyscyplina i posłuszeństwo? Znamy to – podobnie jak słynne „klaps nikomu jeszcze nie zaszkodził”, „dostałam lanie i wyszedłam na ludzi”. Amerykanie też nie uważają tego podejścia za nowość. „Nasi rodzice z pokolenia boomerów tak nas traktowali” – napisał ktoś pod postem dr Becky. „To dlatego, że czytali poradniki Dobsona” – wyjaśnia Kelsey McGinnis, autorka książki „The Myth of Good Christian Parenting”, która również postanowiła odnieść się do kontrowersyjnego artykułu w „WSJ”.

Chodzi o Jamesa Dobsona – psychologa działającego na rzecz rodziny i powrotu do tradycyjnych wartości chrześcijańskich. W latach 70. i 80. XX w. popularyzował konserwatywne metody wychowawcze w poradnikach znanych też w Polsce: „Miłość wymaga stanowczości”, „Uparte dziecko”, „Jak wychowywać chłopców”. No więc jak? Tłumaczy w „Wall Street Journal” ojciec piątki dzieci: „Czas przyznawania pucharów za udział w zawodach, żeby nikomu nie było przykro, się skończył. Dzieciaki zrobiły się zbyt miękkie”. Historia chyba znów zatacza koło.

Wino niemożliwe

Konkurencja jest zażarta, ale w konkursie na najbardziej szalone wino obecnie wygrywa... Bhutan.

Jest taki kraj w sercu Himalajów, wciśnięty między Indie i Chiny, o którym pamiętają tylko pilni uczniowie geografii albo szaleni podróżnicy. Ci ostatni, jeśli chcą tam dotrzeć, muszą zapłacić za każdy dzień 200 dol. specjalnego „podatku turystycznego”. Rząd Bhutanu wprowadził go, aby kraj nie padł ofiarą taniej, masowej turystyki, która bezpowrotnie przeobraziła pobliski Nepal.

Królestwo Bhutanu zamieszkuje 800 tys. szczęśliwych ludzi (po Kostaryce ten mały kraj zajmuje drugie miejsce w światowym rankingu jakości życia), z czego większość para się tradycyjnym rolnictwem. Jeszcze kilkadziesiąt lat temu kraina ta była kompletnie odizolowana od świata zewnętrznego. Dziś bardzo dba o to, by zaledwie nie otworzyć się na niszczącą nowoczesność.

Skąd więc wino w miejscu, gdzie nigdy nie rośli winogrona? Autorem szalonego pomysłu jest Kalifornijczyk Michael Juergens, w poprzednim życiu marketingowiec w Deloitte, który w 2017 r. wraz z życiową partnerką Ann Cross wybrał się do Bhutanu turystycznie. Postanowili tam osiąść. Ale żeby nie było za nudno – także zrobić najbardziej szalone wino na świecie.

Nikt na to wcześniej nie wpadł, więc miejscowi najpierw nie wiedzieli, o co chodzi, potem pukali się w głowę – w końcu nic pijałnego z winogron nie powstaje

ONIM

w promieniu 2 tys. km, najbliższe leżą winnice w indyjskiej Maharastrze oraz eksperymentalne poletko w chińskim Junanie – ale w końcu pękli. Bhutański rząd, który jak żaden inny na świecie konsekwentnie rozwija ekologiczną turystykę i rolnictwo (Bhutan chwali się ujemnym śladem węglowym całego kraju), dał nawet ziemię za darmo. 20 ha, co w kontekście winiarskim jest naprawdę sporym arealem. Dziś cały projekt ma prawie 80.

Eksperymentalne poletka zasadzono w wielu miejscach kraju, od nisko położonej granicy z Indiami do 2700 m n.p.m. na stokach Himalajów, co czyni z bhutańskich „winnic” jedno z najwyższych usadowionych upraw na świecie. Na horyzoncie majaczy sylwetka majestatycznej góry Gangkhar Puensum, wznoszącej się na 7570 m n.p.m., na którą do dziś nikt się nie wspinał. Bhutan to raj dla pionierów.

Pierwszy plon winogron zjadł jelenie. Drugi utonął w powodzi. Wtedy francuski enolog skaperowany z winiarni w pobliskiej Birmie poddał się i uciekł. Juergens i Cross kolejnego znaleźli przez Facebooka – na pytanie, kto podjąłby się robienia wina w najbardziej szalonym miejscu na świecie, odpowiedział Matt Brain z Kalifornii. On z kolei napotkał ogromne problemy z małpami i kobraami, które zagrażają pracownikom w winnicach **Bhutan Wine Company**.

Na razie rosną w nich białe odmiany: riesling, sauvignon blanc, chenin blanc, chardonnay, traminer oraz czerwone syrah. W planach są tempranillo i pinot noir(!). Kiedy w końcu udało się sfermentować jakieś wino, niemal w całości rozdano je Bhutańczykom, którzy pomogli w rozwoju projektu. Jedynie kilka butelek trafiło na aukcję, a dom Bonhams jedną z nich sprzedał za blisko 40 tys. dol. W pakiecie była wycieczka do Bhutanu i degustacja w stolicy Thimphu wraz z miejscowymi specjałami. 2025 będzie pierwszym pełnoprawnym rocznikiem, o ile... małpy pozwolą.

Historia Bhutan Wine Company pokazuje, że wino jest silniejsze od wszystkiego. Pociąg do winnej łoży i sfermentowanego dionizjaku ma w sobie coś atawistycznego. W końcu wino ludzie próbują robić w takich miejscach jak Finlandia (winogrona nie dojrzały, więc miejska przetwórnia w Helsinkach zaczęła sprowadzać owoce z Austrii i... Iranu), Panama, Jordania czy Tajwan, gdzie pada cztery razy więcej deszczu niż w Bordeaux, a mimo tego doktorant rolnictwa tropikalnego Chien Hao Chen postanowił zrobić wino w stylu madery i po dziesięciu latach niesamowitych perypetii jego Vino Formosa zdobyło złoty medal na konkursie w Paryżu. Albowiem miłość do wina pokona wszystkie przeciwności. ■



Wojciech Bońkowski

– od 2023 r. pierwszy polski Master of Wine. Chief Wine Officer w Studi Media, wydawcy pisma o winie „Ferment”.



Bhutan Wine Company Ser Kem, od przyszłego roku
Noita Winery Helsinki Behemoth, 23 euro (internety zagraniczne)
Domaine Shu Sheng Vino Formosa 2013, 80 euro (internety zagraniczne)
Winnica Marcinowice Pinot Noir Blanc de Noir Brut, 149 zł
 (winnicamarcinowice.pl)

24/7, czyli zapraszamy na stale aktualizowane strony polityka.pl, na nasze blogi i podcasty

A gdyby rządził PiS?

PiS ruszył w Polskę z kampanią pod hasłem „Kasa Platformy Obywatelskiej” (w skrócie KPO), by rozmuchiwać aferę z unijnymi dotacjami. Można zarazem powątpiewać, czy koalicja rządząca dobrze ten kryzys „obsłużyła”. **Pierwszy zastępca redaktora naczelnego POLITYKI Mariusz Janicki sytuację odwraca: „Można sobie wyobrazić, co by się wydarzyło, gdyby to partia Kaczyńskiego była oskarżana o rozdawanie pieniędzy na małe biznesy”.** PiS nigdy nie przeprosza i zawsze na tym wygrywa. Więcej na polityka.pl.



Więcej dyskrecji, panowie

Premier Tusk i prezydent Nawrocki sztuki kohabitacji mogliby się uczyć od Francuzów – i nie byłoby wojenek o krzesło ani liczenia, kto na kogo czekał ile minut pod drzwiami. Gdy prezydentem był jeszcze François Mitterrand (lewica), a premierem Édouard Balladur (prawica), zapadały ważne decyzje dotyczące m.in. prób nuklearnych. **„Starano się niczego nie zostawiać przypadkowi, Francja za granicą zawsze miała mówić – i mówiła – jednym głosem!”**, pisze na polityka.pl Marek Ostrowski. I objaśnia, jak to się robi.



F-16 do remontu

Umowa podpisana. Modernizacja myśliwców F-16 to jedna z najważniejszych inwestycji w polskim lotnictwie bojowym – donosi na polityka.pl analityk ds. bezpieczeństwa Marek Świerczyński. Nasze „efy” mają już 20 lat i dostaną „nowy garnitur”, czyli m.in. tarczę do skutecznej walki radioelektrycznej. To prawie tak, jakbyśmy je znowu kupili. Píše Świerczyński: „Jako myśliwy w sile wieku F-16 trzyma się krzepko i nie ustępuje młodszemu”.



Sposób na Trumpa

Meksyk to jeszcze jeden kraj, któremu Donald Trump się naprzykrza. Ale rywalkę ma godną. Claudia Sheinbaum jest pierwszą prezydentką Meksyku, wielkomięską liberałką i feministką. W teorii: wymarzony cel ataków dla amerykańskich Republikanów, a jednak potrafi się Trumpowi postawić i godzinami z nim rozmawiać. **Trump uznał Claudię Sheinbaum za „wspaniałą kobietę”, „bardzo twardą”. Jak ona to robi? Opowiada Łukasz Wójcik w swoim najnowszym podkście.**



Na trzeźwo o piciu

Mówi się o modzie na niepicie, ale w Polsce abstenencja to nadal margines. W sezonie widać to szczególnie. **O tym, czy na trzeźwo można się bawić, kto pije, a kto nie i od czego to zależy, Joanna Cieśla rozmawia z Krystyną Piątkowską, psychoedukatorką z fundacji Grow Space.** Do czego dziś służy alkohol i jak przez lata zmieniały się potrzeby, które zaspokajał? To pierwszy odcinek podcastu psychologicznego POLITYKI, który ukazuje się w formie video. Do zobaczenia na YouTube!



G A L E R I A P O L I T Y K I



J A N K O Z A

ROZRUSZAJ SZARE KOMÓRKI!

OMNIBUS

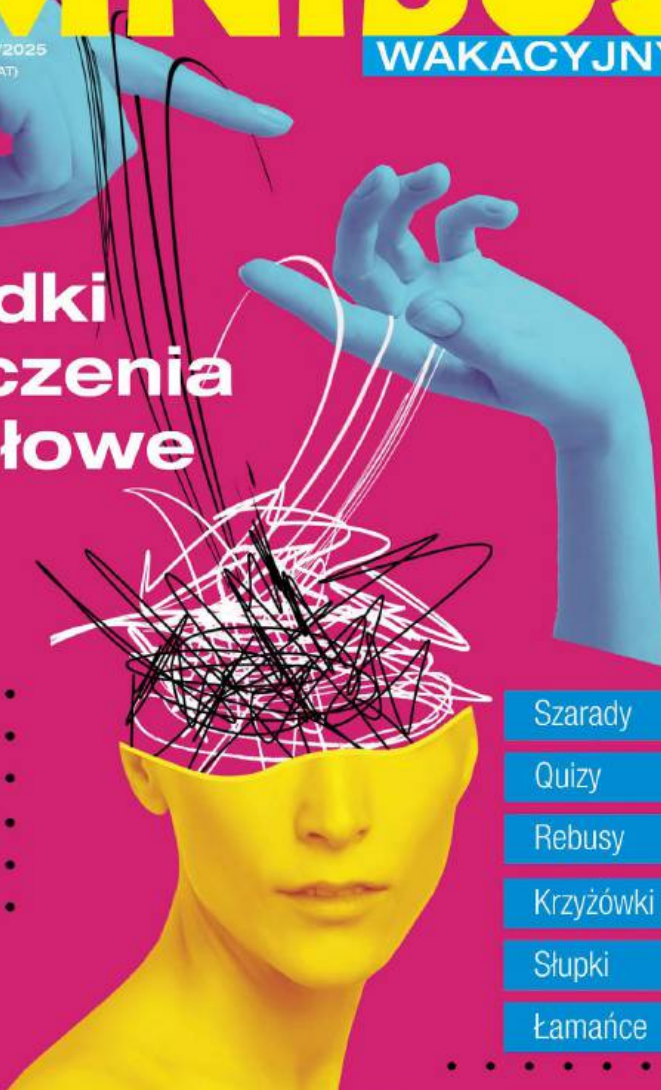
Wydanie specjalne nr 4/2025

Cena 11,99 zł (w tym 8% VAT)

POLITYKA

WAKACYJNY

Zagadki
i ćwiczenia
umysłowe



Szarady

Quizy

Rebusy

Krzyżówki

Słupki

Łamańce



Letnie łamanie głowy!

Zagadki logiczne, liczbowe, słowne
i wiedzy – każdy znajdzie coś dla siebie!

Do kupienia w punktach sprzedaży oraz na sklep.polityka.pl

Albatros travel



2 posiłki dziennie

NOWOŚĆ

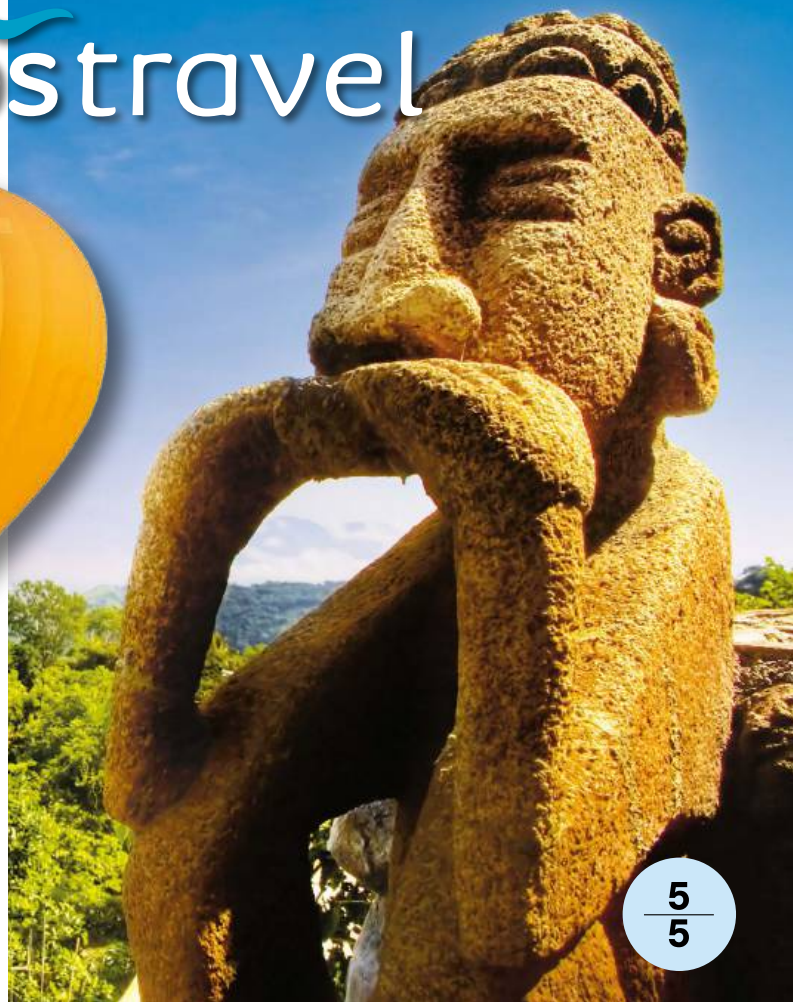


Stambuł i Kapadocja – od cesarskich pałaców po skalne miasta

Odkryj jedno z najbardziej imponujących miast Europy oraz wyjątkowy krajobraz Kapadocji – krainy jak z baśni.

Program wycieczki: Dz. 1 Przelot z Warszawy do Stambułu. Zakwaterowanie i kolacja powitalna. Dz. 2 Zwiedzanie miasta: Hipodrom, Błękitny Meczet, Hagia Sophia i cysterna Binbirdirek. Dz. 3 Meczet Sulejmana Wspaniałego, rejs po cieśninie Bosfor i Wielki Bazar. Dz. 4 Poranek w Stambule i przelot do Kapadocji. Dz. 5 Kapadocja. Twierdza Uçhisar, Dolina Wyobraźni, Muzeum Göreme i możliwość lotu balonem. Dz. 6 Kapadocja. Wąwóz Ihlara, klasztor Selime i podziemne miasto. Dz. 7 Powrót do domu.

7 dni | Wyloty z Warszawy 27/04, 01/06 2026 | od **6.998,-**



5/5



W poszukiwaniu Tajemnic Majów – od Panamy do Gwatemali

Jedna wyprawa – moc atrakcji! Zwiedzanie Panamy, Kostaryki, Hondurasu, Salwadoru, Nikaragui i Gwatemali. Piękno przyrody i fascynująca cywilizacja Majów.

Program wycieczki: Dz. 1 Wylot z Polski do Panama City. Dz. 2 Panama City. Zwiedzanie miasta oraz Kanału Panamskiego. Dz. 3 Panama City – Bocas del Toro. Dz. 4 Bocas del Toro – całonocna wycieczka do Zatoki Delfinów (Dolphin's Bay), Crawl Cay i Zapatilla Cay. Dz. 5 Bocas del Toro – Puerto Viejo, Kostaryka. Dz. 6 Park Narodowy Cahuita. Dz. 7 Dzień wolny na relaks. Dz. 8 Wyprawa do rezerwatu Tirimbina – tajemnice kakao i czekolady. Dz. 9 La Fortuna. Wiszące mosty w dżungli i kąpiel w gorących źródłach. Dz. 10 Arenal – Granada, Nikaragua. Zwiedzanie miasta. Dz. 11 Rejs statkiem po wyspach Las Isletas, targ w Masaya. Wycieczka po mieście Managua – León. Dz. 12 León – Potosi. Rejs statkiem przez Zatokę Fonseca. La Unión, Salwador. Dz. 13 La Unión – stanowisko archeologiczne cywilizacji Majów Joya de Cerén – San Salvador. Dz. 14 San Salvador – ruiny miasta Majów w Copán, Honduras. Dz. 15 Copán – ruiny miasta Majów w Quiriguá – Livingston, Gwatemala. Dz. 16 Livingston – Flores. Rejs statkiem po rzece Dulce. Fort San Felipe. Dz. 17 Flores – Tikal i zwiedzanie najlepiej zachowanego miasta Majów (lista Unesco) – przelot do Guatemala City i przejazd do Antigua. Dz. 18 Antigua. Zwiedzanie miasta z architekturą kolonialną i przejazd nad jeziorem Atitlán. Dz. 19 Rejs po jeziorze Atitlán. Dz. 20 Jezioro Atitlán – miasto Gwatemala. Podróż powrotna. Dz. 21 Przyłot do Polski.

21 dni | Wyloty z Warszawy i Krakowa 15/11 2025 | Wylot z Warszawy 31/01 2026 | od **26.998,-**

albatros.pl

Warszawa, ul. Marszałkowska 76, 8p.
rezerwacja +48 22 128 48 81

Kod reklamy: PL32

eprasa.pl f897d8986c

Cena zawiera: BILETY WSTĘPÓW, opiekę polskiego pilota, przeloty resjowe, zakwaterowanie w pokojach 2-os., wyżywienie i transport zgodnie z programem, ubezpieczenie podstawowe